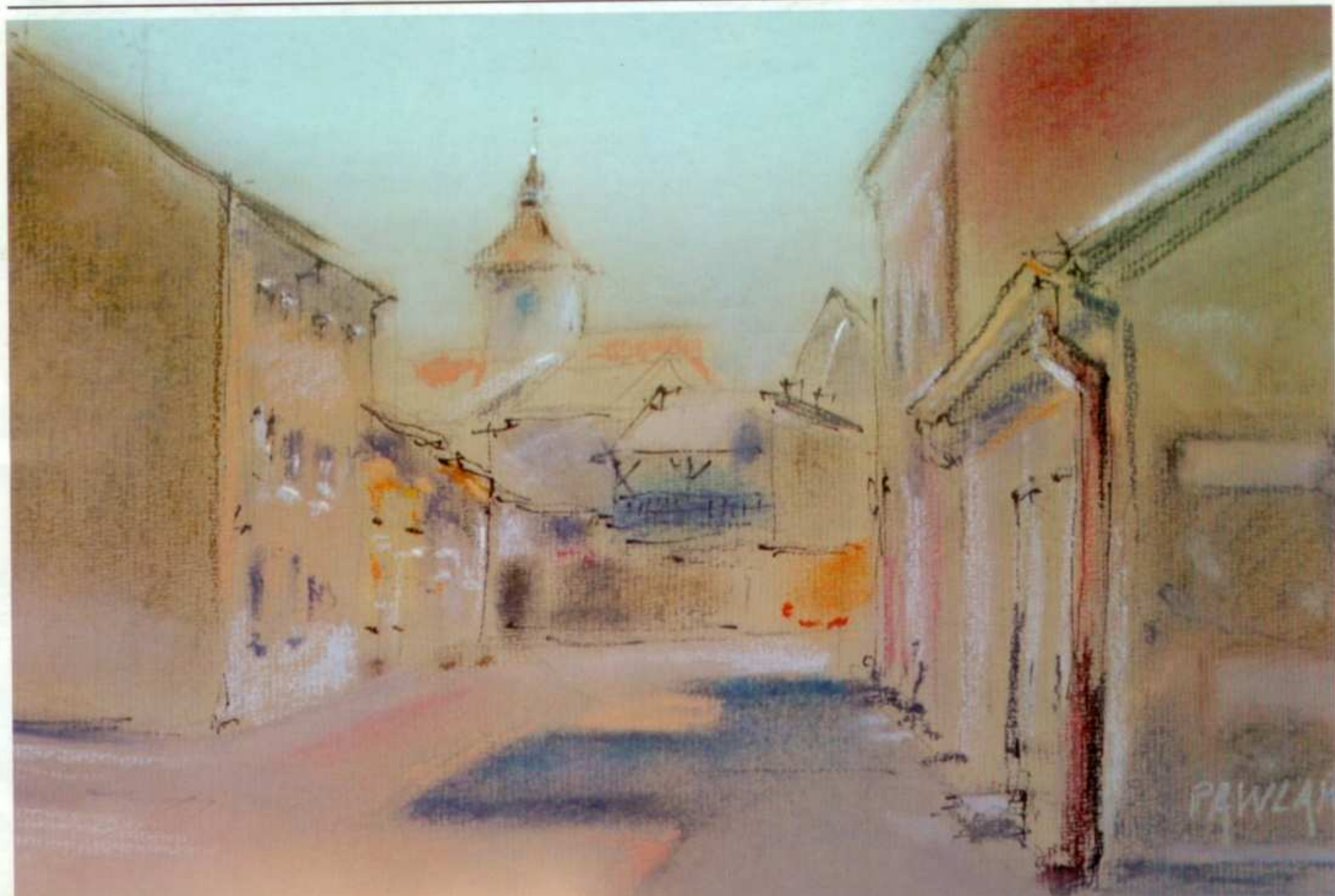


# wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 10 zł • nr 5-8 (249-252) • maj-sierpień 2013



# To już 25 lat



**W numerze m.in.:**

■ Zdzisław Wojtczak barwnie opisuje okoliczności powstania „Wiadomości” (7-9)

■ O prozie Adama Tomaszewskiego pisze Sergiusz Sterna Wachowiak (35 – 38)

■ Z prof. Zbigniewem Wielgoszem o Kościaniakach – rektorach i studentach Akademii Krakowskiej w XV i XVI w. rozmawia Teresa Masłowska (44 – 47)

■ Kulisy życia kpt. Jerzego Gronowskiego – adwokata ze Śmigła ujawnia Jerzy Zielonka (61 – 63)

■ Dodatek nadzwyczajny z tekstami zprzed lat

„**Wiadomości Kościańskie**”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż).  
**Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

# Niczego nie żałuję

Z redaktorem naczelnym „Wiadomości Kościańskich” Jerzym Wizerkaniukiem rozmawia Katarzyna Żurek



Jerzy Wizerkaniuk z zastępczynią redaktora naczelnego „WK” Jolantą Napierałą.

Fot. Bogdan Ludowicz

- **To już 25 lat. Warto było? Niczego nie żałujesz?**

- Niedawno przejrzałem archiwalne roczniki „Wiadomości”. Uświadomiłem sobie ile wartościowych materiałów opublikowaliśmy w naszym piśmie. To prawdziwa kopalnia wiedzy o regionie kościańskim, o Wielkopolsce, o przeszłości i współczesności, o przemianach, jakie przeżyliśmy. Odpowiem tak: nie było i nie jest łatwo, ale warto było i niczego nie żałuję.

- **A zaczęło się...**

- Dokładnie tak, jak to opisuje w swoim wspomnieniu Zdzisław Wojtczak. 23 kwietnia 1988 r. - imieniny Jerzego Zielonki. Mieszkanie w domu nr 4 przy ul. Świętego Ducha, wtedy Wiosny Ludów. Spóźniłem się nieco, bo też świętowałem. Okazało się, że imieninowi goście mieli już wszystko obgadane. Wniosek: Kościan potrzebuje pisma własnego, regionalnego i profesjonalnego, poza monopolistycznym wydawcą o nazwie Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Książka, Prasa, Ruch”. Była już ustalona nazwa, wstępna koncepcja i propozycja, bym podjął się organizacji i prowadzenia pisma. Wzięto mnie z zaskoczenia. Byłem dziennikarzem - kierownikiem oddziału „Gazety Poznańskiej” w Lesznie. Harówka niewyobrażalna. Dojazdy i rozjazdy, codziennie w redakcji; miesięczna norma - około 100 moich tekstów na łamach. Ale dałem się namówić, bo odpowiadała

mi koncepcja niezależnego pisma, a Jurek Zielonka i Bodziu Ludowicz, pracujący w „Panoramie Leszczyńskiej” obiecali pomoc. Pierwszym sekretarzem redakcji został wtedy nieodżałowanej pamięci Józef Kubicki, znany nauczyciel, przyjaciel mojego Ojca.

- **Niezależne pismo w 1988 roku? Byłeś jego właścicielem?**

- Nie, wtedy jeszcze nie byłem. W tak zwanej „stopce” zapisano, że pismo redaguje zespół pod moim kierownictwem. „Wiadomości Kościańskie” określały się jako miesięcznik społeczno - kulturalny. Numer 1 ukazał się w czerwcu 1988 roku; egzemplarz kosztował 50 złotych. Na początku oficjalnym wydawcą była Miejska Rada Narodowa w Kościanie, której przewodniczył Józef Jurga. Rada finansowała druk i kasowała wpływy z kolportażu, dziennikarze i inni współpracujący, żyliśmy wtedy z reklamy, o którą wówczas było łatwiej niż dzisiaj. Reklamowały się głównie firmy państwowe, a trzeba wiedzieć, że Kościan był w tamtych czasach jeszcze miastem przemysłowym. I tak to trwało do czerwca 1990 roku. Trudno zapewne w to uwierzyć, ale od samego początku byliśmy pismem niezależnym. Nie zdarzyło się ani razu, żeby przewodniczący rady narodowej czy sekretarz komitetu miejskiego PZPR próbowali ingerować w nasze teksty, czy też w inny sposób narzucać swoją wolę. A zamachy na naszą niezależność sterowane





Pierwsze numery „WK” drukowano w Poligraficznej Spółdzielni Pracy w Kościanie.

Fot. archiwum redakcyjne

z wojewódzkiego Leszna odpieraliśmy skutecznie. Byliśmy zależni wyłącznie od poznańskiego urzędu cenzury, oczywiście do czasu jego likwidacji w 1990 roku.

**- Wspominasz cenzurę z sentymentem...**

- Poznańską cenzurę tak. Przecież woziliśmy im teksty, które w oficjalnym obiegu w innej gazecie i przy innych cenzorach – na przykład w Warszawie – ukazać się nie mogły. Artykuły historyczne Jurka Zielonki o zbrodni katyńskiej, o leczeniu w Kościanie Władysława Broniewskiego z choroby alkoholowej, o przywracanych dopiero teraz do godności żołnierzach wyklętych; Piotrusia Gabryela o Katyniu, o ludowcach szykanowanych przez bezpiekę, o fałszowanych wyborach w PRL; Marka Zieleniewskiego o zabójstwie ks. Zycha. Za cenzurą nie tęsknię, ale cenzorów z Poznania wspominam z niejakim sentymentem. Z pierwszymi numerami, w 1988 roku, jeździliśmy do cenzury we dwóch z Zielonką. Zналиśmy emerytowanego szefa poznańskiej delegatury Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, który był historykiem i uczniem profesora Zbigniewa Wielgosza. Wspierał nasze publikacje. Od października 1988 roku kontakty te przejął wspomniany już Józio Kubicki. Cekał na ocenzurowanie, czytano nas szybko i poza wszelaką kolejnością. Warunek stawiano jeden – 20 darmowych egzemplarzy „WK” dla krewnych i znajomych cenzorów.

**- Przeglądam stare roczniki „WK” i widzę, że wśród lokalnych kościańskich czy leszczyńskich autorów, pojawiają się często teksty znanych dziennikarzy polskich...**

- Wiąże się to w jakiś sposób ze stosunkiem cenzury poznańskiej do naszego pisma. To, co mogło ukazać się w lokalnym przeciw miesięczniku w Kościanie, często było nie do przepchnięcia w Warszawie, czy nawet w Poznaniu. Poza tym od początku, będąc pismem lokalnym, nie pozostawialiśmy głusi na to, co dzieje się w kraju. W sierpniu 1988 r. odnotowaliśmy wizytę Gorbaczowa w Warszawie, uczestniczyliśmy w konferencji prasowej – jedynej podczas jego wizyty w Polsce.

W Wiadomościach pojawiały się teksty dziennikarzy m.in. z Gazety Poznańskiej, Gazety Wyborczej, Głosu Wielkopolskiego, Panoramy Leszczyńskiej, Polityki, Przeglądu Tygodniowego, Telewizji Polskiej, Reportera. Współpracowali z nami m.in.: red. Maciej Morawski z Paryża, Stefan Kisielewski z Warszawy, poeta i tłumacz – Eugeniusz Wachowiak z Poznania, a także: Jan Biłos, Romuald Królak, Waldemar Kurowski, Dariusz Łukaszewski, Witold Młodziejowski, Janusz Michalak, Eryk Mistewicz, Andrzej Niczyporowicz, Witold Pasek, Wojciech Pielecki, Jarosław Piotrowski, Paweł Szpecht, Iwona Wciślak, Marek Zieleniewski. No i oczywiście – nasi regionaliści: Piotruś Bauer, dr Henryk Florkowski, Marian

Koszewski, Marian Urbański, dr Krystyna Winowicz, Jan Pawicki, dr Józef Tylus. Wszystkich nie jestem w stanie wymienić.

**- „Wiadomości” stały się ulubionym pismem komentatorów telewizyjnych i radiowych...**

- Od pierwszego numeru, który wywołał dużą burzę w mediach. TVP 1 i TVP 2 promowały wtedy teksty Jurka Zielonki o poecie Władysławie Broniewskim i Piotra Gabryela o sfałszowanym referendum w 1946 roku. A ponieważ – jak to się mówi – stale dokładaliśmy do ognia, to cytowano nas coraz częściej, także w Telewizji Poznańskiej, w radiowej „Trójce”, na antenie Radia Merkury. Przedrukowywano nasze teksty w prasie krajowej i regionalnej, bo były odkrywcze, no i już ocenzurowane. Jesienią 1989 roku wspólnie z warszawskim miesięcznikiem „Reporter” zorganizowaliśmy ogólnopolskie warsztaty dziennikarskie w Dębcu Nowym. Zjechali się różni młodzi gniewni i napisali wiele fajnych materiałów.

**- To znaczy, że „WK” nie trzymały się kurczowo wyłącznie tematyki lokalnej?**

- Nie trzymały i nadal nie trzymają się. Preferujemy regionalizm, ale nie zaściankowość. Ziemia Kościańska jest fragmentem Wielkopolski, naszego kraju, Europy i świata w ogóle. Stąd uznaliśmy, że nie możemy ograniczyć się wyłącznie do problematyki lokalnej. Na przykład: wywiady z Agnieszką Osiecką, Maciejem





Alicja Żurek i Zbigniew Sottysiak.

Fot. Bogdan Ludowicz

Zembatym, Tadeuszem Łomnickim, z Piotrem Gabryelem pt. „Jak ścigałem Lecha Wałęsę”, z córką Marszałka Wandą Piłsudską, ks. Józefem Tischnerem itd. Teksty mieliśmy różnorodne. Oprócz wspomnianych politycznych i historycznych - korespondencje z różnych zakątków świata. Adam Urbański - na przykład - pisał kartki z podróży za chiński mur.

**- W 1990 roku nastąpiło zawieszenie pisma...**

- Tak to można określić. W czerwcu, po ukonstytuowaniu się nowej rady miejskiej, nowe władze w mieście podjęły próbę przejęcia pisma. Otrzymaliśmy wyjściową propozycję: tytuł zostaje, gazeta ukazuje się nadal, nastąpi zmiana kierownictwa - naczelnym miał zostać działacz Komitetu Obywatelskiego Krzysztof Macełajtis. Zakomunikowano nam to na podczas rozmowy w Muzeum Regionalnym w Ratuszu. Nie mogłem zgodzić się na to, bo nie tylko nasi współpracownicy, ale i miejscowe środowisko regionalistów nie chciało burzyć koncepcji i linii programowej pisma. Myślałem tak: poradziłem sobie z próbami likwidacji „WK” przez wojewódzki aparat PZPR (pisze o tym Zdzisław Wojtczak w swoim wspomnieniu) – teraz też się nie poddamy. W sierpniu 1990 r. wydrukowaliśmy telegram w kształcie nekrologu, żegnając się z czytelnikami. W telegramie tłumaczyliśmy naszą decyzję i obiecaliśmy, że w tym samym składzie, z taką samą koncepcją,

podejmiemy się wydawania nowego, niezależnego pisma. Tytuł nam pozostawiono – tak przy okazji jego pomysłodawcą był Jurek Zielonka, a autorem winiетки tytułowej znany poznański grafik prasowy, nieżyjący już niestety red. Tadeusz Donarski. Wróciliśmy w styczniu 1991 roku już jako pismo prywatne mojej firmy Przedsiębiorstwa „AGA” Jerzy Lech Wizerkaniuk. Tak zostałem i redaktorem naczelnym, i wydawcą. Numer majowy „WK” w 1989 r. kosztował 100, czerwcowy w 1990 roku - 800, styczniowy w 1991 r. - już 3000 zł. Tak galopowała inflacja.

**- Wróciliście z wielkim szykiem, tworząc instytucję nagród „WK” „Za nieprzeciętność”.**

- Była to nasza reakcja na zrezygnowanie przez nowe władze samorządowe z Nagród Twórczych Miasta Kościana. Uznaliśmy, że zmiana systemu politycznego nie spowodowała nagle, iż zabrakło ludzi kreatywnych, poświęcających się w różnych dziedzinach dla dobra regionu, zasługujących na szacunek. Najpierw były to skromne nagrody pieniężne i oprawione roczniki „Wiadomości”, z czasem zastąpiła je statuetka z brązu, przedstawiająca pierwszą stronę „WK”, której autorem jest uznany artysta Michał Gołąbek, pracujący obecnie w Stanach Zjednoczonych. Pamiętam, że pierwsza uroczystość wręczenia nagród odbyła się w świetlicy miejskiego szpitala w maju 1991 r. Przyjechał na nią solidarnościowy wojewoda leszczyński

Eugeniusz Matyjas i powiedział m.in., że władze miasta likwidując swoją nagrodę twórczą posunęły się za daleko „wylewając dziecko z kąpielą”, a pochwalił naszą redakcję. Został przyjacielem pisma – wiedział, że wojewódzka instancja PZPR do końca zwalczała „Wiadomości” i - co tu ukrywać – wiele nam pomógł. Zapadły mi w pamięć także słowa siostry Klary Zimmermann ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia - pierwszej laureatki naszej nagrody „Za serce”, proste i skromne, ale jak ważne i wyjątkowe: - Dziękuję, ale nie zrobiłam nic nadzwyczajnego. Zawsze służyłam tylko Bogu i ludziom. Potem dołożyliśmy wyróżnienie „Dobry Gospodarz” dla działaczy samorządowych.

**- Jak kształtował się nakład pisma?**

- W początkowej fazie wzrastał od 2 do 6 tysięcy egzemplarzy. Najwyższy nakład, bo 10 000 egz., miał numer przedwyborczy z maja 1989 r., kolportowany w całym województwie leszczyńskim. Promowaliśmy w nim naszego kandydata na senatora - Jerzego Zielonkę wywiadem pt. „Pamiętajcie o ogrodach” autorstwa Piotra Gabryela. W wielu kioskach Ruch sprzedaż tego numeru była sabotowana. Wytyczne wojewódzkiej władzy partyjnej zakazywały kolportowania tego numeru, bo Jurek startował jako kandydat niezależny. A i tak przeszedł do drugiej tury. Prezentowaliśmy też innych kandydatów do Sejmu i Senatu. Był wywiad z działaczem „Solidarności” Stefanem Żurkiem, karta z



pozdrowieniami od Kisiela, popularnego felietonisty...

- **Utworzyłeś przy piśmie „Biblioteczkę Wiadomości Kościańskich”. Wydawałeś w niej książki autorów zaprzyjaźnionych z „WK”; niektórzy autorzy traktowali „Wiadomości” jako poligon doświadczalny. Publikowali artykuły, po materiałach nadsyłanych przez czytelników, rozbudowali je do książkowych rozmiarów...**

- Red. Agnieszka Matelska z Warszawy napisała ciekawe wywiady ze znanymi postaciami. Drukowaliśmy fragmenty jej późniejszej książki m.in. rozmowy z księdzem profesorem Józefem Tischnerem, z podróżnikiem Tonym Halikiem. Cykl „Ze wspomnień prokuratora” zaczynał u nas Zdzisław Wojtczak. Uzbierało się wiele dziesiątek jego reportaży kryminalnych – wydał dwie książki, a pisanie w „WK” doprowadziło go do Związku Literatów Polskich, co w jego zawodzie rzadko się zdarza. Mnich z Lubinia o. Jan Bereza systematycznie pisał dla „WK” o sztuce codziennego życia w cyklu „Medytacje”. Ich zbiór wydało Wydawnictwo Poznańskie, nie odnotowując, że teksty ukazały się najpierw w naszym piśmie. Albo słynne tomiki katyńskie Piotrusia Bauera i Jurka Zielonki pod wspólnym tytułem: „Żołnierska droga przez mękę – Wielkopole w obozach sowieckich” ze wstrząsającą okładką projektu Grzesia Pawlaka.

- **Co zaliczyłbyś do największych sukcesów „WK”?**

- Trudne pytanie. Ale odpowiem – chyba najwięcej dumny jestem z tego, że przywróciliśmy naszemu miastu twórczość kościana, pisarza emigracyjnego Adama Tomaszewskiego z Toronto, który dla nas specjalnie zaczął pisać nowe teksty. Jest laureatem Nagrody „WK” „Za pióro” i patronem kościańskiej biblioteki. Do końca życia bywał w redakcji, utrzymywał z nami kontakt. Wszyscy Go uwielbialiśmy, a najwięcej Zdzisław Wojtczak. No i w ogóle fakt, że przeżyliśmy ćwierć wieku i trwamy...

- **Wymieniłeś sporo nazwisk ludzi związanych z piśmie. Chcesz wspomnieć jeszcze kogoś?**

- Ze współpracowników niewątpliwie wspomnieć muszę mojego przyjaciela, znanego w Wielkopolsce fotoreportera „Panoramy Leszczyńskiej” - red. Bogdana Ludowicza, na którego od samego początku „Wiadomości” mogły liczyć. Cenię moją zastępczynię Jolantę Napieratę, która

przez wiele lat w trudnych czasach zajmowała się techniczno – komputerowym opracowaniem i utrzymywała łączność z autorami i czytelnikami; także artystę grafika Grzesia Pawlaka, od czterech lat prowadzącą „WK” red. Teresę Masłowską z Poznania; prezesa Zbyszka Softysiaka, który od początku drukował „WK” w Poligraficznej Spółdzielni Pracy, a później – do dzisiaj – w swojej prywatnej firmie. Jest jeszcze Alicja Żurek od dawna i z zaangażowaniem, zajmująca się kolportażem. Sprzedaż tego rodzaju pisma nie przynosi żadnego zysku, wymaga wsparcia i nie było by możliwe jego wydawanie bez ofiarności sponsorów i reklamodawców. Jestem im wdzięczny. Mówiłem już na wstępie, że o reklamy coraz trudniej – są jednak przy nas instytucje i firmy, na które mogliśmy i nadal możemy liczyć.

- **Rozprowadzanie gazet to jest dotkliwy, narastający problem. Wiele gazet nie jest w stanie opłacać wysokich kosztów kolportażu i upada...**

- Prawdę mówiąc, skorzystaliśmy z wzorów przedwojennych. Najpierw ominęliśmy placówki „Ruchu” i dzięki poparciu placówek handlowych zorganizowaliśmy jako pierwsi w kraju własną sieć. Przez długi czas sam rozwoziłem pismo, ale przyrost obowiązków spowodował, że nie miałem na to czasu i obsługę sieci kolportażu w powiecie przekazałem właśnie Alicji.

- **A konkurencja?**

- W 1988 roku jej nie było, ani w Kościanie, ani w Wielkopolsce, ani w kraju. Istniały pisma regionalne, ale okazywały się efemerydami, to znaczy zniknęły szybko z rynku. „Wiadomości” to nietypowa gazeta, nie znam drugiego takiego pisma. W 1998 r. zgłosiliśmy się do konkursu dla prasy lokalnej organizowanego przez Institute for Democracy in Eastern Europe. Sponsorowały to: Fundacja Batorego oraz ambasady holenderska i amerykańska. Odebraliśmy główną nagrodę w kategorii miesięczników. Nagroda przełożyła się na sprzęt komputerowy. Z Józefem Kubickim braliśmy udział w uroczystości w Warszawie. Tam powiedziano nam wprost, że byliśmy poza konkurencją. I tak już zostało.

- **Nauczyłeś się czegoś prowadząc „Wiadomości”?**

- Przede wszystkim poznałem bliżej warsztat redaktorski. Wcześniej pisałem, wysyłałem, a teksty redagowali inni. Inni też zajmowali się troską o organizację pracy redakcji, wyposażenie, druk,

pozyskiwanie reklam i ogłoszeń. Teraz sam stanąłem przed tymi problemami – trzeba było się doszkolić w wielu dziedzinach. Wiadomości ukazują się już 25 lat. Wiem, że wciąż są ludzie, którzy czekają na tę gazetę. Wielu myli „Wiadomości” z tygodnikiem „Gazeta Kościańska”, który utworzyłem w 1999 roku, a którego też jestem redaktorem naczelnym. Bez doświadczenia zdobytego w „WK” trudno by mi było kierować „GK”. Ale „Gazeta Kościańska”, młodsza córka „Wiadomości” (tak twierdzi zastępca naczelnego red. Paweł Sałacki) to temat na odrębną rozmowę.

- **No to spróbujmy podsumować...**

- Jesteśmy na rynku regionalnym długo. To dowód na to, że ludzie nas czytali i nadal czytają. Pewnie, że są gazety starsze od nas. Nie będę porównywał się z tym, co na świecie, gdzie funkcjonują redakcje regionalne o wiele bogatsze i finansowo, i kadrowo. To są właściwie pisma zawodowe, komercyjne. Ludzie tam pracują, ażeby z tego żyć. „Wiadomości Kościańskie” to nasze zacięcie regionalne i pasja. Na dobrą sprawę wolontariat. Zawsze twierdziłem, że firmuję to przedsięwzięcie, ale nie jest to moja gazeta, a naszych czytelników.

- **I co dalej?**

Czy ktoś po mnie będzie chciał to robić? Nie wiem. Doktor Henryk Florkowski – przyjaciel „WK” – mawiał, że pismo regionalne jest potrzebne nie tylko współczesnym, ale i przyszłym pokoleniom. Powiedział mi kiedyś: - Nie poddawać się, nie załamywać, pisać, pisać, wydawać, wydawać. Przypominać tych, którzy przed nami żyli w naszej małej ojczyźnie i zaznaczać nasz do nich szacunek. Nie żałuję przygody z „WK”. Te 25 lat tak szybko minęło, że aż nie chce się wierzyć. W 50. numerze wydrukowaliśmy grafikę z postaciami tych, którzy tworzyli pismo. To był styczeń 1993, patrzę na to tableau i widzę, że dziewięć z 22 uwiecznionych na nim osób nie ma już wśród nas. Jak patrzę na to co zrobiliśmy, to myślę, że zostanie po nas kawał dobrej roboty. Tu (w gabinecie redaktora naczelnego – dop. KŻ) na ścianie wisi symbol kaczki dziennikarskiej „Wiadomości”, która zawsze patrzy do tyłu. Jest i druga, młodsza kaczka „Gazety Kościańskiej”. Mam nadzieję, że obie kaczki przetrwają. Tym, którzy towarzyszą nam od początku życzę, aby „WK” ukazywały się długo, bardzo długo. Do opisanego wciąż jest jeszcze wiele spraw.

**KATARZYNA ŻUREK**



# Krótką historia „WK”

spisana piórem Zdzisława Wojtczaka [Fragmenty większej całości]

Jakie były początki? Zapamiętałem to tak. 23 kwietnia 1988 roku, imieniny Jerzego. Było nas może dziesięciu, może dwunastu... Trudno to dziś określić. Jedni wychodzili, inni przybywali. Zapchany książkami, do ostatniego kawałka ściany, pokój Zielonego wypełniał bez reszty papierosowy dym. Najwięcej zresztą palił sam gospodarz, tamtego dnia solenizant, a tak w ogóle nasz Przyjaciel - redaktor Jerzy Zielonka. Palił i mówił. Mówił bez przerwy, tak, jak tylko on potrafił.

\*

Wypiłem z dwa, trzy, a może nawet cztery kielichy (o ile dobrze pamiętam „żytniej”) i pod wpływem słów Jurka papierosowy dym co i rusz rozwiewał się, a zamiast biesiadnego stołu postrzegłem...

Potęźną postać (krótce ostrzyżony, co jego sporych rozmiarów uszy czyniło jeszcze większymi) redaktora Mariana Urbańskiego, jak z olbrzymią płachtą „Gazety Polskiej” („codziennego pisma wszystkich stanów”) spokojnym, rzec by można dostojnym krokiem przemierza klinkierową jezdnię Alei Kościuszki. Cegła na jej powierzchni ułożona była w jodełkę.

Gdzieś po drodze mijął się ze swoim konkurentem (mimo wszystko, chociaż sztywno i oficjalnie, wymieniali ukłony) również znanym w Kościanie redaktorem Zygmunt Dąbrowskim. Ten znowu poprzez „kocie łby” Rynku zmierzał do znajdującej się w nim kamienicy, gdzie na drugim piętrze zasiadał do redagowania „Gazety Narodowej Ziemi Kościańskiej”.

Tuż obok, też w Rynku, to nic, że kilkanaście lat później, na parterze, w końcu ciemnego korytarza, w swoim prywatnym gabinecie, Jan Biechoński ślęczał nad korektą „Echa kościańskiego”... To znowu przyjaciel Jana, Ignacy Minta, w całkiem innym punkcie miasta, nieważne, że w innym też czasie, waląc ciężką ręką w biurko toczył bój o kształt „Gazety Codziennej”.

Tadziu Sekuła, brodata szlachetność, poezja... i delikatny zapach czosnku tworzył „Kościański Informator Kulturalny”.

\*

Zielony nie tylko opowiadał o kościańskiej prasie ostatnich dziesięcioleci. On przekonywał, że nasze miasto musi i może mieć gazetę, że są warunki ażeby powstała,

nie kiedyś tam w przyszłości, ale teraz, już, natychmiast. Przekonywał wszystkich tam obecnych, ale no oczywiście, mówił głównie do dwóch ludzi.

Pierwszy to nasz Przyjaciel - Henryk Bernard. Niestety, Charon zbyt szybko podstawił swą łódź i przewiózł go na drugą stronę Styksu. Nie ma więc Henia dziś wśród nas. Myślę jednak, że tam, gdzie jest cieszy Go także nasz jubileusz.

Kim był? To mój sąsiad z Poznańskiej jeszcze ulicy. Harcerski instruktor z początku lat pięćdziesiątych w podstawówce w Kiełczewie, drużynowy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych w Ogólniaku. Starszy kolega... Uosobienie poczciwości i gołębiego serca, troskliwości dla wszystkich i wszystkiego, miłości do naszego miasta i pewnej życiowej nieporadności, jak czasem pozwalał o sobie mówić „Heniu-Beniu”. W tamtym czasie także pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR. Pewnie, że jego zgoda nie wystarczała do uruchomienia gazety. Co jednak równie oczywiste, bez tej zgody, bez jego przychylności w ogóle nie warto było czegokolwiek rozpoczynać.

Wtedy Heniu, rozluźniony, w rozpiętej marynarce, poluzował nawet krawat, a z jego śnieżnobiałą koszulą kontrastowały popielate w kolorze szelki, z uwagą słuchał słów Jurka. Nic nie mówił, a tylko z aprobatą kiwał głową...

A ten drugi? To Józef Jurga. Co za zbieg okoliczności. Także z Poznańskiej ulicy. Tamtego wieczoru długoletni już Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Nie brat łąta, jak Heniu, ale także nasz Przyjaciel (innych zresztą w domu Zielonego być nie mogło). Trochę sztywny, bardzo reprezentacyjny, i w męskiej urodzie, i w sposobie bycia... Gazeta, ażeby mogła się ukazać musiała mieć wydawcę. W tamtych czasach nie do pomyslenia było, ażeby mogła to być osoba prywatna. Wydawcą według zamysłu Zielonego miała być właśnie Rada Narodowa. Tak więc to Józef, oczywiście, że w pewnym uproszczeniu, miał finansować całe przedsięwzięcie. A jeżeli tak, to musiał mieć pytania. I pytał, o wszystko. O tytuł, o koszty, o redaktora naczelnego... i wiele jeszcze innych spraw.

Zielony na wszystko miał odpowiedź.

## wiadomości kościańskie

miesięcznik społeczno-kulturalny • cena 50zł nr 1 czerwiec'88

OD REDAKCJI

„Wydawnictwo Kościańskie” - miesięcznik społeczno-kulturalny, którego celem jest dostarczenie czytelnikom wiadomości i informacji z kościańskiego regionu, z punktu widzenia kulturalnego i społecznego. Miesięcznik jest przeznaczony dla szerokiego kręgu odbiorców, w szczególności dla mieszkańców Kościana i okolicznych miejscowości. Wiosna i lato to najlepszy czas na spacerowanie i spacerowanie. Wiosna i lato to najlepszy czas na spacerowanie i spacerowanie. Wiosna i lato to najlepszy czas na spacerowanie i spacerowanie.

### lista NR 3

Redakcja: ul. Kościuszki 10, 63-200 Kościan. Telefon: 12 814 01 01. Adres: ul. Kościuszki 10, 63-200 Kościan. Telefon: 12 814 01 01.

Prezenter: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Wydawca: Józef Jurga. Redaktor naczelny: Jerzy Zielonka. Właściciel: Józef Jurga.

Było jasne, że żył tym problemem od lat, że wszystko starannie przemyślał i przeanalizował. Nazwisko redaktora naczelnego? Zielony z miejsca wypalił Jurek Wizerkaniuk. I od razu powiedział dlaczego. Tak jakoś po żołniersku - wiek w sam raz, odpowiednie doświadczenie (był wówczas Jurek Wizerkaniuk, kierownikiem oddziału „Gazety Poznańskiej”), wiedza, umiejętność organizowania swej pracy i wysiłku innych, siła woli, upartość, przebojowość, twardej męski charakter. Kandydatura zyskała przychylności wszystkich. Wszyscy przecież znali „Małego”. Ładny „Mały”. Tak na oko z dwa metry wzrostu, sto kilkadziesiąt kilogramów wagi. Któż zresztą w naszym mieście nie rozpoznawał jego wielce charakterystycznej sylwetki.

Sęk jednak w tym, że tamtego wieczoru trzeba było przekonać i Jurka Wizerkaniuka, ażeby zechciał przyjąć funkcję, jaką mu oferowano. Ten zaś (przybył zresztą dopiero wtedy, gdy jego kandydatura była już powszechnie zaakceptowana) bronił się, jak przysłowiowy diabeł przed święconą wodą. Było to zresztą i po części zrozumiałe. Nawał nowych obowiązków, przewidywana nerwówka i szarpanina, a żadne pieniądze. Naczelnicy, według zamierzeń i tak zresztą później to było, miał dostać tylko skromny ryczałt. Rada pokrywała koszty papieru i druku, a za teksty nikt nie miał płacić żadnych honorariów.

Zielony mając dar przekonywania wszystkich, poradził sobie i z Jurkiem Wizerkaniukiem. No i poszło.

\*

Oczywiście, że to był zaledwie początek. Cała rzecz przecież rozgrywała się w innych czasach. Reglamentacja papieru,





cenzura, zezwolenia takie i owakie, pozwolenia. Wszystko jednak pokonano. W nie całe dwa miesiące od tamtego wieczoru trzymałem już w ręku pierwszy numer „WK”. W programowym artykule pisaliśmy m.in.: „Pismo - zachowując zgodnie z prawem prasowym całkowitą niezależność - jest organem Miejskiej Rady Narodowej w Kościanie, znaczy to, że zaspokajać zamierza potrzeby całego społeczeństwa, wszystkich mieszkańców (...) Ma służyć ludziom, pobudzać do inicjatyw, do twórczego myślenia i do refleksji; pomagać i kształcić w oparciu o zasadę, że nic, co kościańskie nie będzie mu obce.”

Za mocno jestem emocjonalnie związany z gazetą ażebym ośmielił się oceniać, czy te zapowiedzi zostały spełnione. Państwo osądzą to sami...

Pierwszy numer liczył zaledwie osiem stron. Skromny objętościowo, ale za to jaki! Jeszcze dziś pamiętam wzruszenie, z jakim brałem go do ręki... Jurek Zielonka napisał przepiękny, rewelacyjny tekst o Władysławie Broniewskim i jego pobycie w kościańskim Sanatorium. Artykuł dodajmy zauważony w ogólnopolskiej prasie, z szerokim społecznym oddźwiękiem, popularyzowany także przez PAP. Piotr Gabriel, dzisiejszy zastępca redaktora naczelnego poznańskiego „Wprost”, przedstawił tekst o wyborach w Kościanie w roku 1947 (jego ciągłą aktualność podkreślały zbliżające się właśnie wybory), Andrzej Rutecki, myślę, że nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeżeli powiem, że skrywający się pod pseudonimem „Andrzej Jędroł”, w swoim artykule przedstawiał sprawy związane z planem przestrzennym Kościana, Paweł

Szpecht („Wojciech Wrzos”) rozpoczął pierwszy reportaż kryminalny, a dzisiejszy sędzia Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu - Karol Ratajczak artykułem „Ile kosztował awans „Obry”? zainicjował publicystykę sportową.

Potem gazeta stopniowo przybierała na objętości, aż w czerwcu 1990 roku osiągnęła 24 strony. Zapełniały się jej szpalty coraz nowymi artykułami i informacjami. Przybywało nazwisk autorów. Pisali do nas wielkopolscy dziennikarze. Wypada w tym miejscu wspomnieć przynajmniej parę nazwisk: Seweryn Biegański, Jan Biłos, Rafał Frąckowiak, Piotr Grochmalski, Piotr Kurek, Dariusz Łukaszewski, Andrzej Niczyperowicz, Barbara Sadłowska, Marek Szymański, Marek Zieleniewski i wymienieni już uprzednio Piotr Gabriel, Andrzej Rutecki, Paweł Szpecht i nade wszystko Jerzy Zielonka. Ich teksty, w pełni profesjonalne z miejsca nadały gazecie określony charakter. Daleki od amatorstwa. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Równocześnie zaczęli do nas przynosić artykuły - regionaliści: dr Piotr Bauer, dr Leon Chojnacki, dr med. Henryk Florkowski, mgr Antoni Kaźmierczak, Marian Koszewski, mgr Magdalena Lajsner, dr med. Andrzej Szymanowski, dr Krystyna Winowicz. I ta twórczość szczególnie nas cieszyła. Ona powodowała, że „Wiadomości” stawały się coraz to bardziej „kościańskie”, że na naszych łamach znajdowały się treści wartościowe i cenne, dotyczące naszej „małej Ojczyzny”, które nie powinny ulec zapomnieniu, a które gdzie indziej zamieszczone być nie mogły. Gazeta wraz z przybywaniem tych tekstów stawała się ośrodkiem życia kulturalnego.

Dziś, gdy dysponujemy wielopokojowym redakcyjnym lokalem, ta jej funkcja ulega zwielokrotnieniu.

Wracając do pierwszych numerów. Co zrobiło na mnie, największe wrażenie? Nie mam wątpliwości i powiem bez wahania - katyńskie artykuły Jerzego Zielonki. A pośród nich? Zapamiętałem „Wigilię w Starobielsku”. Dlaczego? Dziś, gdy wszystko lub prawie wszystko jest w tej materii jasne, sprawa przecież wygląda inaczej. Ale wtedy, odkrywaliśmy zapomniane, zakłamanie i zakryty świat najboleśniejszych dla naszego Narodu zdarzeń, który być może z naszym udziałem, z naszej winy pozostawał takim przez lata. Państwo wybacz króciutki osobisty akcent. W gorące lato 81 roku mój wówczas dziesięcioletni syn zapytał mnie, kto jest winnym zbrodni w Katyniu? Byłem świeżo po lekturze książek profesora Kowalskiego. Wygłupiony nimi, odpowiedziałem, że nie wiem, ale znając Niemców, przypuszczam, że to oni. Wiem, że moje dziecko to zapamiętało. I dziś czasem w jego wzroku tamtą swoją odpowiedź odnajduję. A w roku 1988, gdy czytałem opisywane przez Jurka dzieje kościaniaków, którzy na tamtej ziemi ginęli, jakże chciałem cofnąć czas i być pytanym przez syna raz jeszcze. Żałowałem tamtej swojej odpowiedzi, chciałbym ją wymazać ze swego życia, zapomnieć o niej. To jednak przecież nie było już możliwe. Stało się. I czytając dzieje porucznika Stefana Rysmana, jego listy do rodziny w Kościańskim zaciskałem bezsilnie pięści i powtarzałem - Zielony dlaczegoś mi tego nie powiedział wcześniej...

Redaktor Jerzy Zielonka. Jego zasługi dla „WK” nie poddaję się opisowi. To nie tylko „ojciec chrzestny” gazety, to także przez pierwsze numery jej spiritus movens. On nadawał jej kształt. Pisząc, inspirując, namawiając i agitując. Najbardziej z nas doświadczony w dziennikarskim fachu, a więc dzieląc się też swoją wiedzą z nami po prostu uczył nas.

Nadszedł czerwiec 1990 roku. Po latach ujęliśmy to tak: „... doszło do nieporozumień z wybraną, nową Radą Miejską. Nastąpił drugi zamach na pismo. Dżentelmeni o szczegółach po latach nie mówią. Napiszmy tak: było pewne, że zespół, który wydawał jedno z najpopularniejszych wtedy w kraju pism lokalnych, nie da się podporządkować nowej Radzie, skoro poprzednia nie miała na publikowane treści żadnego wpływu.”

Jaki był pierwszy zamach? To też trzeba napisać. Komitet Wojewódzki PZPR



w Lesznie (nie pamiętam, może to było po katyńskich tekstach Jurka, może po zamieszczeniu w grudniowym numerze „WK”, na pierwszej stronie fotografii ascetycznej sylwetki, dziś znanego z telewizyjnego programu, a wtedy przeora lubińskiego klasztoru - ojca Leona, a może po marcowej fotografii, też na pierwszej stronie Ojca Świętego z Nastką?) polecił zlikwidować pismo. Nasz Heniu, śp. Henryk Bernard, mimo, że na pewno nie była to dla niego łatwa decyzja, twardo powiedział, a za nim cały kościański Komitet - nie.

\*

Wracając jednak do czerwca 1990 roku. Wtedy niestety stało się. Nr 25 był numerem ostatnim tej pierwszej edycji „WK”.

Była już jednak całkiem inna epoka. Gazeta z lat 1988-1990 scementowała nas, rozbudziła nadzieje, wiele nauczyła. Chcieliśmy ją nadal wydawać teraz, oprócz zaangażowania potrzebne były do tego środki, a mówiąc wprost pieniądze. Jurek Wizerkaniuk swoją pracą, swoim wysiłkiem zdobywszy je, postanowił zaryzykować. Został nie tylko naczelnym, ale i wydawcą. W styczniu wyszedł numer 26 „WK”. Trzeba bowiem w tym miejscu powiedzieć, że Rada Miejska, nie czyniła żadnych przeszkód w przejściu tytułu. Otwierał go artykuł redakcyjny, z jakże charakterystycznym tytułem „Wracamy...”. Czy wszystkim się to podobało? Oczywiście, że nie. W „Głosie leszczyńskim”, bodaj z przełomu stycznia i lutego tamtego roku, publicznie zapytano nas „Po co?”. Jeszcze w tym samym roku słuch po pytających zaginął, a my jakoś trwamy, ba, jakbyśmy się mieli coraz i lepiej.

Były i zmiany. W numerze 26 pojawiła się oczywiście redakcyjna stopka. Porządkowała ona pewne sprawy. Naczelnym był ciągle ten sam. Ten sam był też sekretarz redakcji – Józef Kubicki. Parę słów o Józefie. On właśnie wprowadzał i wprowadza w redakcyjne życie elementarny porządek. Teczki i skoroszyty. Korespondencja, kwestionariusze, PIT-y, w ogóle rozliczenia z Urzędami Skarbowymi i dziesiątki innych skomplikowanych spraw, których nawet określić i nazwać nie potrafię. Połowa serwisu informacyjnego to także jego „roboty”. A przy tym kultura, takt, jakaś ujmująca wszystkich grzeczność, serdeczność i koleżeńskość, pracowitość i skromność...

Co zaś do stopki. Pojawili się zastępcy redaktora naczelnego. Do numeru 9 z 1991 roku byli to Piotr Bauer i Rafał Frąckowiak, a później do września 1993 roku zastępcą pozostawał już tylko dziennikarz „Panoramy



Leszczyńskiej” - Rafał Frąckowiak. Po nim stanowisko to „odziedziczył” niżej podpisany. Józefowi Kubickiemu pomagał od numeru 9 z 1993 roku do listopada 1994 roku dziennikarz „Gazety Poznańskiej” - Tadeusz Jąder, jako drugi sekretarz redakcji.

W numerze trzecim z 1992 roku oprócz „funkcyjnych” w redakcji pojawił się też zespół (Piotr Bauer, Bogdan Ludowicz, Grzegorz Pawlak, Marek Szymański, Zdzisław Wojtczak i Jerzy Zielonka). Wymieniono także nazwiska „stałych współpracowników”, Byli nimi: Jan Bereza, Leon Chojnacki, Henryk Florkowski, Zbigniew Garszka, Antoni Kaźmierczak, Magdalena Lajsner, Witold Łukaszewski, Kazimierz Mikołajczak, Romuald Staniewicz, Krystyna Winowicz, Rafał Wojtysiak i Bogdan Wyrwa. Od numeru 9 z 1992 roku w stopce nie wymieniono już współpracowników.

W październiku 1993 roku do zespołu weszły dwie panie - Elżbieta Blanc z Paryża i Magdalena Lajsner oraz pan Hubert Zbierski. W listopadzie tego roku w stopce pojawiło się nazwisko Zdzisława Witkowskiego. W roku następnym ze stopki „wypadają” Rafał Frąckowiak i Marek Szymański. W skład zespołu wchodzi natomiast Waldemar Sobkowiak. Rok 1995 przynosi zmiany. Najboleśnieszka to ta, że w zespole nie ma już redaktora Jerzego Zielonki. „Znika” też Magdalena Lajsner i Waldemar Sobkowiak. Pojawiają się natomiast nowe nazwiska i tak kolejno - Darka Borowskiego, Ryszarda Biberstajna, Piotra Wielickiego i Witka Łukaszewskiego.

W roku 1996 w składzie zespołu nie pojawia się już nazwisko Bogdana Wielickiego. Nie ma też Bogdana Ludowicza (w dzisiejszych „Wiadomościach” najbardziej



brak mi jego fotoreportaży i zdjęć - postrzegam to w szczególności, gdy po raz któryś oglądam fotoreportaż z nr 4/1991 „Wiosna na łęgach”, czy zrobione chyba z lotni zdjęcie kościańskiej „Starówki”). Zmiany dokonywane w stopce są wyrazem różnic poglądów, dyskusji, rozbieżności, których czasem uniknąć nie było można, a sporadycznie i większość zespołu nie chciała, nie o wszystkim zresztą wypada pisać w jubileuszowym numerze.

Od listopada 1993 roku redakcja miała już też swój samodzielny lokal przy ul. św. Jana. Wtedy też zatrudniono, pracującą do dnia dzisiejszego panią, a tak po prawdzie, myślę, że mi wybaczy te sformułowania, młodzieńką, śliczną dziewczynę - Jolanę Napierałównę. Obsługiwała ona i obsługuje redakcyjne komputery. Przepisując i odcyfrowując niejednokrotnie zresztą do późnych godzin wieczornych nasze nie zawsze czytelne artykuły i notatki. Trochę później zaczęła Jolce pomagać pani Alicja Żurek. Całkiem ostatnio także przy komputerach pracuje i pani Beata Schulz. Jolka dowodząc tym wszystkim, informatyk zresztą pierwszej wody, perfekcyjnie opanowała już zasady łamania numeru, tak, że cała „obróbka” tekstów odbywa się w redakcji.

Odnotujmy jeszcze, że od 29 listopada 1994 roku redakcja zajmuje osiem pomieszczeń w samodzielnym budynku przy Osiedlu Generała Sikorskiego. To też jakaś miara rozwoju naszej gazety. Jak będzie dalej? Zobaczymy...

**ZDZISŁAW WOJTCZAK**  
WK nr 2 (100) z lutego 1997 r.





## Stowarzyszenie Prasy Lokalnej w Poznaniu

Biuro Zarządu: 62-100 Wągrowiec, ul. Janowiecka 1  
tel./fax 0 67 26 23 334  
REGON: 411150840 NIP: 697-200-72-11  
e-mail: [lokalnaprasa@gmail.com](mailto:lokalnaprasa@gmail.com), [www.prasalokalna.eu](http://www.prasalokalna.eu)

Konto bankowe: BZ WBK S.A. I O/ Wągrowiec nr 84 1090 1245 0000 0001 0420 1869

Poznań, 3 czerwca 2013 r.

Pan  
**JERZY WIZERKANIUK**  
Redaktor Naczelny  
WIADOMOŚCI KOŚCIAŃSKICH  
w Kościanie

Serdecznie gratuluję pięknemu jubileuszu 25 - lecia lokalnego Pisma Regionalnego Wiadomości Kościańskie. Minione lata to szmat czasu, który pozwolił na pozostawienie po sobie trwałego śladu na ziemi kościańskiej, dlatego trudno byłoby dziś wyobrazić sobie region bez Wiadomości Kościańskich.

Przez ćwierć wieku czasopismo towarzyszyło przemianom w regionie, społeczno - kulturalnym jego przeobrażeniom, odkrywało nie zapisane jeszcze kartki historii ziemi kościańskiej i jej mieszkańców, przez co jego wkład w rozwój regionu oraz kultywowanie tradycji i pielęgnowanie historii jest nie do przecenienia.

Nad wyraz wspaniałą inicjatywą Wiadomości Kościańskich są doroczne nagrody „Za Nieprzeciętność”, którymi redakcja honoruje zasłużonych ludzi dla regionu. Mało jest tego rodzaju lokalnych inicjatyw w Polsce, stąd zasługuje ona na wysokie uznanie i promocję w kraju. Wiadomości Kościańskie zostały laureatem Nagrody Głównej IV Konkursu Instytutu na Rzecz Demokracji Lokalnej w Europie Wschodniej (IDEE), co jest szczególnym wyróżnieniem dla lokalnego czasopisma o charakterze regionalnym.

W tym dziele wielką jest zasługa Redaktora Naczelnego i Przedsiębiorstwa AGA oraz zespołu redakcyjnego, z czego może być Pan nad wyraz dumny. Wieloletni wysiłek nie poszedł na marne, a odzwierciedlenie tego niezaprzeczalnego faktu znajduje się na łamach opasłych tomów roczników społeczno - kulturalnego pisma.

W Stowarzyszeniu Prasy Lokalnej to czasopismo ma swoje szczególne miejsce i to nie tylko z powodu jego kulturowej wartości, stąd wysoko cenimy sobie tego rodzaju wydawnicze inicjatywy, które mają dziś unikalny charakter.

Z wyrazami wielkiego szacunku i uznania dla Pana dziennikarskiego i wydawniczego dorobku oraz najlepszymi życzeniami doczekania złotemu jubileuszu Wiadomości Kościańskich.

Przeses Zarządu SPL  
Jerzy Mianowski

*Naród bez Pamięci nie ma prawa do przyszłości ani do bytu teraźniejszego,*  
Józef Piłsudski

*W dniu tak ważnym, jakim jest 25. rocznica powstania „Wiadomości Kościańskich”, w imieniu własnym oraz koleżanek i kolegów z Instytutu Pamięi Narodowej Oddział w Poznaniu składam na Państwa ręce najlepsze życzenia dla wszystkich osób piszących i współpracujących z Państwa gazetą.*

*„Wiadomości Kościańskie” wpisały się już w pejzaż naukowy i kulturalny regionu kościańskiego, stając się ważnym elementem kształtowania świadomości i umiłowania swojej małej Ojczyzny i uczestnikiem w procesie odkrywania kart historii, tej bliskiej i odległej, jak również komentatorem współczesnych procesów społecznych i politycznych.*

*Życzę Państwu kolejnych pięknych jubileuszy oraz satysfakcji z realizacji misji docierania do społeczeństwa w trudnych realiach dnia codziennego i wielu sukcesów oraz frapujących tematów do opisanie.*

Poznań, 22 maja 2013 r.

Instytut Pamięi Narodowej  
DYREKTOR ODDZIAŁU W POZNANIU  
  
dr Rafał Ruczek

# Refleksje Życzenia Gratulacje

**Redaktor naczelny „WK”  
Jerzy Wizerkaniuk z okazji  
jubileuszu 25-lecia pisma otrzy-  
mał refleksyjne listy, życzenia i  
gratulacje, które drukujemy.**

\*

Gratulacje z okazji jubileuszu 25 lat powstania „Wiadomości Kościańskich” oraz podziękowania za pielęgnowanie pamięci historycznej o wybitnych mieszkańcach Ziemi Kościańskiej i wsparcie władz lokalnych w realizacji reform samorządowych, Redakcji pisma składa

**Andrzej Jęcz**  
Starosta Kościański

\*

**„Littera scripta manet”**  
Drogi Panie Jerzy!

Przecież gdyby nie wojenne zawieruchy i wymuszone na Polakach ekspatriacje, to urodziłby się Pan pewnie nad Prutem, być może w Kołomyi, a już na pewno na Huculszczyźnie („Tam szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa, / A wesoła kołomyjka do tańca podrywa”), tymczasem los sprawił, że śp. Marian Wizerkaniuk, ojciec Pana, znalazł się nad Obrą („...z dala od stron rodzinnych...”) i tu założył z rodowitą kościanianką rodzinę, w której urodził się szczęśliwym trafem ich syn Jerzy. On też zapuścił korzenie w nasz wspólny czarnoziem, by w wieku męskim ukochawszy swój region, w którym żył i dorastał, redagować „Wiadomości Kościańskie”, periodyk niezwykle potrzebny i niezbędny do tego, by pismo służyło tworzeniu obywatelskiego społeczeństwa.

Pierwszy mój tekst w „Wiadomościach Kościańskich”, Idę do Ciebie Ojczy, ukazał się w numerze 6/67 w czerwcu 1994 (czterdzieści lat po debiucie prasowym), kiedy to egzemplarz kosztował jeszcze pięć tysięcy złotych. Mój zapis refleksyjny wysłałem wtedy do redakcji za uprzejmym pośrednictwem poety Tadeusza



Hofmańskiego. I od tamtej pory u Pana drukuję, drukuję i drukować nie przestanę, aż...

„Littera scripta manet” – „Słowo pisane pozostaje” – i Pan pozostaje w nim. Srebrny Jubileusz „Wiadomości Kościańskich” skłania do wyrażenia serdecznego podziękowania za lata pracy Panu jako wydawcy i redaktorowi naczelnemu oraz zespołowi najbliższych współpracowników, tym, którzy są i tym, którzy z Panem byli. Wierzę, że pismo na chwałę regionu z powodzeniem przetrwa do Złotego Jubileuszu, czego Panu gorąco życzę. Poznań, Święto Konstytucji 3 Maja 2013

**Eugeniusz Wachowiak**

\*

25-lecie WIADOMOŚCI KOŚCIAŃSKICH, w mym pojęciu jednego z najlepszych tego rodzaju regionalnych pism w Polsce. Zasługi miesięcznika są ogromne. Wszak poświęca on wiele miejsca historii Wielkopolski, i w szczególności Ziemi Nadbrzańskiej. Przypomina o związanych z tymi stronami cenionych postaciach, dostarcza i dostarcza o nich i o ich twórczości informacji, które niegdyś nie mogły się przebić przez PRL-owską cenzurę. (Mam tu m.in. na myśli mego ojca, Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego, dyplomata i pisarza laureata nagrody londyńskich „Wiadomości” na rok 1960 za książkę pt „Tamten Brzeg”).

Wysoko cenię prowadzącą WIADOMOŚCI KOŚCIAŃSKIE redaktor Teresę MASŁOWSKĄ, publicystkę tak wielką wagę przywiązującą do dziejów polskiej walki o wolność. Wiem też jak wartościowym człowiekiem i dziennikarzem jest szef tego pisma red. Jerzy WIZERKANIUK!

W mym pojęciu ów miesięcznik, te WIADOMOŚCI KOŚCIAŃSKIE, są atutem nie tylko dla powiatu! Dużo wnoszą w życie kulturalne całej Wielkopolski. Kończąc podkreślę, iż od przyjaciół i także od mych krewnych z Warszawy, Paryża i nawet z Kanady, wiem, że są pod wrażeniem poziomu tego interesującego miesięcznika, już od siebie dodam lepiej redagowanego od niektórych o wiele większych tego typu pism. Pozdrawiam.

**Maciej Morawski, Paryż**

\*

Z okazji 25 rocznicy ukazania się pierwszego numeru „Wiadomości Kościańskich” z wyrazami szacunku i



Kościan, 29 maja 2013r.

Szanowny Pan  
Jerzy Wizerkaniuk  
Redaktor Naczelny  
„Wiadomości Kościańskich”

Z okazji Jubileuszu 25-lecia istnienia „Wiadomości Kościańskich” pragniemy złożyć na ręce Pana Redaktora serdeczne gratulacje i życzenia dalszego rozwoju czasopisma na rynku wydawniczym.

Proszę przyjąć słowa uznania za kilkadziesiątletni aktywny wkład „Wiadomości Kościańskich” w rzetelne i dogłębne informowanie społeczności Ziemi Kościańskiej o sprawach dla niej istotnych oraz kształtowanie i rozwój lokalnego rynku prasowego. Z powodzeniem rozwijacie Państwo publikacje, przedstawiając i tworząc regionalny rys historyczny naszego miasta Kościana. Dziękujemy za wytrwałe i mądre rozbudzanie miłości do naszej Małej Ojczyzny oraz troskę o jej przyszłość.

Składamy życzenia sukcesów zawodowych redakcji wydawnictwa, jak również pomyślności w życiu osobistym.

Przewodniczący  
Rady Miejskiej Kościana  
Piotr Ruszkiewicz

Burmistrz  
Miasta Kościana  
Michał Jurga

wdzięczności za szerzenie wiedzy o Małej Ojczyźnie, która pozwala w młodym człowieku kształtować patriotyzm lokalny. Z najlepszymi życzeniami, by stale powiększało się grono wiernych czytelników, a Redaktorom towarzyszyła satysfakcja z wykonywanej pracy. Szczególnie dziękujemy za wsparcie i pomoc podczas prac związanych z nadaniem szkole imienia.

**Spółeczność Szkoły Podstawowej nr 4 im. Mariana Koszewskiego oraz Gimnazjum nr 4 im. Mariana Koszewskiego w Kościanie.**

\*

Z okazji Jubileuszu 25-lecia istnienia „Gazety Kościańskiej” pragnę w imieniu swoim i wszystkich pracowników Archiwum Państwowego w Lesznie pogratulować wielu sukcesów całej Redakcji. Prasa regionalna zajmuje szczególnie wysoką pozycję wśród mediów. Misja, jaką spełnia, nakłada na nią odpowiedzialność za przekazywane informacje,

zaangażowanie na rzecz społeczności lokalnej, a także upowszechnianie wiedzy na temat regionu, jego historii i kultury. „Wiadomości Kościańskie” są nie tylko odzwierciedleniem rzeczywistości, ale także w znaczącym stopniu ją kształtują, pełniąc w swojej „małej ojczyźnie” ważną rolę społeczną i opiniotwórczą. Całemu zespołowi „Wiadomości Kościańskich” życzę przede wszystkim zdrowia, siły ducha, pomyślności w życiu osobistym oraz dalszych sukcesów na niwie zawodowej dla dobra regionu.

**Mgr Elżbieta Olender  
Dyrektor Archiwum Państwowego  
w Lesznie**

\*

Stowarzyszenie Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie składa na Pana ręce serdeczne gratulacje z okazji 25-lecia „Wiadomości Kościańskich”. Pragniemy podkreślić, że pismo to od pierwszego numeru jest dla nas – mieszkańców



Kościana wielką skarbnicą wiedzy o naszej Małej Ojczyźnie.

To zawarte w nim wiadomości uczą, wskazują drogę i pomagają w poznawaniu meandrów rzeczywistości. Dzięki artykułom możemy poznać wiele wybitnych sylwetek Kościaniaków i nauczyć szacunku dla ludzkich działań. To „Wiadomości” pozwalają wielu czytelnikom poznać historię naszego miasta. Przez 25 lat skupił Pan galerię wspaniałych ludzi, piszących z miasta i powiatu, dzięki którym dzisiejszy czytelnik potrafi pokochać swoje rodzinne strony.

Szanownemu Panu, Zespołowi Redakcyjnemu i wszystkim współpracownikom życzymy wspaniałych sukcesów i jeszcze większej liczby miłośników „Wiadomości Kościańskich”.

**Prezes Zarządu SAGiL  
Czesława Albińska**

\*

#### **Wyznanie grzechów na jubileusz**

Dwadzieścia pięć lat „Wiadomości Kościańskich”? Chłopie, nie masz wyjścia - trzeba dokonać rocznicowego rachunku sumienia. Aby być w porządku w stosunku do ludzi, którzy Wiadomości tworzyli i tworzą. A zwłaszcza do tych, których z nami już nie ma...

#### **Grzech pierwszy**

Zawiniłem myślą, gdy w mieszkaniu Jerzego Zielonki zobaczyłem po raz pierwszy naczelnego WK – Jerzego Wizerkaniuka. Ubrany był w kurtkę moro. Czytał tekst i co chwilę patrzył na mnie badawczo zza okularów w czarnych oprawkach. Ten facet mi jakoś nie pasuje – przeleciało przez mój studencki, grzeszny umysł. Ale zaraz się uspokoiłem – ludzie o tak potężnej posturze są zazwyczaj łagodni i szybko po broń nie sięgają. Nawet, gdy próbują wyglądać jak myśliwi i robią groźne miny. Jednak do dzisiaj za te moje ówczesne nieczne myśli biję się w piersi.

#### **Grzech drugi**

Zawiniłem brakiem czynu, gdy nie udało mi się złapać sławnej maszyny do pisania doktora historii Piotra Bauera, dyrektora kościańskiego muzeum. Wpadła w błoto niedaleko szkoły „czwórki”. Zamek walizki nagle się otworzył i poszło... Wracaliśmy wówczas z makietowania jednego z pierwszych numerów „Wiadomości Kościańskich”. Gościny – w bloku na ulicy Szkolnej – udzielił nam Henryk Orzech. Specjalnie rozłożony stół w dużym pokoju szybko zaśmiecił

się kartkami – pomysły na wygląd gazety powstawały w bólach. Maszynę udało się z błota oczyścić. Piotru, jesteś już w lepszym świecie – chyba nie masz wciąż żalu o maszynę?

#### **Grzech trzeci**

Zawiniłem jedząc placek na kozim mleku - po jednym z pierwszych wywiadów dla „Wiadomości Kościańskich”. Porozmawialiśmy sobie długo w domowym zaciszu i na koniec pan Józef poczęstował przysmakami zrobionymi przez żonę. Rozmowa – nie tylko o problemach rolnictwa - była nagrywana i poszła do druku w WK w całości – bez upiększeń. Ponoć po jej wydrukowaniu w „WK” ktoś wysoko postawiony groził panu Józefowi palcem. Miałem później wyrzuty, że placek taki super, a może w zamian zrobiliśmy panu Józefowi krzywdę.

#### **Grzech czwarty**

Zawiniłem odkładaniem wszystkiego na później. Nie udało mi się odwiedzić ponownie Geeritje i Jana ze wschodniej Holandii. Wspaniali, gościnni ludzie. Powstał o nich tekst do „Wiadomości Kościańskich” – na zdjęciu dwoje starszych ludzi trzymających w rękach najnowsze wydanie WK. Gazeta z reportażem pofrunęła do Holandii, a za tydzień czy dwa nadeszła przesyłka z podziękowaniem i... holenderskim serem. Geeritje i Jan już nie żyją. Ich syn jakiś czas temu przysłał mi zdjęcie kamienia, pod którym spoczywają prochy rodziców i napisał, że tamten numer „Wiadomości Kościańskich” był przez nich przechowywany jak relikwia. Ale nowszego już nie udało im się zobaczyć. Żałuję zaniedbania...

#### **Grzech piąty**

Zawiniłem onegdaj przy rozkładówce. Był taki numer „Wiadomości Kościańskich”, w którym środkowe strony mi – łagodnie mówiąc – nie wyszły. Przekombinowałem ze zdjęciami. Chciałem za dobrze. Naczelnym mnie, co prawda, za to do kąta nie postawił i nie kazał klęczeć na grochu, ale wstyd został. Gdy dzisiaj – po latach – sięgam do zszywki i natrafiam na tamto wydanie gazety, używam w stosunku do siebie słów powszechnie uznawanych za obelżywe.

#### **Grzech szósty**

Zawiniłem, bo nie spisałem sensu i treści wszystkich spotkań, na których rozmawialiśmy o przyszłości

„Wiadomości Kościańskich”. A takich dyskusji było sporo i różne osoby brały w nich udział. Ścierały się koncepcje, pomysły, czasami była ostra walka na racje

i argumenty. Miejsca tych potyczek? Oczywiście Kościan, ale nie tylko. Takich miejsc było dużo. Choćby hotel w Smoleńsku – po powrocie naszej kościańskiej grupy z Katynia, czy też zaciszne miejsce w Wilnie. Na pewno coś pożytecznego dla WK się urodziło. Ale zapiski niepełne – żal...

#### **Grzech siódmy**

Zawiniłem zaniechaniem. Za mało było rozmów z ludźmi piszącymi w „Wiadomościach Kościańskich”. Spotykaliśmy się głównie na łamach. Dużo nazwisk trzeba by wymienić. Uzbierało się ich sporo przez 25 lat. Wstydzę się mojego braku czasu, a pewnie i odwagi. Ale pocieszam się, że kiedyś dojdzie do zaległych spotkań. Choćby z ojcem Janem Berezą – benedyktynem z Lubinia, który na początku istnienia WK pisał o muzyce, a później o medytacjach. Z Bogdanem Wyrwą „Wadu” porozmawiamy o kościańskim sporcie, a z Piotrkim Bauerem o jego ukochanej, ozdobionej malwami, działce niedaleko kanału Obry. Działki już nie ma, nie ma tamtych lat i ludzi. Została pamięć i przecucie, że coś się zaniedbało.

Więcej grzechów jubileuszowo nie pamiętam. Redaktorze Naczelnym, Jurku, nie bądź dla błędzącego zbyt surowy...

**Rafał Frąckowiak**

\*

Szanowna Redakcja Jubilatka poprosiła mnie o parę słów na temat Kościana. Cóż ja o Kościanie wiem, skoro bywam tam więcej niż okazjonalnie i prawie nikogo tu nie znam? Mogę napisać tylko o tym, jak postrzegam to miasto, więc proszę, miejcie to na względzie – to z pewnością mocno wykrzywiony, ale tylko i wyłącznie mój obraz.

Od parunastu lat mieszkam w Lesznie. Ani się tu nie urodziłem, ani jeszcze się nie zakorzeniłem. A przecież widzę i czuję ten dość skomplikowany związek łączący leszczyniaków z kościaniakami. Niektórzy twierdzą, że wywodzi się z zamierzchłej przeszłości. Znajomy przekonywał mnie, że wielki pożar Leszna podczas Potopu Szwedzkiego to właśnie wina kościaniaków. Miasto zasiedlali wtedy Czesi – jako protestanci pod wodzą Jana Amosa Komenskigo opowiedzieli się po stronie szwedzkiej, więc Polacy miasto zdobyli, splądrowali i spalili. Ci Polacy – szlachta katolicka – właśnie z okolic Kościana mieli się wywodzić. Wiadomo, że właśnie pod Kościanem stoczono pierwszą zwycięską bitwę ze Szwedami po haniebnej kapitulacji



cji pod Ujściem. I oczywiście kościaniacy się chwalą Żegockim. A Leszno w tym czasie wystawiło regiment jazdy, który walczył pod Jasną Górą. Tyle, że po stronie szwedzkiej.

Czy to zaważyło na przyszłych pokoleniach? Z całą pewnością nie. Ale pokazuje wielką różnicę między oboma miastami. Leszno bowiem przez te 300 lat zmieniło się zupełnie. Po Czechach ślad zagał. Po nich przyszli Niemcy. Jeszcze sto lat temu Polaków było tu zaledwie 10 procent. Więcej zjechało się po 1920 roku, kiedy miasto wróciło w granice Rzeczypospolitej. Zjechali się jednak z całej Polski. Kiedy wybuchła II wojna światowa wielu znów wyjechało – dobrowolnie lub wyrzuconych przez Niemców. Nie wszyscy wrócili, pojawili się natomiast inni, ci z Kresów – Leszno było bowiem bramą do tak zwanych „Ziem Odzyskanych”. Wreszcie przyszedł rok 1975, wyniesienie do rangi miasta wojewódzkiego i to, co się do dziś nazywa „desantami”: górowskim i nowotomyskim. Stąd moja robocza teza, że Leszno jest miastem wciąż pozbawionym tożsamości. Nikt tak naprawdę nie jest stąd. Choć mam nadzieję, że większość jest u siebie.

W Kościanie jest zupełnie inaczej – miasto zawsze było polskie i wielkopolskie. Z tym pięknym bagażem historii. O bitwach już wspominałem, ale przecież nie można nie wspomnieć o Układzie Kościańskim z 1298 roku. 1298! W Lesznie wtedy jeszcze chodziliśmy po drzewach, a tu biskupi robili koło pióra Łokietkowi.

Bardzo ważna osoba w Lesznie – prezes Unii Józef Dworakowski słynie jako sprawny aforysta. Jedno z jego najbardziej znanych powiedzonek brzmi: „historię trzeba znać, ale historię się nie żyje”. Moim zdaniem to bzdura – człowiek, który nie żyje historią jest duchowym nędzarzem. Macie piękną historię, a co ważniejsze nią żyjecie. Bo to historia waszych rodzin, waszych przodków. I strasznie wam tego zazdroścę. Prawie tak bardzo, jak przepływającej przez miasto rzeki.

**Jarek Adamek**  
Radio ELKA

\*

Z okazji jubileuszu 25-lecia „Wiadomości Kościańskich” serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia dla Ciebie, Zespołu Redakcyjnego i – oczywiście – dla wszystkich Czytelników ślą Przyjaciółki i Przyjaciele z Leszna. Cenimy sobie bardzo Twoje pismo

i jesteśmy przekonani, że będzie służyło Ojczyźnie jeszcze przez długie lata.

**Roman Majewski**  
Redaktor Naczelny  
„Panoramy Leszczyńskiej”

\*

#### Jedno jeszcze dochodzenie Kościana

W sprawie Kościana najzwyczajniej się pomyliłem. Albo popełniłem błąd. Naiwnie chciałem Kościana dochodzić. Potem chciałem Kościana dochodzić nie naiwnie. Potem się wściekłem, bo Kościan zrobił ze mnie idiotę, a ja bardzo nie lubię zostawać idiotą. Dlatego odpuściłem? Nie, do odpuszczania się nie przyznam, bo także nie lubię przyznawać się do odpuszczania. Nawet przed sobą. Do pomyłki przyznać się mogę. Nie sprawia mi kłopotu przyznanie się do błędu. Jednak z Kościanem na pewno jeszcze nie skończyłem. Bo z Kościanem sprawa jest naprawdę poważna.

Nie przyjmuję do wiadomości, że Kościańskością zostałem naznaczony z przypadku. Kościańskością naznaczonemu stało się, bo stać się musiało. To pewnik. Zostałem naznaczony Kościańskością i jako naznaczony Kościańskością zostałem zobowiązany do wypełnienia zadania. Cokolwiek uznam za owo zadanie, muszę spełnić. Muszę spełnić naznaczony Kościańskością. I tak się stać musi.

Ale ogarnąć Kościana nie sposób. Bo Kościan jest globalnym punktem odniesienia i Kościan jest punktem odniesienia wszystkich podeszłych i wszystkich przyszłych mileniów. Niestety, zrozumiałem to nader późno. Błąd podjęcia próby dochodzenia Kościana został popełniony. Swoją sprawę z Kościanem po prostu muszę kontynuować.

Że Kościan wymyka się wszelkiej wyobraźalnej czasoprzestrzeni, przecież jednak odkryłem Kościana z równym powodzeniem można rozpoznać, zmierzając ulicami Miasta (na przykład Alejami Kościuszki i Wrocławską w stronę Rynku, by skręcić – dla samego siebie nieoczekiwanie – w Świętego Jana i przeszedłszy nią znaleźć się na Kościelnej, przy farze), jak i usłyszawszy polskie frazy pod zamkiem w Edynburgu (akurat jakiś kształt też zamajaczył, ktoś podobny do serdecznego znajomego, oczywiście naznaczony Kościańskością, albo i tylko jakaś szczególna wiązka myśli).

Kościańskością zaś jest córą Kościana. I jestem dość mądry (niezależnie od wszelkich przeciwności!), by wiedzieć,

że Kościan i Kościańskość istniały, zanim komukolwiek się śniło o założeniu grodu nad rzeką, której jeszcze nikt nie nazywał Obrą. I Kościańskość jest niezmienna i pozostanie niezmienna aż do skończenia świata. Aż do skończenia Kościana.

**Tadeusz Hofmański**

\*

Towarzystwo Śpiewu „Lutnia” im. Zygmunta Cichockiego w Kościanie wyraża podziękowanie za długoletnie propagowanie tradycji pieśni chóralnej i postaci muzyków miejscowych. „Wiadomości Kościańskie” tym bliskim naszemu sercu tematowi poświęciło wiele miejsca, doceniając dorobek chórów i orkiestr w dziedzinie upowszechniania kultury muzycznej wśród społeczności powiatu kościańskiego. Cenimy szczególnie artykuły pani dr Krystyny Winowicz publikowane na łamach „WK”. Z okazji 25-lecia pisma prosimy przyjąć wyrazy szacunku i nasze najlepsze gratulacje.

**Jan Lasik**  
Prezes TŚ „Lutnia”

\*

Ćwierć wieku aktywnej i pozytywnej obecności w świadomości i odbiorze lokalnej społeczności to powód do zasłużonej dumy, satysfakcji, a także zadumy, refleksji i gratulacji. Gorąco dziękując za 25 lat przybliżającej i utrwalać w pamięci osobistości i zdarzenia z naszych Małych Ojczyzn, a wśród nich i Śmigła - serdecznie gratuluje osiągnięć - szczerze i serdecznie życząc Panu Redaktorowi oraz całemu Zespołowi Redakcyjnemu wszelkiej pomyślności, zadowolenia i satysfakcji w życiu osobistym i zawodowym oraz dalszej pomyślności i satysfakcjonującego redagowania i wydawania pisma regionalnego „Wiadomości Kościańskich”. Z wyrazami szacunku.

**Józef Cieśla, Śmigiel**

\*

#### To już jest Jubileusz!

Przez 25 lat Czytelnicy „Wiadomości Kościańskich” delectowali się ich specyficzną treścią. Samo przetrwanie i przez tyle lat redagowanie strona po stronie czasopisma jest dużym osiągnięciem. Redakcja „Wiadomości” w pocie czoła tworzyła każdy numer, z troską o poziom i poczytność. Jest to przecież legitymacja



wartości poziomu literackiego oraz dzieł geograficznych i poetyckich w nich zamieszczanych. Istotą jubileuszowego sukcesu „Wiadomości” jest klimat, w którym egzystuje ich dzieło. Klimat ten w aglomeracji kościańskiej utworzyła historia regionu, a więc jego dorobek kulturalny, osiągnięcia gospodarcze, a przede wszystkim zaangażowanie patriotyczne ich mieszkańców i władz.

Wielkopolskie środowisko działaczy i żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, a szczególnie Armii Krajowej, z uznaniem przyjmuje teksty traktujące o ich działaniach drukowane systematycznie na łamach „Wiadomości Kościańskich” i ocenia je bardzo wysoko za intensywność przekazu, wynikającą z bezpośrednich relacji twórców i świadków najnowszej historii. Dziękujemy za to serdecznie, gratulując jubileuszowych osiągnięć i życzymy trwania w dobrej formie do następnego – złotego jubileuszu. Z wyrazami uszanowania

**mjr inż. mgr Ludwik Misiek**  
wiceprezes Zarządu

Okręgu „Wielkopolska”

Światowego Związku Żołnierzy Armii  
Krajowej

\*

Obchodzimy różne rocznice. Jubileusz 25 lecia „Wiadomości Kościańskich” jest mi szczególnie bliski. Przyglądałem się jak powstawały, przez całe dwadzieścia pięć lat byłem i jestem ich wiernym czytelnikiem. Oprawione tomy „Wiadomości” są cenną częścią mojego księgozbioru wśród pamiątek i wydawnictw regionalnych.

Osoby, które przez te lata przewijały się przez łamy tego pisma, zarówno Ci, którzy pisali, jak i Ci, o których pisano, to w większości znane mi postaci. Na każdy numer wyczekiwałem, do niektórych sam pisałem. „Wiadomości” były i są symbolem bliskich więzi ludzi związanych z Kościanem i regionem, zarówno z tymi, którzy tu mieszkają jak i z tymi z odległych części świata. „Wiadomości” to historia, dzień dzisiejszy, ludzie i miejsca, w których żyjemy, bez polityki, bez niepotrzebnych złych emocji – to zjawisko, które trudno spotkać w dzisiejszej prasie. „Wiadomościom Kościańskim” to się udało. Życzę kolejnych 25 lat i szybkiego powrotu do systematycznego, comiesięcznego ukazywania się. Redaktorom zaś sił do pracy i dużo zdrowia. Z poważaniem.

**Jan Kozak, Kościan**

## Ludzie tak szybko odchodzą

[Wspomnienia o przyjacielu Zdzisławie Czajce]



Zdzisław Czajka (z prawej) z autorem tekstu.  
Fot. ze zbiorów Z. Witkowskiego

Ludzie rzeczywiście odchodzą bardzo szybko, często niespodziewanie i prawie zawsze pozostaje wrażenie, że nie wszystko zostało załatwione, powiedziane, okazane sobie... Szkoda, że zwykle dopiero w takich chwilach uświadamiamy sobie, ile dla siebie znaczymy, ile jeszcze chcielibyśmy sobie powiedzieć, jak trudno bez siebie żyć, jak wielka powstaje pustka?

Nie pamiętam naszego pierwszego spotkania. Pamiętam natomiast bardzo dobrze naszą pierwszą wspólną eskapadę jeździecką. Zdzisław prowadził wówczas sekcję jeździecką w Trzebani koło Osiecznej w gospodarstwie rolnym PGR Stare Bojanowo. Tam też wspólnie jeździliśmy po okolicznych lasach. Po wstępnej nauce jazdy konnej w Racocie, właśnie tam, pod Jego okiem stawiałem pierwsze poważne kroki jeździeckie. W stajni stał kapitalny wałach imieniem Banan. Z tej stajni wyruszyliśmy wspólnie na pierwszy rajd konny. Ja oczywiście na Bananie. Były to czasy stanu wojennego. Zdzisław zabiegany, zawsze nieco spóźniony, ciągle załatwiający coś po drodze. Wyjechaliśmy około południa, by wieczorem już o zmroku dojechać do Cichowa, gdzie dołączyliśmy do pozostałej grupy jeźdźców z Garzyna i Racotu. Dalej kontynuowaliśmy rajd w szesnaście koni wraz z wozem taborowym, by po tygodniu i przejechaniu ponad dwustu kilometrów zakończyć oficjalnie w Racocie. Następnego dnia trzeba było jeszcze odprowadzić konia do Trzebani. Problem polegał jednak na tym, że zapracowany i zagoniony „Zdziniu” urwał się w trakcie imprezy i wracać musiałem sam, co dla przeciętnego jeźdźcy nie jest takie proste, zważywszy na końskie zwycza-

je, ruch drogowy i nieprzewidywalność tego zwierzęcia. „Czaja” zdążył jednak mi wbić do głowy, że to koń jest najważniejszy, to on wymaga w pierwszej kolejności opieki, pojenia, karmienia, dokładnych oględzin grzbietu, nóg i kopyt, a tygodniowa jazda po kilkadziesiąt kilometrów dziennie stawia jeszcze jedno, najważniejsze zadanie, a mianowicie, by konia odprowadzić do jego macierzystej stajni w stanie nie gorszym, niż w momencie startu. Mam nieskromne wrażenie, że to zadanie wykonałem nawiązując z koniem autentyczną przyjaźń, ale przede wszystkim wracając z koniem w dobrym zdrowiu i kondycji.

Kiedy Zosia i Zdzisław Czajkowie zamieszkali już w Trzebidzy, nasze kontakty nabrały tygodniowej regularności. Gdzie Czajkowie, tam konie, a koń to zwierzę które łączy ludzi i potrafi tworzyć niesamowite więzi. Któregoś dnia – chyba w niedzielę umówiliśmy się ze Zdzisławem w godzinach rannych. Dzień był dość chłodny, pochmurny, wczesna wiosna, idealna pogoda na jazdę konną. Osiedliśmy dwa konie i wyruszyliśmy z Trzebidzy zamierzając objechać dookoła jezioro Trzebidzkie. Nie znałem wówczas jeszcze tej okolicy, ale już na pierwszy rzut oka teren do jazdy konnej wydawał się wręcz idealny. Zaraz za bramą gospodarstwa las, piękne dukty, a do tego jezioro, o którym wiedziałem, że stanowi rezerwat ptactwa wodno-błotnego. Wałach, którego dosiadałem okazał się być wyjątkowo dobrze „zrobionym” koniem, dość wysoki, o nieprawdopodobnie dobrym ruchu i wyjątkowo wygodnym galopie. Na początku trochę rozmawialiśmy o koniach, okolicy, ale przyroda i miejsce robiły wrażenie. Wkrótce skoncentrowaliśmy się na jeździe. Cisza była idealna, żadnych ludzi, maszyn rolniczych czy innych pojazdów. To tam obserwowałem jedne z pierwszych żurawi w moim życiu. Wiosna była na tyle wczesna, że zdążyły już przylecieć, ale jeszcze parami przebywały na leśnych polanach przed przystąpieniem do gniazdowania. Pierwsza para jak zjawa ukazała się nam w nisko zalegającej mgłę, ale zareagowały na naszą obecność spokojnie, bo człowiek na koniu jest czymś naturalnym w środowisku i nie budzi niepokoju wśród zwierzyny. Po chwili rozległ się ich donośny klangor, ale miałem wrażenie że „zatrąbiły” przede wszystkim dla siebie podkreślając, że to ich teren. Przejechaliśmy w ciszy i skupieniu pozostając pod wrażeniem obecności tych



niezwykłych ptaków. W lesie odbyliśmy w milczeniu długi galop. Do dziś pamiętam wyjątkowo wygodny ruch konia i niesamowitą przyjemność jazdy. Po powrocie do domu na pewno była kawa, bo w tym domu zawsze była kawa, wyjątkowa atmosfera i niepowtarzalna gościnność. No i tak to się zaczęło. Zupełnie naturalną rzeczą było umówienie się na kolejną jazdę konną. Wkrótce zacząłem bywać w tym domu niemal w każdą sobotę, a kiedy nie przyjeżdżałem, za swój obowiązek uważałem usprawiedliwienie nieobecności telefonicznie.

Jego autentyczna miłość i szacunek do koni istniały od samego początku naszej przyjaźni i w tym się realizował. Na koniach się znał, mimo, że wykształcenie miał humanistyczne. Można było się od niego wiele nauczyć, choć czasami bywał niecierpliwy, kiedy nie wszystko szło po jego myśli.

Wszyscy „postępujemy” w swoim wieku, a zdrowia nam raczej nie przybywa. Czaja grał chojraka i o zdrowie niestety mało dbał. Wkrótce przestał jeździć konno, ale ciągle organizował wszelakie imprezy jeździeckie. W Trzebidzy bywali goście z całej Europy. Tam odbywały się pod Jego czujnym okiem rajdy, przy nieocenionym wsparciu Zosi, jeździeckie spotkania Hubertowskie zawsze kończono przy ognisku, ciepłej strawie i przednim „popitku” w wyśmienitej kompani. Tam spotykali się ludzie ze światka końskiego, związani z hodowlą koni, sportem jeździeckim na najwyższym poziomie, to tam poznałem osobiście jednego z najlepszych polskich

WKKW-istów i trenera kadry narodowej Polski WKKW, który towarzyszył Mu do końca i był obecny na Jego pogrzebie.

Jego i Zosi dom tętnił również życiem artystycznym, to tam odbywały się liczne plenery malarskie, tam poznałem znaczących malarzy z Ukrainy, Petersburga, ale też ze Śmigła i innych zakątków Polski. Dom zawsze wypełniony był obrazami, rękodziełem artystycznym, starociami. Tam również można było zawsze kupić ciekawy obraz, piękną ceramikę, malowany jedwab czy inne „cudeńka”.

W okresie funkcjonowania województwa leszczyńskiego przez wiele lat razem działaliśmy w zarządzie Okręgowego Związku Jeździeckiego w Lesznie. Wymienialiśmy, a właściwie obdarowywaliśmy się licznymi książkami. Ja przywoziłem wszelkie wydawnictwa Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, które w „Czajkówce” stały na eksponowanym miejscu wśród wielu innych książek, Zdzisław z kolei zawsze o mnie pamiętał, gdy ukazywało się coś interesującego na temat regionu, parków krajobrazowych, budownictwa pałacowego czy jeździectwa. Zawsze zastanawiałem się, jak On na tej wsi to wszystko załatwiał, skąd o tym wiedział? Prowadziliśmy też długie rozmowy na tematy jeździeckie, regionalizmu i Ziemi Kościańskiej, przyrody, ochrony środowiska, oczywiście koni, szlaków kajakowych, a czasami nawet o ptakach. Spędzaliśmy w Trzebidzy wspólne, niezapomniane Sylwestry, a o wyjątkową atmosferę i doskonałą kuchnię dbała niezastąpiona gospodyni Zosia.

Kto jeździ konno, od czasu do czasu

spada, jest to sport stosunkowo niebezpieczny i urazowy. Ogromną sztuką jest robić to z głową i rozsądnie. Zdzisław nigdy przede mną się nie przyznał, ale wiem, że starannie dobierał mi konie do jazdy, a jeżdżącemu ze mną Michała bardzo uczył na bezpieczeństwo i rozwagę. Jego doświadczenie i autentyczny instynkt jeździecki wiele razy pozwoliły nam uniknąć problemów i wyjść z trudnych sytuacji podczas jazdy.

W majowy weekend w Trzebidzy jak zawsze dom pełen gości, jazda konna, gwar i ruch. Zdzisław pełen życia i wigoru – mimo pewnych problemów zdrowotnych. 15 maja imieniny Zofii, goście, rozmowy, plany na jutro. Wieczorem telefon do solenizantki z zamiarem złożenia życzeń. Nie zdążyłem, krótka, pełna napięcia i rozpaczy przerwana rozmowa, wiadomość o jego śmierci, potem moje długie milczenie. Śmierć ludzka wydaje się naturalnym biegiem rzeczy, ale kiedy przychodzi tak absolutnie niespodziewanie, szybko, zawsze trudno w nią uwierzyć, przyjąć do wiadomości, pogodzić się.

We wtorek, 21 maja 2013 roku na Cmentarzu Górczyńskim w Poznaniu pożegnała Go rodzina, najbliżsi, przyjaciele. Wypada tylko żałować, że środowisko jeździeckie, które tworzą ludzie szczególnie sobie bliscy, tak rzadko znajduje dla siebie wspólny czas. Zawsze jednak znajdujemy czas, by spotkać się na pogrzebie, a szkoda.\*

Kościan, w maju 2013

**ZDZISŁAW WITKOWSKI**

\* Zdzisław Czajka był laureatem Nagrody „WK” „Za Nieprzeciętność”



# Patron z sąsiedztwa

Przez wiele lat, w epoce słusznie minionej, Szkoła Podstawowa nr 4 w Kościanie nosiła imię Generała Karola Świerczewskiego – Waltera. Szkół noszących to imię zwanych „walterowskimi” było w kraju prawie 400. Po transformacji ustrojowej Rada Pedagogiczna jednogłośnie podjęła decyzję o rezygnacji z tego imienia. Szkołą bez patrona była kościańska „czwórka” sporo lat. Po dłuższym czasie pojawiła się ponownie idea wyboru nowego patrona. Po doświadczeniach z generałem zależało nam na wyborze takiej osoby, której życiorys nie będzie w przyszłości dawał powodów do kolejnej rezygnacji.

Spośród różnych koncepcji najczęściej zwolenników miała idea znalezienia patrona w najbliższym otoczeniu szkoły. Pomysł, by patronem szkoły został kościaniak, regionalista, patriota i wspaniały człowiek, zrodził się wśród członków grona pedagogicznego w 2010 roku. Pan Marian Koszewski był sąsiadem szkoły, jego dzieci i wnuki były jej wychowankami. Przyszły patron często gościł w „czwórce” na lekcjach historii, wiedzy o społeczeństwie i godzinach wychowawczych. Młodzież chętnie uczestniczyła w spotkaniach z nim, poznając historię miasta i regionu.

Propozycja przyjęcia przez szkołę Jego imienia spotkała się z akceptacją nauczycieli, uczniów, ich rodziców, władz miasta, władz oświatowych, rodziny i wszystkich, którzy Pana Koszewskiego znali. Imię Mariana Koszewskiego nosi Szkoła Podstawowa nr 4 oraz Gimnazjum nr 4 w Kościanie. Uroczystość nadania imienia odbyła się w czerwcu 2010 roku. Udział w niej wzięli liczni goście, członkowie rodziny, dzieci i młodzież, pracownicy szkoły. Tego dnia na korytarzu szkolnym odsonięta została tablica pamiątkowa. Taki a nie inny wybór gwarantuje, że „czwórka” jest jedyną placówką, której patronem jest pan Marian. Sylwetkę Patrona dzieci i młodzież poznają na lekcjach wychowawczych i lekcjach historii. Do kanonu lektur obowiązko-



Ławeczka Patrona. Od lewej: Jan Koszewski syn Mariana i red. Maciej Morawski z Paryża.

Fot. Teresa Maślowska

wych weszła wspomnieniowa książka „Pamięć” autorstwa Mariana Koszewskiego. Pozycja ta omawiana jest na lekcjach języka polskiego w gimnazjum. Jej znajomość pozwala kształtować w wychowankach szacunek dla wartości, które Patronowi były szczególnie bliskie: pracy, wiedzy, tradycji, patriotyzmu. Co roku uczniowie pod kierunkiem nauczycieli przygotowują programy artystyczne poświęcone Marianowi Koszewskiemu, uczestniczą wspólnie z rodziną Patrona również w spektaklach przygotowanych przez Kościański Ośrodek Kultury. Uczniowie biorą udział w konkursach poświęconych osobie Pana Koszewskiego.

Aby jeszcze bardziej przybliżyć uczniom, także tym najmniejszym postaci pana Mariana w zeszłym roku swoje miejsce w korytarzu szkoły znalazła ławeczka z rzeźbą przedstawiającą siedzącego na niej Patrona. Małe dzieci siadają na ławeczce i Patrona nazywają „dziadkiem”, młodzież zaś, szczególnie w dniu ukończenia szkoły, chętnie robi sobie pamiątkowe zdjęcia. Pod tablicą pamiątkową fotografowani są przez dziennikarzy lokalnych gazet laureaci wojewódzkich konkursów przedmiotowych. Niektórzy z nich twierdzą, że Patron „czuwał nad nimi” podczas

zmagania konkursowych.

Można zadać sobie pytanie, jakie znaczenie dla społeczności szkolnej miał fakt nadania Szkole Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 imienia Mariana Koszewskiego? Młodzi ludzie z pewnością zyskali wzór do naśladowania, autorytet, co w dzisiejszych czasach wydaje się niezwykle cenne. W wypracowaniach gimnazjaliści z dumą podkreślają, że ich szkoła nosi imię Mariana Koszewskiego.

Na grobie Patrona codziennie pali się znicz z logo kościańskiej „czwórki”, a przy okazji świąt zawsze składane są kwiaty z okolicznościową szarfą. Charakter patrona, wyznawane przez niego wartości, ludzka postawa w nieludzkich czasach wojny i okupacji gwarantują ponadczasowość wyboru i nie podlegają dyskusji. Od momentu nadania imienia wielokrotnie różni mieszkańcy Kościana podkreślali, że społeczność szkolna dokonała słusznego wyboru. Wchodzący na teren szkoły goście, dopytują z zainteresowaniem, kim był Marian Koszewski, a po otrzymaniu odpowiedzi zawsze podkreślają, że wybór lokalnego patrioty, regionalisty jest wyborem zasługującym na uznanie.

LESZEK MICHALCZAK





## II Kościańska Noc Muzeów

Anna Maria Kramm.

Fot. Ze zbiorów muzeum

W nocy z 18 na 19 maja bieżącego roku, w całej Europie odbyła się Noc Muzeów. Kościan po raz drugi wpisał się w ten ogólnoeuropejski nurt. Dla przypomnienia, w roku ubiegłym prezentowano zdjęcia lotnicze, które wydane zostały w formie albumu „Nad ziemią kościańską”. Kościańscy muzealnicy, zaproponowali przybyłym do muzeum gościom spotkanie ze sztuką współczesną. Na ścianach głównej sali ekspozycyjnej w kościańskim Ratuszu pojawiły się obrazy stworzone przez malarkę dr hab. Annę Marię Kramm, z pochodzenia kościaniankę.

Artystka na co dzień jest wykładowcą we wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta, gdzie samodzielnie prowadzi autorską klasę rysunku. Prace jej często goszczą we wnętrzach galerii w całej Europie. Początkowo autorka tworzyła prace o charakterze realistycznym, natomiast od

końca lat dwutysięcznych rozpoczęła tworzyć obrazy abstrakcyjne, w odbiorze których najważniejsze jest światło i kolor. Jak ujęła to Maria Magdalena Morawiecka we wstępie do katalogu artystki rozdawanym podczas wernisażu „obrazy schwymane przez Marię Kramm nie pozwalają zapomnieć o czymś, co powinno być oczywiste, a co jednak często wymyka się z pola odbiorcy uwagi przysłonięte warstwą narracyjną dzieła: materią malarstwa jest kolor – jego nasycenie, głębia, temperatura. Odcienie, metamorfozy, gra światła. Sposób, w jaki wypełnia i organizuje przestrzeń, ślizga się po powierzchniach, lub zostaje przez niewchłonięte. Odbicia, faktury, przenikanie, płaszczyzny uderzenia pędzlem, laserunki i rozproszenia. Po odarciu malarstwa z dekoracji i sztafażu tym, co pozostaje, okazuje się sama jego esencja.”

Podczas II Kościańskiej Nocy Muzeów w ramach wystawy

„TRAWERSY” malarka zaprezentowała między innymi cykl wielkoformatowych obrazów wykonanych we Włoszech zatytułowanych „Muralle czyli ściany”. Jak mówiła sama artystka jej prace pozbawione są anegdoty i próżno w nich doszukiwać się jakichkolwiek form. Obrazy mają przemawiać do odbiorcy przede wszystkim kolorem. Na kościańską wystawę złożyły się prace przygotowane przez artystkę w pracowniach we Wrocławiu, Wiedniu oraz Włoszech. Warto tutaj dodać, że była to druga po 17 latach autorska wystawa prac Anny Marii Kram w Muzeum Regionalnym w Kościanie, pierwsza podyplomowa wystawa miała miejsce w 1996 r.

Oprócz wystawy „TRAWERSY”, zwiedzający tego dnia muzealne progi mogli podziwiać prace studentów klasy rysunku, pracowni 113 z Wrocławskiej ASP. Inspiracją dla młodych twórców miały być najsłynniejsze dzieła sztuki, stąd też tytuł wystawy „Kopia mistrza”.





*Nocna wystawa.*

*Fot. Ze zbiorów muzeum*

Co prawda zadaniem młodych twórców nie było tylko dosłowne kopiowanie wielkich dzieł malarskich, czy rzeźbiarskich, a raczej wchodzenie z nimi w swoisty dialog, stąd też, na niektórych pracach spotkać można było połączenie kilku elementów różnych dzieł. Dominowały odniesienia do prac Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rembrandta i innych przedstawicieli malarstwa włoskiego i holenderskiego.

Muzeum otwarte było dla gości od godziny 20:00 do północy, w tym czasie z zaproszenia skorzystało około 200 osób, co świadczy wyraźnie o fakcie, iż taka inicjatywa znajduje szeroki oddźwięk wśród mieszkańców nie tylko naszego miasta, ale i całego regionu. Druga kościańska noc muzeów tradycyjnie rozpoczęła się na dużej sali ekspozycyjnej, gdzie po serdecznym powitaniu wszystkich gości przez dyrektora Dariusza Krama, kilka słów o eksponowanych pracach i działalności

artystycznej powiedziała sama autorka. Po oficjalnym otwarciu zwiedzający podziwiali prace pozostałe otwarte w tym dniu sale ekspozycyjne kościańskiej placówki.

Pojawiła się także szansa na skonfrontowanie opinii na temat dziejów regionu i miasta. Szczególnie duże emocje budził odwieczny, owiany mrokami tajemniczości problem istnienia sieci tajemnych, podziemnych korytarzy, które jak głosi jedna z miejskich legend, mają się wic pod kościołem farnym, Ratuszem, Placem Niezłomnych i jak uważają niektórzy także pod kościołem św. Ducha. Szczególnie silnie w ich istnienie wierzą przedstawiciele młodszej grupy wiekowej, osoby starsze podchodziły do zagadnienia znacznie bardziej sceptycznie. Nie zmienia to faktu, iż historia regionalna jest w naszym najbliższym otoczeniu ciągle żywa, budzi emocje i zainteresowanie nie tylko u młodzieży. Oprócz rozmów

na tematy stricte regionalne pojawiały się pytania np: z zakresu rozwoju broni.

Podobnie jak i w minionym roku tak i teraz w ratuszowej sali ślubów odbył się wykład dla zwiedzających w tym dniu muzeum. Zaproponowany przez Annę Marię Kramm temat dotyczył działalności artystycznej na lodowcu Kitzsteinhorn w Wysokich Taurach w austriackich Alpach, gdzie co roku rzeźbiarze i artyści z Polski, Czech, Słowacji i Austrii tworzą za pomocą lodu i światła wyjątkowe w swoim kształcie lodowe rzeźby i budynki użyteczności publicznej. Wykład cieszył się wyjątkowym zainteresowaniem widzów, czego efektem była kolejna prezentacja dotycząca prac rzeźbiarskich w granicie. Ostatnich gości kościańscy muzealnicy pożegnali siedem minut po północy.

**ŁUKASZ URBANIAK**



# Wiatr od morza

Woda, wiatr, morze, wolność i przygoda. Kto z nas nie marzy o tym, aby niczym sławny kapitan Jack Sparrow żeglować na nieznanymi wodach? Zawijać do odległych portów. Z Kościana daleko na Karaiby. Ale i u nas nie brakuje prawdziwych wilków morskich, którzy na niejednej krypie próbowali swoich sił. Jednym z nich jest na pewno Jerzy Kliemann, komandor Kościańskiego Klubu Żeglarskiego. W Klubie udziela się już ponad trzydzieści lat. Był jednym z inicjatorów jego powstania.

- A wszystko mogło potoczyć się w zupełnie innym kierunku – wspomina dziś komandor Kliemann. Początkowo interesowało go przede wszystkim szymbownictwo. Pasja żeglarska narodziła się trochę później - choć też w czasach, kiedy byłem jeszcze piękny i młody – żartuje. Jako harcerz Chorągwi Leszczyńskiej należał do drużyny wodnej. Harcerze jeździli nad Jezioro Dominickie. To tu próbował pierwszych sił na żaglach. A warunki do żeglowania były wspaniałe.

## W żagle

Po jakimś czasie komandor Kliemann zamieszkał w Kościanie. Jak się okazało, nie brakowało tu chętnych do żeglowania. Sport ten od zawsze miał wielu pasjonatów. Okolica bogata w jeziora. Problemem był brak bazy, która mogłaby stać się miejscem spotkań kościańskich żeglarzy.

Szansa pojawiła się pod koniec lat 70-tych. Spiętrzone wodę na Jeziorze Wonieść. Wcześniej jezioro było dość wąskie, małe, porośnięte gęstymi lasami. To sprawiało, iż były nikłe szanse, aby złapać wiatr w żagle. To właśnie wówczas wycięto drzewa dookoła, powiększono zbiornik, który swym zasięgiem objął pięć dawnych jezior: Drzeczowskie, Wonieskie, Wojnowickie, Jezierzycie i Witosławskie. Na tym szlaku powstał jeden akwen o powierzchni 700 ha.

- Początkowo krajobraz był nieco księżycowy, a zmiany mocno odbiły się na wykształconym przez wieki eko-



Komandor morski Jerzy Kliemann.

Fot. w zbiorach bohatera artykułu

systemie – przyznaje Jerzy Kliemann. Natura poradziła sobie z tymi zmianami. Dziś Wonieść jest ptasim rajem i rajem dla miejscowych żeglarzy. Nareszcie powstał akwen, który nadawał się do tego, aby można było po nim pływać. I tak od 1982r. bawimy się na tym jeziorze – dopowiada żeglarz.

## Kotwica rzucona

Położone malowniczo wonieskie nabrzeże już od ponad trzydziestu lat jest miejscem spotkań dla wielu zapaleńców, polujących na pomyślne wiatry. Od początku żeglarska przystań budowana była wspólnymi siłami. Pierwsza to pomosty ośrodka wypoczynkowego „Chemik”. Przystań z prawdziwego zdarzenia zaczęła powstawać nieco później, jesienią 1983r. żeglarze przy wsparciu Zakładów Urządzeń Chemicznych „Metalchem” odbudowali budynek klubowy. Powstał hangar, pomosty. Stopniowo rozszerzała się baza sprzętowa. Od początku działalności głównym celem klubu było szkolenie młodzieży i dzieci. Przez ponad 30 lat wyszkoliło się tu około 300 osób.

- Klub spełnia szereg zadań. Od rekreacyjnych, szkoleniowych po turystyczne. Stawarza kościaniakom możliwość do realizowania aktywności związanej z uprawianiem sportów wodnych. Taki był sens i cel naszej dotychczasowej działalności – opowiada Jerzy Kliemann.

- Dlaczego żeglarstwo tak mnie pociąga? Ponieważ uczy cierpliwości, pokory, odwagi. Nawigacja to sztuka

podejmowania decyzji i przejmowania odpowiedzialności za te decyzje. Jednym słowem to dobra szkoła życia, wyrabia pozytywne cechy charakteru. Poza tym pływanie to podróż. Jest jak okno na świat – kontynuuje.

Już średniowieczni, zwłaszcza portugalscy i hiszpańscy żeglarze, zdawali sobie z tego sprawę. Nie bez kozery wyruszali na morza i oceany celem poszukiwania nieznanymi lądami i szlakami. I nowe lądy odkrywali. Poznawanie świata, temu służą rejsy morskie.

- Żeglarze nie tylko na okrągło szukają wiatru, ale patrzą do jakiego portu zawinąć. Pływaliśmy po Bałtyku, Atlantyku, widzieliśmy greckie Cyklady, Norweskie Fiordy. Organizujemy rejsy śródlądowe. Każdego lata pływamy po mazurskich jeziorach naszym klubowym jachtem „Pasja Kościana”. W tym roku już po raz kolejny nasz Klub będzie gospodarzem ogólnopolskich regat żeglarskich Omega Match Cup 2013. To duża i poważna impreza a jej wyniki zalicza się do klasyfikacji światowej.

## Strzeż się Latającego Holendra

Zanim jednak żeglarz wypłyne w morze musi poznać nieco żeglarskich obyczajów. Jest wiele przesądów i zabobonów, których należy przestrzegać. Choć co niektórzy z braci żeglarskiej zaklinają się, iż przesądni nie są, to w piątek w morze nie wychodzą.

- To, co kiedyś było prawem i obowiązkiem, dziś stało się tradycją – snuje opowieść komandor. Jednym z nich jest





Daleki rejs.

Fot. w zbiorach bohatera artykułu

zakaz gwizdania na pokładzie. Dawno temu, kiedy nie było jeszcze różnych technicznych udogodnień, gwizdkiem bosmańskim wydawano komendy. Przypadkowy gwizd mógł prowadzić do mylnego wykonania rozkazu. Taka niefrasobliwość była onegdaj surowo karana. A śmiałek, który po sporej dawce rumu zapominał się, kończył wachtę wisząc na rei masztu. Nie była to podróż komfortowa, a tym bardziej bezpieczna.

Postrachem dla wielu ludzi morza jest wciąż legenda o Latającym Holendrze. Historia sięga dawnych czasów, kiedy to pewien krewki holenderski kapitan żeglował na odległych wodach. Nie był człowiekiem tchórzliwym acz złym. Za swoje liczne grzechy i bluźnierstwa, spotkała go sromotna kara. Sam Bóg skazał go na wieczną tułaczkę po morzach i oceanach. Już nigdy nie zaznał wytchnienia i spokoju. Statek – widmo straszy żeglarzy do dziś. Legenda głosi, iż jego spotkanie niesie nieszczęście i wróży śmierć.

- Jest wiele ciekawych legend i historii związanych z morzem i żaglami. Mógłbym opowiadać godzinami. Na szczęście nie dane mi było spotkać Holendra – uśmiecha się komandor.

#### Niezawodna busola

Od czasów Henryka Żeglarza, Vasco da Gamy czy Krzysztofa Kolumba wiele się zmieniło. Czasy karaweli (typ okrętu w XVI w. wysokich burtach), astrolabium (urządzenie określało szerokość geograficzną na której znajduje

się statek) czy busoli to już zamierzchła przeszłość. Dziś, techniczne nowinki ułatwiają wiele rzeczy. Poczynając od samych jachtów. Jachty buduje się z włókna węglowego, kevlaru (wytrzymałego, lekkiego tworzywa - dop. red.). Budowa jachtu coraz bardziej przypomina projektowanie statku kosmicznego.

- Kiedyś pływało się na łajbach drewnianych. Wciąż mam do nich sentyment. Drewniane jachty mają duszę – jak nasz flagowy jacht klubowy „Pasja Kościana”. Inicjatorem powstania łódki był bosman śp. Piotr Stępkowski. Długo szukaliśmy projektanta. W końcu zdecydowaliśmy się powierzyć projekt Januszowi Maderskiemu z Miłowa koło Stepnicy na Zalewie Szczecińskim. Budowę zaczęliśmy sami, ale dzieło zostało uwieńczone sukcesem, dzięki bosmanowi z "Kotwicy" Rogoźno. "Tolek" - Antoni Łuczak, wykończył ją dla nas. Budowa się trochę przeciągała, ale w końcu się udało. Nasza łódka została zwodowana. Rok 2004 był jej pierwszym sezonem na Mazurach. Do dziś pływa po mazurskich jeziorach.

Na jachcie dowodzi kapitan. To nie zmieniło się od wieków. Jest jeszcze trzech oficerów wachtowych, których wyznacza się do prowadzenia jachtu.

- Pierwszy oficer odpowiada za nawigację i dokumenty. Załatwia sprawy formalne i jest zwierzchnikiem pozostałych oficerów. Drugi oficer pilnuje porządku oraz nadzoruje kambuz czyli kuchnię. Trzeci oficer odpowiedzialny jest za sprawy techniczne związane z

bezpieczeństwem na jachcie. Wachtą to czas służby, ale też część załogi, która tę służbę pełni – wyjaśnia komandor. – Wachtą zmienia się co cztery godziny. W tym są dwie wachty łamane - dwugodzinne. Pozwala to na rotację marynarzy czy żeglarzy pełniących służbę.

Jest jeszcze kwestia nawigacji. Kiedyś jacht czy statek trzeba było prowadzić za pomocą mapy i kompasu. Na mapie wykreślało się trasę. Trzeba było obserwować poszczególne porty, latarnie. Jak latarnia wygląda za dnia. Nocą natomiast weryfikowało się położenie za pomocą częstotliwości sygnałów świetlnych. Dzisiaj mamy sporo ułatwień - popularny i znany również zwyczajnym użytkownikom stałego lądu GPS. Choć czasem potrafi wyprowadzić na manowce. Co pewno wie niejeden kierowca. Dlatego warto być czujnym i przygotowanym. Tradycyjna mapa i umiejętność jej odczytania to niewątpliwie rzecz, jaką każdy żeglarz mieć i znać powinien.

- Nigdy nie zapomnę mojego zaskoczenia, kiedy w okolicy Świnoujścia spotkaliśmy zbłąkanego niemieckiego żeglarza. Tuż niedaleko brzegu zauważyliśmy, że ktoś wzywa pomocy. Pogoda była piękna. Ląd tuż, tuż. A tu race ratunkowe na horyzoncie. Okazało się, że nawaliła mu elektronika. Był kompletnie zdezorientowany. Nie miał zielonego pojęcia gdzie się znajduje. A to zaledwie kilka mil od dużego portu.

Może stara mapa i busola to nie taki przeżytek jak nam się wydaje.

#### Gdzie ta keja?

- Sporo żeglowałem po Mazurach. Odbywałem rejsy morskie. Choć w latach osiemdziesiątych miałem problemy, aby wypłynąć z Polski - aż do 1987r. nie mogłem wypływać poza główki portów. To mnie trochę ograniczało. Uparcie walczyłem o odpowiednią pieczęć w książeczce żeglarskiej.

- „Gdzie ta keja? Amazonka, wielka rafa, oceany trzy ... Gdzie to jest?”. Tu w Wielkopolsce. Jezioro Wonieć znam jak własną kieszeń. Jestem z nim związany. To moje jezioro. Lubię tu żeglować. Tu wspólnie z innymi zapaleńcami założyliśmy Klub Żeglarski. A Klub to przede wszystkim ludzie. To wspólna pasja, wiedza, doświadczenie, praca wielu osób. Każdy z nas tworzy ten Klub i każdy z nas z powodzeniem znajdzie tu coś dla siebie.

**KATARZYNA ŻUREK**



## Dzienniki Macieja Morawskiego (XV)

## Franciszek trafia do młodych



Autor „Dziennika” z wizytą u przyjaciół.  
Na zdjęciu z panią Marią Pawlakową z Kościana.

Fot. Jerzy Zielonka

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy kolejny odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2013 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: [www.maciejmorawski.blox.pl](http://www.maciejmorawski.blox.pl).

7 kwietnia

Drodzy przyjaciele przestali mi smutną wiadomość. W naprawdę przeze mnie ukochanym mieście Kościanie zmarł wczoraj w wieku 100 lat słynny ksiądz kanonik Leon Stępnia - długoletni i ceniony za pomoc niesioną innym, więźniom hitlerowskich obozów zagłady Gusen i Dachau. Jak donosi prasa, „po wojnie pełnił on posługę duszpasterską w parafiach w Swarzędzu, Gieczu, Wonieściu i w Kościanie. Był laureatem nagrody „Wiadomości Kościańskich”, „za serce, jakie okazywał wszystkim,

którzy się doń zwracali”. W związku ze zgonem tego niesłychanie ofiarnego, do końca życia dbałego o drugich kapłana, „Wiadomości Kościańskie” wydały specjalny dodatek nadzwyczajny. Śmierć Ks. Leona Stępnia - jak słyszę - w Południowej Wielkopolsce i też w innych okolicach odbiła się rzadko spotykanym echem. Umarł on zapewne „in odore sanctitatis”... Jedno wiem. Nie zapomnę go w mych modlitwach. Nieraz będę prosił go o wstawiennictwo. Wszak promieniowało odeń dobrocią i uczynnością. Był zaprzeczeniem, ze złożonych przyczyn dziś szczególnie częstej, obojętności na los i troski bliźnich. Na pewno nie należał do tej teraz rozpowszechnionej kategorii osób, które głoszą: „mam dość własnych spraw, żeby się jeszcze cudzymi zajmować”.

Na łamach mego dziennika składam kondolencje wszystkim bliskim Kanonika Leona Stępnia, jego konfratrom i przyjaciółom, redakcji „Wiadomości Kościańskich”, władzom powiatu i miasta. Zapytuję, czy w tej lub innej

miejsowości będzie z czasem ulica imienia Ks. Leona Stępnia? Na pewno warto i jest po prostu w interesie każdego z nas podtrzymać pamięć o tym kapłanie, który nikogo nie „spławił”, który umiał okazywać bliźnim serce!

19 kwietnia

„Le Figaro” przynosi dziś wielki artykuł swego korespondenta w Warszawie, znakomitej dziennikarki Arielle Thedrel. Tekst, opracowany z pomocą Marcina Zrańka nosi tytuł „La Pologne ausculte son passe juif”, zdobi go tragiczne zdjęcie z getta z 19 kwietnia 1943 r. przedstawiające grupę Żydów (w tym dzieci) z tobołkami i z podniesionymi do góry rękoma, otoczonej przez niemieckich żołdatów...

Artykuł podkreśla, że w ten piątek nastąpi już otwarcie w Warszawie Muzeum Historii Żydów Polskich (jak już zaznaczałem, fakt powstania tego olbrzymiego Muzeum robi tu bardzo pozytywne wrażenie). Nie będę streszczał tego ważnego artykułu! Odnoszę tylko, iż jak się telefonicznie dowiaduję, z miejsca odbił się tu mocnym echem. Odnosowano np. to, iż pani Thedrel mocno uwydatnia fakt, że profesor Robert Szuchta napisał kilka podręczników szkolnych dotyczących ludobójstwa Żydów, dzięki którym polska młodzież teraz wiele wie o tej dziejowej tragedii. Przedmiotem dyskusji jest też poruszone w artykule zagadnienie, dlaczego w PRL, przemilczano cały ten dramat? Moi telefoniczni rozmówcy zauważyli skądinąd, iż redaktor Thedrel między innymi przytacza opinie czołowego polskiego historyka profesora Pawła Machcewicza. Ów wybitny naukowiec wyraźnie wskazuje na znaczenie: 1) opublikowanej w 1987 r. książki słynnego polskiego intelektualisty, jakim był Jan Błński (1931-2009), książki pt.: „Biedni Polacy patrzą na getto” 2) prac profesora Jana Grossa. Profesor Machcewicz zaznacza, że w Polsce państwo nie kolaborowało z Niemcami (dodam: jak to działo się we Francji Petaina), jednak zdarzało się, iż niektórzy Polacy pisywali donosy, dokonywali szantaży, rabunków, pogromów. Tyle, ot tak od ręki, w kolosalnym skrócie o tym ważkim artykule.

Z ostatniej chwili. Dzwoni do mnie polski inteligent z Warszawy. Mówi, że jego synowie studenci są pod wielkim wrażeniem obchodów owej 70. rocznicy. Dodaje, że młodzież, która teraz sporo podróżuje po świecie, nawet bywa w USA, „w pełni docenia znaczenie



dialogu polsko-żydowskiego, wagi, jaką dla nas Polaków ma 1000 lat wspólnej historii oraz także mocna pozycja Żydów polskich np. w Ameryce”. Niektórzy młodzi zarówno w USA jak i w Paryżu „doświadczyli pomocy od polskich Żydów”...

#### 24 kwietnia

Wczoraj francuskie Zgromadzenie Narodowe uchwaliło ustawę o tzw. małżeństwach dla wszystkich („małżeństwa homoseksualne”) 331 głosami „za” (głosowało przeciw 225 deputowanych). Przeciwnicy ustawy złożyli skargę do Rady Konstytucyjnej. Dysponuje ona miesiącem, by się wypowiedzieć. Zdaniem niektórych rzeczoznawców nie można całkowicie wykluczać tego, że owa Rada częściowo „ocenzuruje” zdania tego tekstu dotyczące adopcji. Wczoraj wieczorem w okolicach Zgromadzenia Narodowego kilka tysięcy osób protestowało przeciw ustawie. Późnym wieczorem niewielka już grupa protestujących (kilkaset osób) zaatakowała kamieniami i butelkami starające się utrzymać w tamtej dzielnicy porządek siły policyjne. Policja w końcu użyła gazu łzawiącego. Ponoć doszło do kilku aresztowań, jakiś policjant jest ranny w głowę.

Jeden z mych przyjaciół, poważny obserwator sytuacji francuskiej, uważa, że cała sprawa z ową ustawą, to w gruncie rzeczy odwracające uwagę od spraw naprawdę ważnych, zawracanie głowy. Jego zdaniem prawdziwy problem we Francji i w niektórych krajach Unii, to spowodowany zbyt długim kryzysem i bezrobociem niepokój społeczny, będący siłą rzeczy wodą na młyn różnych demagogów, szarlatanów, zwolenników tego lub innego „zamaskowanego totalitaryzmu”, wrogów rozsądku i umiaru. Dlatego tak ważne, by siły rozsądku i umiaru pchnęły (mimo dość krótkowzrocznego oporu Pani Merkel) Unię na tor inwestycji i modernizacji. (Ponoć Niemcy, mający jak słyhać najlepszych w Europie politologów, zaczynają jednak dostrzegać, czym wszystko to pachnie).

Nie należy skądinąd lekceważyć zagadnienia terroryzmu. Ledwo dobiegł końca dramat bostoński, a już wczoraj dokonano zamachu na ambasadę francuską w Trypolisie. Cudem zginęły tam tylko dwie osoby. Zdaniem specjalistów dżihadysty i im pokrewni fanatycy uprawiają niestety – za pomocą Internetu – dość skuteczną propagandę terroru.

Ulegające ich wpływom jednostki „można znaleźć dosłownie wszędzie”. Wszędzie też mogą powstawać małe zespoły chcące siać zamęt, dokonywać krwawych wyczynów. To właśnie dlatego - zdaniem rzeczoznawców - tak trudny problem.

#### 29 kwietnia

Słynny paryski tygodnik „L'Express” ostatnio przyniósł duży artykuł dający wyraz przekonaniu, że Polska już nie jest równie katolicka jak niegdyś. Zapłodnienia pozaustrojowe, środki antykoncepcyjne, pary żyjące bez ślubu - wszystko to się mnoży. Kraj upodabnia się w tych dziedzinach do Zachodniej Europy. 70 procent Polaków w zasadzie zgadza się na związki partnerskie heteroseksualistów, a 30 procent na takie związki dla homoseksualistów. „L'Express” podkreśla, iż o przegłosowanie różnych tego typu ustaw w pierwszym rządzie zabiega Ruch Janusza Palikota, który w ostatnich wyborach parlamentarnych uzyskał ku ogólnemu zaskoczeniu 10 procent głosów i tym samym 41 posłów w Sejmie. „L'Express” przytacza też wypowiedzi, z których wynika, że wzrasta liczba par żyjących bez ślubu. Ale w tym dość długim tekście mowa także o tym, że Polska mimo wszystko jest jednym najbardziej katolickich krajów Europy: 40 proc. Polaków chodzi w każdą niedzielę na Mszę Świętą! Jednak w roku 1989 udawało się do Kościoła w ów dzień 50 proc. Polaków. A gdy idzie o młodych, to ponoć tylko 30 proc. dopełnia niedzielnego obowiązku.

W związku z tym artykułem i innymi jemu podobnymi wypowiedziami, przeprowadziłem rozmowę z młodym polskim katolikiem, który być może uda się w lipcu na światowe dni młodzieży do Rio de Janeiro, aby wysłuchać wypowiedzi Papieża Franciszka. Mój rozmówca mocno podkreśla rozwój w Polsce braterskich i dynamicznych wspólnot katolickich. Zaznacza następnie, że Papież Franciszek umie znajdować język i styl zachowania trafiający młodym do serca. W Niedzielę Palmową zwracając się do młodzieży powiedział: Nie bądźcie smutni i nie dajcie sobie wykraść Chrystusowej nadziei! Zdaniem rozmówcy Papież Franciszek najwyraźniej potrafi z wszystkimi wiernymi dialogować, wprowadzać ich na drogę miłości bliźniego i wielkiej prostoty. Czuje się, iż jego postawy wywodzą się wprost z Ewangelii. Jak wiadomo, gdy idzie o młodzież, to

bywa ona w swych osądach ostra, nieraz za krytyczna. Czasem, jeśli to tak można określić, za wiele od kapłanów żąda. Są oni u niej jakby na cenzurowanym. Jedno jednak rzuca się w oczy: sposób bycia, słowa i styl postępowania Papieża Franciszka robi na młodych ogromne wrażenie, wzbudza ich entuzjazm i tym samym przyciąga ich do Kościoła, umacnia przywiązanie do religii. Zdaniem rozmówcy: Jasne już, iż Papież Franciszek swymi postawami wleje nowego ducha ofensywy w serca wierzących i umocni zaufanie do Kościoła. Już pierwsze jego gesty rozbudziły ogromne nadzieje, z miejsca np. zrozumiano jak bliskim jest on ludzkich problemów. To odbiło się natychmiast bardzo pozytywnym echem.

#### 7 maja

Dziś zaczyna się państwowa wizyta prezydenta Bronisława Komorowskiego we Francji. Według niektórych na ogół dobrze poinformowanych obserwatorów, to spotkanie prezydentów Polski i Francji może mieć spore znaczenie. Jak słyhać, Prezydent Hollande wysoko ceni inteligencję i zdrowy rozsądek Bronisława Komorowskiego. A poza tym, Polska jest w ramach Trójkąta Weimarskiego jakby szczególnie upoważniona do zabiegania o dobre stosunki francusko-niemieckie. Owe stosunki, które ostatnio przeżywały oziębienie. Szło, jak wiadomo, o różne podejście do problemu walki z kryzysem. Z grubsza biorąc Niemcy stawiają na zaciskanie pasa. Francja pragnie pewnego „nakręcania koniunktury”. Rząd francuski jasno dostrzega fatalne dlań politycznie skutki „rygorów”. Wszak potęgają się we Francji wpływy skrajnie lewicowego Frontu Lewicy, oraz - w jeszcze większym stopniu chcącego wyjścia ze strefy Euro prawicowego Frontu Narodowego (ostatnio Komisja Europejska owo zagadnienie dostrzegła: pozwoliła Francji redukcję deficytu budżetowego odłożyć na dwa lata) Jedno pewne, prezydent Komorowski może dziś wiele wnieść w proces wypracowywania, nowej, biorącej pod uwagę zagrożenia polityczne linii postępowania Unii. Naturalnie wizyta Komorowskiego przebiegnie też pod znakiem zacieśniania bilateralnej (gospodarczej, militarnej, kulturalnej) współpracy polsko-francuskiej. Ale bardzo ważną jest właśnie współpraca ma terenie Unii. Przed laty ojciec mój mawiał: w interesie Polski winniśmy walczyć o Europę na francuskim sosie...

oprac. TERESA MASŁOWSKA



## Podróże z literaturą Z Elizą pod rękę

Po przystankach w Mereczowszczyźnie (miejsce urodzenia Tadeusza Kościuszki), Żyrowicach i Prużanach dotarliśmy z Nowogródka do Grodna. A jak to miasto, to z punktu widzenia literatury mowa być powinna tylko o Elizie Orzeszkowej. Z nim i jego okolicą związana była tysiącem okoliczności. Urodziła się w niedalekiej Miłkowszczyźnie i tam pojechaliśmy. Po dawnym dworze rodziców pisarki nie ma śladu. Podobnie jak i po parku. Jadąc w kierunku Zalesnej zatrzymujemy się na skraju lasu, przy przydrożnym cmentarzu, a właściwie cmentarzyku. Są tu groby rodziny Pawłowskich. Między innymi ojca Orzeszkowej Benedykta Pawłowskiego i jej siostry Klementyny, babki Elżbiety Kamińskiej.

Mogły, niektóre bardzo okazałe, są odnowione i zadbane. Opiekują się nimi dzieci z pobliskiej szkoły. Po chwili, pełną drogą dojeżdżamy do Kamionki. Z dala widać wieże kościoła. Stał on na miejscu starego w 1908 r. W starym kościele, w miejscu ołtarza znajduje się odpowiednie kamienne oznaczenie, że odbywał się tu chrzest Pisarki. Wracamy do Grodna. Mieszkamy w olbrzymim posowieckim hotelu Omega przy ul. Wasilka. Jego olbrzymim plusem jest to, że okna naszego pokoju wychodzą na ulicę Orzeszkowej.

Przy tej ulicy stoi odrestaurowany dom Orzeszkowej, pięknie się z zewnątrz prezentujący. We wnętrzu jest maleńkie, mieszczące się zaledwie w dwóch pokojach, muzeum Pisarki. W pozostałej części budynku znajduje się biblioteka. Myślę, że autorka „Nad Niemnem” z takiego rozwiązania byłaby nadzwyczaj zadowolona. Za swego życia, jeszcze pod zaborem rosyjskim, co przecież było nie bez znaczenia, groziły bowiem za to surowe kary, w tym właśnie domu zezwalała na prowadzenie tajnej szkoły polskiej. Jej uczniowie mogli zaś korzystać z prywatnej biblioteki Pisarki, a i ona sama miała w tej szkole wykłady.

Muzeum Orzeszkowej jest skromne. To nie znaczy jednak, że nie ma tu nic godnego uwagi. Jest biurko Pisarki i Jej przybory do pisania. Znajduje się oryginalny kominek, pamiętający dawny jeszcze dom. Robią też wrażenie zdjęcia



Zaniedbany cmentarz parafialny w Grodnie.

Fot. Zdzisław Wojtczak

i portrety. Stare wydanie „Nocy i dni”. Są Jej zielniki. Niewielu z nas wie, że Eliza Orzeszkowa trudniła się zbieraniem najrozmaitszych kwiatów i ziół. Robiła z nich, ponoć precudowne, kompozycje i zielniki, którymi obdarowywała przyjaciół i znajomych. Musiała też posiadać w tym zakresie sporą wiedzę, skoro w jednym z ówczesnych miesięczników geograficzno-etnograficznych „Wisła” opublikowała artykuł „Ludzie i kwiaty nad Niemnem”. Będąc w tym muzeum wspominałem mimo woli moją Mamę. Bardzo lubiła czytać powieści Orzeszkowej. M.in. dla niej kupowałem przed laty pięćdziesiąt dwu tomowe dzieła Pisarki wydanie na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

\*

Obok muzeum znajduje się pomnik Orzeszkowej z 1929 r. dłuta Romualda Zerycha. Po jego obejrzeniu i sfotografowaniu czas ruszyć w miasto nazywane przed laty trzecią stolicą Polski. Najpierw kościół Bernardynów. Piękny, pięknie położony na maleńkim wzgórzu, z daleka widoczny. To w nim 16-letnia Eliza Pawłowska 21 stycznia 1858 r. brała ślub z Piotrem Orzeszko. Po latach, kiedy uzyskała unieważnienie tego małżeństwa i zmarła żona jej wieloletniego przyjaciela Stanisława Nahorskiego, wzięła z tym ostatnim 2 listopada 1894 r. ślub w kościele św. Franciszka Ksawerego, sięgającym swymi początkami do czasów Stefana Batorego. W tamtych latach był to kościół farny, a dopiero Jan Paweł II w roku 1990 nadał mu tytuł bazyliki mniejszej, a rok później podniósł go do rangi katedry i równocześnie erygował diecezję grodzieńską.

Katedra. Jak opisać wrażenie jakie na mnie wywarła. Olbrzymi kościół.

Niektórzy twierdzą, że wielkością dorównuje kościołowi św. Piotra w Krakowie. Jego dwie wieże dominują nad Grodnem i są widoczne z bardzo daleka. Cztery kondygnacje frontu katedry, a przed nimi figura Chrystusa dźwigającego krzyż i złoty napis „Sursum Corda” stoją w sprzeczności z miejscem położenia kościoła. Stoi on bowiem dziś przy skrzyżowaniu pl. Sowietckiego z ul. K. Marksa. Mniejsza zresztą na razie z nazwami ulic. Wnętrze Katedry robi wrażenie. Na mnie największe zrobił drewniany ołtarz główny. Dwukondygnacyjny, z dwunastoma filarami, pomiędzy którymi znajdują się posągi dwudziestu dwóch świętych. Prawdziwe dzieło sztuki.

Jeszcze raz wrócę do nazw ulic. Dom Polski w Grodnie stoi u zbiegu ulic: Feliksa Dzierżyńskiego i 17 września. Czy to zrobiono specjalnie? Nie sądzę, ale z naszego punktu widzenia wyszło nie szczególnie.

\*

Wracając do Elizy Orzeszkowej. Otrzymała Ona w 1907 r. obywatelstwo honorowe Grodna. Była też najprawdopodobniej w tym mieście szanowana i lubiana. Pani przewodniczka w muzeum opowiadała, że na wieść o jej chorobie, ulica przed jej domem, brukowana kamieniami, została przez mieszkańców wysłana słomą, ażeby nie przeszkadzał Pisarce hałas konnych wozów.

Po śmierci, 18 maja 1910 roku, po kościelnych perypetiach, pochowano Orzeszkową na cmentarzu katolickim, zwanym wówczas farnym, w Grodnie. Cmentarz istnieje do dziś. Przylega do cmentarza prawosławnego i stanowi jego przeciwieństwo. Ten prawosławny,



zadbany i uporządkowany, ten katolicki z rozwalającymi przez czas mogiłami, gęsto porośły chwastami. Strzaskane posągi. Połamane krzyże. To obraz tam powszechny.

Eliza Orzeszkowa spoczywa niedaleko bramy wejściowej, przy jednej z nielicznych tu utwardzonych dróżce, obok drugiego ze swoich mężów – Nahorskiego. Jej mogiła, z czarnego granitu, jest zadbana. Kwiaty i znicze świadczą też o tym, że i odwiedzana.

Na prostopadłej do tej alejki, ścieżce prowadzącej do z daleka widocznej kaplicy, wyłożonej kolorowym polbrukiem jest mogiła matki Pisarki – Franciszki Widawskiej. Również zadbana. Na niej widnieje mosiężna tabliczka z napisem: Rada Miasta Gniezna. Niestety, nie potrafiłem odszyfrować czy to opiekun mogiły czy jej fundator, czy też jeszcze co innego.

\*

Cmentarz w Grodnie jest dość spory. Naprzeciw wejścia znajduje się, jak to już zaznaczyłem kaplica. Po zbliżeniu się do nie uwagę zwracają znajdujące się obok jej drzwi wejściowych dwie tablice. Pierwsza z napisem „Obrońcom Grodna poległym we wrześniu roku 1939” i druga: „Ofiarom terroru w latach 1939-56”. Podpisano je jednym słowem „Rodacy”. Cmentarz ten bowiem to także cmentarz wojskowy. Są tu liczne mogiły żołnierzy poległych w roku 1920. Na części tych mogił figuruje napis „Nieznany żołnierz Armii Polskiej”, a na innych, już całkiem dziś zapomniane słowa „Śpij kolego w ciemnym grobie”. Przechadzając się pomiędzy grobami tych żołnierzy, naszych przecież żołnierzy, doświadczałem dziwnych uczuć, na tym pustym, ani jednego oprócz nas przechodnia, całkowicie pustym cmentarzu. Tym bardziej pustym, że przed chwilą staliśmy samochodem, nie mogąc przejechać, w tłumie ludzi mówiących obcym językiem, uczestnikami odbywającego się obok cmentarzy, targu.

Na cmentarzu znajdują się również mogiły broniących Grodna we wrześniu 1939 roku. Jest też mogiła szczególna. Mogiła trzynastoletniego Tadeusza Jasińskiego. Symboliczna. Zginął 20 września 1939 r. Rzucił butelką z benzyną w kierunku sowieckiego czołgu. Benzyna czołgu nie zapaliła. Został Tadziu ujęty przez radzieckich żołnierzy. Najpierw pobity, a następnie przywiązany drutem do czołgu, jako żywa tarcza. Śmiertelnie raniły go kule broniących się polskich żołnierzy. Odbity przez nich umierał jeszcze w



*Wnętrze Muzeum Elizy Orzeszkowej.*

*Fot. Zdzisław Wojtczak*



*Mogiła pisarki i jej drugiego męża.*

*Fot. Zdzisław Wojtczak*

polskim szpitalu, na rękach matki. Na tym cmentarzu został pochowany. Jego mogiła nie zachowała się. W 2009 r. Prezydent Lech Kaczyński, jakże jestem mu za to wdzięczny, pośmiertnie odznaczył Tadzia Orderem Virtuti Militari.

Na tablicy nad grobem Tadzia wyryto lekko zmieniony fragment opowiadania Jana Sobołewskiego z III części Dziadów. Czytając go przypominałem sobie jak mój profesor śp. Jan Biechoński w kościańskim liceum tego, co mówi Sobołewski wymagał na pamięć. Mogę to mówić i dziś. Przypominałem sobie dalej, jak Zdzisław syn dowódcy obrony Głogowa komesa Przedstawa, w 1109 roku, przywiązany do oblężniczej germańskiej maszyny krzychał w kierunku obrońców tego miasta: „Bijcież. Z ojcowej ręki nie boli”.

Te wspomnienia i cała atmosfera tego cmentarza spowodowała, że dopiero w

samochodzie uświadomiłem sobie, że na jednej z mogił pozostawiłem mój książkowy przewodnik po Grodnie. Wróciłem. Pomimo dość długiej nieobecności, cmentarz dalej był całkowicie pusty, a moja książka spokojnie czekała na mnie.

\*

Po kilku dniach opuszczaliśmy Grodno i w ogóle Białoruś. I dopiero kontrolowany przez naszego funkcjonariusza straży granicznej uświadomiłem sobie, że w czasie mej długiej, bo trwającej prawie miesiąc, podróży po Białorusi, w tym policyjnym państwie nie tylko, że nie byłem zatrzymany przez policjanta, ale, że w ogóle nie widziałem żadnego z nich. No, ale oprócz rozlicznych wad, mam także wadę wzroku. I może dlatego.





# Futbol i zielone wino

[Korespondencja z Portugalii]

Na zamkowym dziedzińcu w Tavirze.

Fot. Katarzyna Żurek

**„Tam gdzie ziemia się kończy a morze zaczyna” tak opisał Portugalie XVI – wieczny poeta epicki Luís Vaz de Camões. To zdanie w pełni oddaje klimat i charakter tego małego kraju, leżącego na zachodnim krańcu Europy. Poczulałam to na jednej z plaż Algarve.**

To właśnie południowe wybrzeże było celem naszego wyjazdu. Kto był w Algarve nie może mówić, że zna całą Portugalie, poznałam zaledwie jej część, ale jakże piękną i różnorodną. Nazwa pochodzi z języka arabskiego, w którym al Gharb znaczy zachodnia ziemia. Było to najdalej wysunięte na zachód terytorium Maurów. Przybyli tu z północnej Afryki, a ich ślady widać niemal wszędzie. Poczynając od architektury na kuchni kończąc. To oni przywiedli ze sobą azule-

jos ceramiczne płytki ozdobne, widoczne w każdym zakątku Alagrze. Portugalczycy zdobią nimi domy na zewnątrz i w środku. Często przedstawiają sceny z życia codziennego. Opowiadają historie miasteczek czy rybackich wiosek, które udało nam się odwiedzić podczas podróży. Maurom zawdzięczają Portugalczycy swoje upodobanie do cynamonu i innych korzennych przypraw...

## Śladami Henryka Żeglarza

Postanowiłyśmy nie oglądać krajobrazów zza szyby autokaru, tylko objechać tę część wybrzeża rowerem. Wybór okazał się strzałem w dziesiątkę, tym bardziej, że pogoda była dla nas łaskawa. Słońce w pełni cudowne, jednak dalekie od naszych, polskich męczących i ciężkich upalnych dni. Powietrze

przejrzyste i rześkie, a lekki wietrzyk nie był uciążliwy. Nawet wówczas, gdy jechałyśmy „pod prąd”. Pierwszym celem naszej wycieczki było Castro Marim – niewielkie miasteczko – jedno z najstarszych w rejonie Algarve. Przyznaję, że podróż nie należała do bezpiecznych. Po kilku kilometrach, ścieżka rowerowa nieoczekiwanie zniknęła i musiałyśmy kontynuować podróż dość wąską drogą regionalną, bez pobocza. Odkąd ponad rok temu wprowadzono opłaty za podróż autostradą, Portugalczycy masowo przeczucili się na drogi krajowe. A jacy to krewcy kierowcy słyszałam nieraz. Dość nadmienić, że przodują we wszelkich statystykach, jeśli chodzi o liczbę niebezpiecznych wypadków drogowych. Ale zaryzykowałyśmy, a uczucie strachu rekompensowały nam niezapomniane widoki. Miasteczko otaczają bowiem bagna i moczary, będące schronieniem dla wielu gatunków ptaków, bocianów, żurawi, flamingów. Nigdy nie sądziłam, że Portugalia będzie kojarzyła mi się z bocianami. Obszar został objęty ochroną jako Reserva Natural do Spal. Samo Castro Marim miejsce urocze, spokojne, jakby senne, było niegdyś osadą fenicką, która przeszła później w ręce Greków i Kartagińczyków. Nad miastem góruje twierdza. A właściwie pozostałe po niej fortyfikacje, zamek, który otaczały nie przetrwał historycznej zawieruchy. Legenda mówi, że tu o pomyślność swoich pionierskich wypraw wzdłuż brzegów Afryki, które przyniosły odkrycie Madery i Azorów, modlił się Henryk Żeglarz.

W Castro Marim jadłyśmy przepyszne, świeże grillowane sardynki – potrawę tradycyjną dla tego rejonu. Były rewelacyjne, choć jedzenie ich zajęło nam sporo czasu. Dla osoby przywykłej do filetów, drobne ości to rzecz „nie do przełknięcia”. Muszę też przyznać, że były dość słone. Jak większość potraw, które dane mi było spróbować. Mieszkając w bliskim sąsiedztwie Atlantyku mają bowiem Portugalczycy tendencję do wykorzystywania jego słonego bogactwa. Po drodze mijałyśmy wiele tzw. „morskich ogrodów”. Są to pewnego rodzaju baseny, w których woda morska pod wpływem słońca i wiatru paruje pozostawiając naturalną morską sól.

## Tajemniczy rycerz

Portugalczycy żyją niespiesznie. Widać to zwłaszcza w małych uroczych miasteczkach. Jednym z nich jest





Młodzież zbiera drobne na wspomnienie miejscowego mima.

Fot. Katarzyna Żurek

35-tysięczna Tavira. Po miasteczku spaceruje się spokojnie, ciesząc jego urokiem. Tavira oparła się wpływom nowoczesnej techniki i architektury, zachowując urzekający charakter. Spacer wąskimi uliczkami, krętymi zaułkami, wśród starych kamienic pokrytych malowniczymi azulejos na pozór spokojny, przyniósł wiele wrażeń. Tu nieomal w jednej z knajpek, urzeczona miastem, pozostawiłam swój dobytek na pastwę losu. Na szczęście zorientowałam się w porę i szybki powrót do miejsca mojej niefrasobliwości, uratował mój nastrój i całą portugalską wyprawę.

Tavira leży na dwóch brzegach rzeki Gilao, przeciętej kilkoma mostami. Najstarszy z nich Ponte Romana pamięta jeszcze czasy rzymskie. Choć na uboczu wielkich spraw, miasto ma za sobą wielką historię. W czasach średniowiecznych była to obronna twierdza. Do dziś zachowały się tam mury będące pozostałością zburzonego zamku. Dziś na miejscu zamkowego dziedzińca znajduje się przepiękny ogród z niezliczoną ilością kwiatów. Jeszcze tylko wejście na mury, po kamiennych schodach i przed oczami

ukazuje nam się całe oblicze Taviry. Nieopodal znajduje się Kościół Santa Maria, zbudowany na terenie starego meczetu. Spoczywa tu narodowy bohater Portugalii Paio Perres Correia, Kawaler Zakonu Santiago. To on w akcie zemsty za śmierć siedmiu braci – rycerzy, wydarł Maurom Tawirę. Sceptycy twierdzą, że jest to mit, a narodowy bohater Portugalczyków spoczywa w Hiszpanii. Do dziś nie wiadomo tak do końca, gdzie pochowany jest wielki rycerz. Pozostanie to jego tajemnicą.

#### „Portugalskie galery”

Gdy tylko zobaczyłam Atlantyk poczułam jego ogrom i bezkres. Portugalczycy nie nazywają go oceanem a zwą morzem. Ciekawe, z czego to wynika. Być może z faktu, iż lud to przywykły do dalekich zamorskich podróży. W końcu to ojczyzna takich sław jak Henryk Żeglarz, Vasco da Gamma czy Ferdynand Magellan. Na mnie ocean zrobił ogromne wrażenie. Fakt, jasność piasek przywodzi na myśl nadbałtyckie plaże. Temperatura wody też jest zbliżona. Kąpiel nie była więc łatwa, ale pierwsze lody (można by rzec dosłownie) zostały

przełamane. Było warto, choć nie obyło się bez dodatkowych wrażeń.

Oprócz nas jedynymi śmiałkami tego dnia były ogromne meduzy. Słyszałam wcześniej o „portugalskich galerach” u wybrzeży Atlantyku. To kazało mi się mieć na baczności. Wspomniane bowiem galery to nie morscy żeglarze, a groźna bąbelnica zwana też inaczej niebieską butelką. Często mylony z meduzą żeglarz portugalski to gatunek rurkopława. Ten to żeglarz przysparza swym „rodakom” znacznie więcej złej sławy aniżeli jego wielcy poprzednicy. To jedno z najbardziej jadowitych stworzeń morskich. Dotknięcie bąbelnicy powoduje ogromne bóle i rozległe poparzenia. Dla osób słabych i chorych może się zakończyć śmiertelnie. Po dokładnym zweryfikowaniu anatomii meduzy, pływającej się tuż przy mojej stopie, doszłam do wniosku, że groźnym żeglarzem ona nie jest. Obawa i respekt przed tajemnicami oceanu dyktowała mi jednak bezpieczny dystans, co do tych stworzeń.

#### Forca Portugal!

Słyszałam, że Portugalczycy to ludzie smutni, zadumani. Brakuje im otwartości





Widok na Castro Marim.

Fot. Katarzyna Żurek

i radości życia, która jest cechą charakterystyczną Hiszpanów. Ta specyficzna melancholia to *saudade* - słowo nie mające odpowiednika w żadnym innym języku. Oznacza melancholię, tęsknotę, smutek, samotność, zagubienie. Ten stan ducha oddaje najlepiej muzyka *fado* często nazywana portugalskim bluesem. Rzewna pieśń opowiadająca o trudach życia, wykonywana jest najczęściej przy akompaniamencie gitary. Jakże inna to muzyka aniżeli żywiołowe, ogniste, pełne pasji, wręcz butne flamenco.

Myślę, iż Portugalczycy są nieco *saudade*, lecz nie na co dzień. Ci, których spotkałyśmy na swojej drodze byli uśmiechnięci i serdeczni. Może niezbyt wylewni, ale jak większość narodów południowych głośni. Żywe dyskusje, prowadzone podniesionym głosem było słyhać niemal w każdym miasteczku. Wyróżniały się zwłaszcza kobiety, którym temperamentu na pewno nie brakuje. Pewnego dnia spotkałyśmy uroczą Portugalkę żywo dyskutującą przez telefon. Silny podniesiony głos, a do tego ekspresywna gestykulacja zwracały powszechną uwagę. Z kontekstu mogę

wnioskować, że była to jakaś małżeńska sprzeczka, która stała się sprawą publiczną.

Mężczyźni z kolei to niebywali miłośnicy futbolu. Cristiano Ronaldo czy Jose Mourinho to ikony i świętości narodowe. Twarz obydwu panów uśmiecha się do nas niemal z każdego miejskiego baneru reklamowego, gazety czy telewizji. Nasza obecność w Portugalii przypadła akurat na gorący czas rozgrywek grupowych Euro 2012. Nie zapomnę głośnych okrzyków radości i euforii po wygranym meczu z Danią. Znajomy kelner Sergio wykazał się też sporą znajomością składu polskiej drużyny. Choć nazwisko Błaszczykowski okazało się barierą nie do przeskoczenia. Po kilku próbach i wysiłkach, skapitulował.

#### **Vinho verde łamie zasady**

Będąc w Portugalii nie sposób nie zakosztować tamtejszych alkoholi, wszak wino, porto i madera są wizytówką kraju na całym świecie. Ja jednak postanowiłam spróbować czegoś innego. Muszę przyznać, że zrobiłam to dość przypadkowo. Zaintrygowała mnie nazwa *vinho verde*, co w portugalskim oznacza

zielone wino. Pijałam wina czerwone, białe, różowe, a tu nagle zielone. Nazwa jest obrazowa, nie oznacza koloru, ale oddaje młody i świeży charakter wina. Po ciężkim dniu pełnym wrażeń otworzyłam butelkę wytrawnego - wina zielonego. Korek wystrzelił w powietrze, co najmniej jakbym otwierała butelkę szampana. Trochę pożałowałam – napój z bąbelkami - pomyślałam. Pierwszy łyk przyniósł mieszane uczucia. Wrażenie musowania, lekkiego szczypania w podniebienie. Portugalczycy mówią, że młode wino musi mieć *agulha*, czyli igłę. Niewątpliwie poczułam to przyjemne ukłucie. Po paru łykach zmieniłam zdanie, to trunek na ciepłe wakacyjne dni idealny. Lekki, smaczny i przyjemny. Konieczne jest, aby pić je w młodym wieku. Nie ma praktycznie w sprzedaży starszego aniżeli dwuletnie. Tak więc w przypadku zielonego wina podstawowa zasada – im starsze tym lepsze, zupełnie się nie sprawdza.

KATARZYNA ŻUREK



# Kościanianki w Kórniku

W kórnickim zamku, w sali jadalnej wisi portret „Białej Damy”, która schodzi nocą z portretu, podtrzymuje białą suknię i wychodzi do parku, gdzie czeka na nią jeździec na karym koniu. Wędrują po parku w mrokach nocy i znikają z pianiem koguta.

Wczesny sobotni rano. Nowoczesny klimatyzowany autobus, w nim roześmiane grono kościanianek ze Stowarzyszenia Kobiet Ziemi Kościańskiej. Ledwo zbudził się dzień, powodowane ciekawością poznania czy obejrzenia interesujących miejsc i przypomnienia sobie ciekawej historii podpoznańskiego Kórnika, wybrały się na wycieczkę. „Bez ciekawości nie ma mądrości” – mawiali w szkolnych latach nauczyciele. Pogodna, przyjazna atmosfera, miły kierowca; ruszamy. Mijamy krajobrazowo urozmaiconą okolicę – pagórkowaty teren, falujące, bujne łąki zboża, gdzieś tam większe lub mniejsze kępy drzew, wszak większa część trasy prowadzi przez Park Krajobrazowy im. D. Chłapowskiego. Organizatorki: Mirosława Miler i Jolanta Kasprzak, którym z wyboru przypadła przywódcza rola, zamówiły piękną pogodę, wcześniej uzgodniły miejsca i kolejność zwiedzania, aby w całej rozciągłości wyzyskać czas. Plan wycieczki pomyślały szczegółowo, jednak na miejscu, kiedy wybrały się na rozpoznanie, dowiedziały się, że z różnych przyczyn nastąpiły drobne, ale istotne zmiany (w ostatecznym razie okazały się dobroczynne). Szybka reakcja i realizujemy nowy plan. Ten przewiduje „wycieczkę na wycieczce”.

Autobus zostaje na parking, my idziemy w kierunku zamku. W połowie drogi schodzimy po schodach z wysokiej skarpy ku miejscu położonemu nad samym brzegiem jeziora, gdzie czeka pasażerski statek spacerowy, a uśmiechnięty kapitan zaprasza na pokład. Popłyniemy na kawę, która czeka po przeciwnej stronie jeziora. Jeszcze tylko drobna nieprzewidziana okoliczność: dwie panie, przejęte obawą o życie, zostają na przystani – czekają. Sadowimy się wianuszkami wokoło pokładu (na twardych ławkach), kapitan wygłasza powitanie, dźwięk pokładowego dzwonu rozprzyna się w powietrzu, rejs



Od prawej: panie Czesława Kuśnierek, Jolanta Kasprzak i autorka tekstu

staje się rzeczywistością. Za sterem młody marynarz, woda spokojna, ster łatwy. Przed skwarem chroni dach stateczku, z głośnika płynnie historia tej okolicy. Kiedyś tutaj posadowiły się Prokom i Bnin, które już dawno wchłonął Kórnik. Tu, w ówczesnym Prokomiu (1923 r.) urodziła się laureatka Nagrody Nobla Wisława Szymborska. Dom jej urodzenia stoi do dziś. Statek przerywa gładką toń, pruje tafłę, lekko kołysze i zostawia długą świetlistą smugę. Słucha steru, rozwija prędkość, opływa jezioro i bierze kurs na tawernę. W oddali, na horyzoncie rysuje się ciemnozielona, zwarta ściana lasu, z drugiej strony pasmo bujnych nadbrzeżnych trzciny, przerywane rybackimi stanowiskami.

Mała spokojna przystań. Statek traci szybkość, przybija do brzegu, lekko o niego uderzając, marynarz cumuje; wysiadamy. Otwiera podwoje prawdziwa tawerna, ale kawa i lody także tutaj są smaczne. Jest też miejsce na odświeżenie się i krótki odpoczynek od wrażeń. Kobiety rozbawione, szczęśliwe – wszelkie problemy rozpułyły się w wodach jeziora. Wracamy, bo czeka zwiedzanie. Powrotna droga jakby się skróciła i wiaterek mniej zawiewa. Aż żal, że wyprawa skończona.

## Arboretum i pogodowe anomalie

Krótkie przejście i jesteśmy pod Zamkiem. Plac tętni gwarem, spotykamy znajome twarze spod Kościana. Przed nami kórnickie arboretum, założone przez Tytusa Działyńskiego w I poł. XIX w., dzieło kontynuowane przez syna Jana i wnuka Władysława Zamoyskiego, powstałe na miejscu parku francuskiego utworzonego przez Teofilę z Działyńskich Szodrską-Potulicką. Tu, na 50 hektarach rośnie 3 500 gatunków i odmian drzew i krzewów, których większość o tej porze roku osypała się kwiatem; w powietrzu wisi ich woń. Klomby, rabaty, szpalery krzewów. Rośliny długiego dnia, kwiaty marzeń, w promieniach słońca wyglądają jak cuda natury. „Im dalej w las, tym więcej drzew” – skupienie zieleni: brzozy,

topole, jodły, świerki, sosny, cisy, jałowce, bzy-lilaki, forsycje, jabłonie, wiśnie, różaneczniki, magnolie, jaśminowce. Drzewa rodzime i egzotyczne, stare i cenne, liczące do 300 lat.

Pogodny dzień wziął w ramiona całą okolicę, nad nami niebo bez skazy. Słychać z daleka trele słowika i odgłosy innych ptaków. Czas schodzi na oglądaniu piękna. Taki udany spacer po historycznym i przepięknym parku, w zwolnionym tempie mogłoby trwać i trwać..., ale ta ekskursja chyba zaostriżyła apetyt, no i mamy wyznaczoną godzinę na wspólne spożycie obiadu w restauracji.

Organizatorki trafiły z wyborem miejsca – jedzenie smaczne, istna uczta. Gwar, indywidualne rozmowy przy stołach – nie spostrzegłyśmy, kiedy niebo zasnuło się chmurami, a deszcz w coraz szybszym tempie zaczął dudnić po dachu i spływać po oknach. Jeszcze przed chwilą nic na to nie wskazywało. Pogodowe anomalie trzeba przeczekać. Deszcz zelżał nagle, kierowca podejżdża w pobliże wyjścia, jedziemy z powrotem na parking.

Niestety, na nowo rozszalał gęsty, rzęsy deszcz, słychać grzmoty, czarne chmury zasnuły firmament. Zerwała się gwałtowna ulewa i przechodzi nad miastem. Burza na niebie i ziemi niszczy spokój, przejmuje strachem, budzi grozę. Ulewa spływa po szybach zasłaniając widoczność. Smugi deszczu próbują wdzierać się do środka. Nikt tego nie okazuje, ale sytuacja budzi trwogę. Wreszcie pozostaje jednostajny, miarowy szum, odzyskujemy widoczność, a za oknami zdarzenia dziwne, nawet komiczne. Deszczówka sięga do połowy kół osobowych samochodów i jak tu dojechać suchą stopą do auta? Właśnie pewien pan niesie w ręku buty, idzie boso, siada i myje nogi w tej zmaconej topieli. Zabawny obrazek, ale przydał się żeby kobiety „wróciły do równowagi” po tych chwilach siedzenia z duszą na ramieniu. Trochę to trwało, zanim deszcz zelżał na tyle, żeby można wysiąść z autobusu i pójść do zamku. Zmiana planu okazała się wprost opatrnościowa, pierwotny plan przewidywał, że teraz będziemy spacerować po arboretum.

## Co o Kórniku wiedzieć warto?

Głównym obiektem turystycznym Kórnika jest Zamek, monumentalna budowla, pomnik historii, zabytek o szczególnym znaczeniu dla narodowej kultury. Mieści w swych murach muzeum oraz rodzimą bibliotekę Działyńskich, obecnie Polskiej Akademii Nauk. Położony jest w



sąsiedztwie Jeziora Kórnickiego, otoczony fosą.

Początki kórnickiego zamku sięgają pierwszej połowy XV w., kiedy właścicielami Kórnicka była rodzina Górków – możnowładców wielkopolskich – znana także z historii Kościana. Murowana budowla wzniesiona została ok. 1430 r. dla Mikołaja Górki i pomyślana jako siedziba obronna. Składała się z dwóch równoległych skrzydeł i wieży. Żelazna brama wjazdowa poprzedzona została drewnianym, zwodzonym mostem. Ostatni z rodu Górków, Stanisław, powiększył budowlę o nowe skrzydło. W tak rozbudowanym zamku w 1574 r. podejmował króla Henryka Walezego, jadącego na koronację do Krakowa.

Po śmierci ostatniego z Górków majątek kórnicki często zmieniał właścicieli. Duże ich grono rozpoczynają Czarnkowscy. W ich posiadaniu dobra były krótko, drogą sprzedaży nabyli je Grudzińscy. Zygmunt Grudziński w 1623 r. gościł na zamku króla Zygmunta III z żoną i królewiczem Władysławem. Przyjęcie to uwieczniono na miedziorycie, wiszącym w pokoju Władysława Zamoyskiego.

W 1676 r. kupił Kórnik Zygmunt Działyński. W posiadaniu rodu Działyńskich majątność pozostała przez dwa stulecia. Najbardziej znaną i zasłużoną była prawnuczka pierwszego właściciela z tego rodu, Teofila. Wyszła za mąż za S. Szołdrskiego (zmarł 1737r.), później za A. H. Potulickiego, z którym się rozwiodła. Przebudowała zamek, a okoliczne bagna, jak wspomniano wcześniej, zamieniła na francuski park. Krótko właścicielem Kórnicka był jej jedyny syn i majątek wrócił do Działyńskich. Kiedy po Ksawerym Działyńskim dobra odziedziczył syn Tytus, przebudował zamek, powiększył park i zapoczątkował rodową bibliotekę, zbierając rękopisy, druki i mapy – polskie i z Polską związane. Zbiory powiększał syn Jan, który zmarł bezpotomnie, a dobra odziedziczył siostrzeniec Władysław Zamoyski. Powiększał dobra i zbiory, troszczył się o zamek. W 1924 r. przekazał całą kórnicką majątność wraz ze zbiorami, a także nabyte „wielkim kosztem” dobra zakopiańskie wraz z Morskim Okiem, narodowi polskiemu, tworząc Fundację „Zakłady Kórnickie”. Od 1953 r. zamek ze zbiorami muzealnymi i biblioteką jest placówką naukową Polskiej Akademii Nauk.

#### Przechadzka po zamku

Zamek góruje nad okolicą, strzela



*Humor dopisywał.*

*Fot. Teresa Wiśniewska*

w niebo zamkowa wieża – potężna i wyniosła. Zdawałoby się, że w epoce powszechnej mody na nowatorstwo, nie ma nic trwałego pod słońcem – a jednak! Wchodzimy do zamku. Małe zamieszanie ze „słynnymi”, muzealnymi kapturami i przejmuje nas pani przewodnik mgr Małgorzata Potocka. Iskry ciekawości zapaliły się w oczach większości pań, starają się słuchać uważnie i zapisywać w pamięci jak najwięcej błyskotliwych wiadomości wprawnej przewodniczki, o rozległej wiedzy na temat tego pięknego miejsca. Jesteśmy w sieni, z której prowadzą w głąb zamku trzy wejścia. To z prawej strony – do pokoju Władysława Zamoyskiego – jest zamknięte z powodu niedawnej renowacji wspaniałej podłogi, szczególnie zdobionej, wykonanej z korzeni brzozy, mahoni i orzecha. Pokój ogląda się z progu, oko przyciąga szafa gdańska z lat 60-tych XIX w., ale historycznym, dziś już legendarnym meblem w tym pomieszczeniu jest mahoniowe biurko z czasów Tytusa Działyńskiego, na którym sypiał ostatni właściciel Władysław Zamoyski. Prawdopodobnie złożył ślubowanie, że będzie sypiał na twardym pościu, jeśli Polska odzyska niepodległość.

Wejście na wprost otwiera drogę do pozostałych pomieszczeń. W „pokoju generałowej” uwagę zwracają pamiątki rodzinne: portrety i fotografie oraz rysunki, które wyszły spod ręki J. P. Norblina czy A. Grottgera. Reprezentacyjnym pomieszczeniem jest „salon” z piękną posadzką i sufitem oraz marmurowym kominkiem, który też ma swoją legendę. Mówi ona, że Tytus Działyński ukrył się przy nim w skrytce na drewno, kiedy Prusacy, za udział w powstaniu listopadowym, przyszli go aresztować. Jednak oko zatrzymuje się na dużym okrągłym stole, którego mozaikowa płyta zrobiona jest z sęków szesnastu

gatunków drzew z miejscowego parku. Stoi tu także fortepian siostry Tytusa, na którym według uświęconej tradycji grywał Fryderyk Chopin.

Wspaniała jest „czarna sala”, w której czarną, cementową posadzkę zastąpiono marmurową, ale też w większości czarną. Meble do niej wykonali miejscowi rzemieślnicy. „Salę jadalną” powszechnie nazywa się herbową ze względu na drewniany, kasetonowy strop, który w 71 skrzynkach mieści tarcze z herbami XV-wiecznego rycerstwa. Podobno Tytus żartował, że pusty kaseton uzupełni, gdyby zabrakło herbu przybywającego gościa. Jednak największą ozdobę i prawdziwą wycieczkę w przeszłość stanowi portret Teofili Szołdrskiej-Potulickiej, tradycyjnie nazywanej „Białą Damą”. Legenda o niej jest jedną z najbardziej znanych polskich legend. Mówi ona, że w pobliżu zamku kórnickiego znajdował się zameczek myśliwski, w podziemiach którego zostały ukryte skarby rodziny Górków. Skarby przejęły złe moce i nie pozwalają ich odnaleźć. Teofila kazała rozebrać ruiny zameczku, a z uzyskanej cegły postawić murowane kominy w domach mieszkańców Kórnicka. Złe duchy zemściły się za to na Teofili. Za karę błądzi każdej nocy po parku do czasu, gdy odkryte zostaną skarby.

„Budarek” wyróżniałby się podłogą z bardzo ozdobnych kwadratów i złożonymi lustrami gdyby nie to, że wiszą tu akwarele Juliusza Kossaka, także bardzo znana: „Władysław i Witold Zamoyscy”. Niezapomnianym pomieszczeniem jest „zakątek myśliwski”, raczej to, co się w nim znajduje: rzeźbione głowy jeleni z prawdziwymi rogami, trofea myśliwskie, a przy ścianach gabloty z kolekcją przyrodniczą i etnograficzną z Australii i Oceanii. Na uwagę zasługuje też „sala Mauretańska”, gdzie





*W drodze do Zamku.*

*Fot. Teresa Wiśniewska*

zgromadzono militaria – zbroje i kopie oraz obrazy o tematyce historycznej, naczynia i biżuterię. W pomieszczeniach przy tej sali wyeksponowano pamiątki rodzinne i drzewo genealogiczne Działyńskich. Natomiast w hollu na piętrze na uwagę zasługują obrazy polskich królów.

Wszystkie pomieszczenia zamku, to wnętrza bogate, zabytkowe, a jednocześnie nieoceniona spuścizna minionych wieków.

Dusza rozplywa się w podziwie. Sztuka takiej wartości nie tylko zachwyca, ale i uczy. Nic dziwnego, że dzięki parowiekowej tradycji Kórnik ma zasłużoną renomę i słynie nie tylko w kraju, ale i za granicą. Podziwiamy, że pani przewodniczka nakreśliła rys historyczny tego miejsca z taką starannością i umiała nam przekazać to, co ważne i istotne, a także ciekawe, na przykład legendy. Im opowiadania

są bardziej legendarne, tym są chciwiej słuchane. Toteż podziękowanie wypada nader serdecznie. Uczestniczki, urzeczone majestatycznym pięknem, jeszcze długo dyskutują. Zachwyciły je różne szczegóły tego piękna, szczególnie tafle podłóg. Tylko w jednym pomieszczeniu, które zarabia – odbywają się tu śluby – podłoga pokryta jest wzorzystym kobiercem, pozostałe można podziwiać w całej rozciągłości.

Kończy się pogładowa lekcja historii, aż nie chce się opuszczać tego miejsca. Dobrze, że można czasem przerwać pasmo szarych dni, ale cóż – wracamy. Wycieczka spełniła oczekiwania. Artystyczna uczta dla duszy, doznanie niezapomnianych wrażeń jakby uspokoiły uczestniczki. Powrót z innego świata, indywidualna percepcja! A za oknami coraz bardziej swojskie krajobrazy, wzbierające słodkie uczucia. Z dalszego zakątka autobusu dochodzi nawet cichutka melodia: „Powróćisz tu...”.

**TERESA WIŚNIEWSKA**



# Poezja Eugeniusza Wachowiaka

## Gelsomina

Gdy klucz w ostatniej  
przekręcają bramie  
noc się kołysze  
Noc się w przepastne  
zapada kieszenie  
i w jamę ustną  
widelcem lub mieczem  
Na chłodno metal  
mógł bujać na linie  
Czasem nie umie czasem  
znowu nie chce  
więc między barki  
klątwy kręcę grube

Widok to przykry  
Widok to konieczny  
dotąd dopóki będzie ta ruchliwość  
niebieskich ptaków  
niebieskich ciał  
niebieskich much

## Słowo i gest

I tak się słowo  
dopowiada w szepcie  
jakby pochłaniał bezkres  
loty ptaków  
jakby gdzieś wody  
zanikły w piachu  
i tak się słowo  
przyobleka w ciszę

I tak się gest twój  
dopowiada w trwaniu  
jakby zastygał  
w bryle rzeźby obraz  
jakby go wzrokiem  
ścięta w kamień kobra  
i tak się gest twój  
przeobraża w bezruch

## Owce

A przecież przejdę  
przez głąz i przez wąwóz  
wsparty w przegubach  
o występy skalne  
przybliżyć twarzy  
szary kwiat szarotek

A przecież przejdę  
ślad mój nie zostanie  
kwiat się rozrośnie  
i mech wypięknieje

Czy znasz woń owiec  
Oto idą w wełnie  
albo przystaną  
w nagłym osłupieniu  
siostra przy siostrze  
tak zbite ciałami  
jakby czekały  
na sąd ostateczny

Sąd zaś się nie staje  
stoi stado stołem  
tylko się rogi <sup>1)</sup>  
ślimaczą za uszy  
wiszą ogony  
w melancholii czasu

*\*) Wiersze pochodzą z tomiku  
„Medalion studzienny”,  
wydanego przez wydawnictwo  
„W Drodze” w Poznaniu w 1998 r.*

## W ślad stóp Twoich Panie

Jezusie Zmartwychwstały  
wzniesiony do Domu Ojca,  
który wierzę że jest  
ale nie znam adresu,  
a chcę Tobie i Jemu  
i Duchowi Świętemu  
rzec że tu żyję,  
że tu świat pogubiony,  
że wygasa nam ogień,  
że wypala się ufność,  
bo Twój dwór  
tu na ziemi  
od nas oddalony,  
więc rzeknij mu Panie  
by opuścił pałace  
i z pokorą serca  
był jak ten proboszcz  
co w lichej sutannie  
szarej od kurzu  
szedł Tobie na spotkanie.

Tyś przystał na krzyż  
z człowieczej mitręgi  
na Wzgórzu Czaszki  
ku niebu wzniesiony,  
zaś Twój dwór o Panie  
wyniósł się na piedestał  
i w siebie zapatrzony  
samolubną pychę  
utworzył królestwo  
nie takie jak Twoje.

Współczesny złoty cielec  
chełpi się w tym dworze,  
a tu czas najwyższy  
by Twój dworzanie  
nie kryli się za bramą  
przed nami zamkniętą,  
lecz zeszli w proch uliczny,  
w którym żyć nam trzeba,  
swe szaty z brokatów  
złożyli w muzeach  
i stali się tacy  
jak ich stworzyłeś  
i szli naszą drogą  
bez immunitetu.

7-9. 02. 2008



## Wiersze Tadeusza Hofmańskiego

POETA ZAUWAŻA PEWNE NIEDOGODNOŚCI  
WYNIKAJĄCE ZE ZJAWISK  
CHARAKTERYSTYCZNYCH UWARUNKOWAŃ  
POGODOWO MELANCHOLIJNYCH

Jesienią że  
cieniogłasy z przeszłości  
klatkom wspomnień  
umykają uparcie żywe

cóż robić  
w zakłopotaniu:

jak ten czas  
kto by pomyślał  
trzeba kiedyś  
żeby tylko powolutku

Jesienią że  
cieniogłasy z przeszłości  
klatkom wspomnień  
umykają uparcie żywe

Co?  
zrobić

\*

*Panu Profesorowi Stefanowi Sawickiemu  
z uczniowską wdzięcznością i przekorą*

W GRUDNIU DWA TYSIĄCE DWUNASTEGO ROKU  
POETA ZDAJE SIĘ ODKRYWAĆ WRESZCIE  
WŁAŚCIWY KIERUNEK DROGI

Głowa uniesiona wysoko i  
twarz radością opromieniona jak  
blaskiem Gwiazdy Co  
Nad Betlejem gdy

choćby najczarniejsze  
wszeptują demony przepowiednie

Głowa uniesiona wysoko i  
twarz radością opromieniona gdy  
w Nadzieję wstępowanie jak  
w Wiekiistość

\*  
RYDZYNA ALBO  
PODĄŻAJĄC ŚLADEM MISTRZA  
KTÓREGO IMIENIA  
NIE WYPOWIE  
USTY NIEGODNYMI  
POETA USIŁUJE TWORZYĆ  
BALLADĘ O GRZYBOBRANIU

Rydzyna a  
nieopodal  
rydz... y... na  
leśnej ściółce

I na  
ściółce leśnej za rydzem  
rydz... y... na  
ściółce następny

Rydz... y... na  
leśnej ściółce  
nieopodal kolejny

Rydz... y... na  
rydzu!

A nieopodal Rydzyna

\*

POETA Z KOMPROMITUJĄCĄ NIEUDOLNOŚCIĄ  
STAWIA PYTANIA KTÓRE BYĆ MOŻE  
PRZYBLIŻAJĄ GO JEDNAK  
DO W MIARĘ SENSOWNEJ HIPOTEZY

Odgadnąć co  
nastąpi po nas?

I po nas co  
nastąpi z nami

którzyśmy Po Nas  
zawładnęli Śmiejących się?

Bo wstępują w Najoczywistsze  
Święte Teraz?

TADEUSZ HOFMAŃSKI



# Spizarnia mitów i snów

[O prozie Adama Tomaszewskiego]

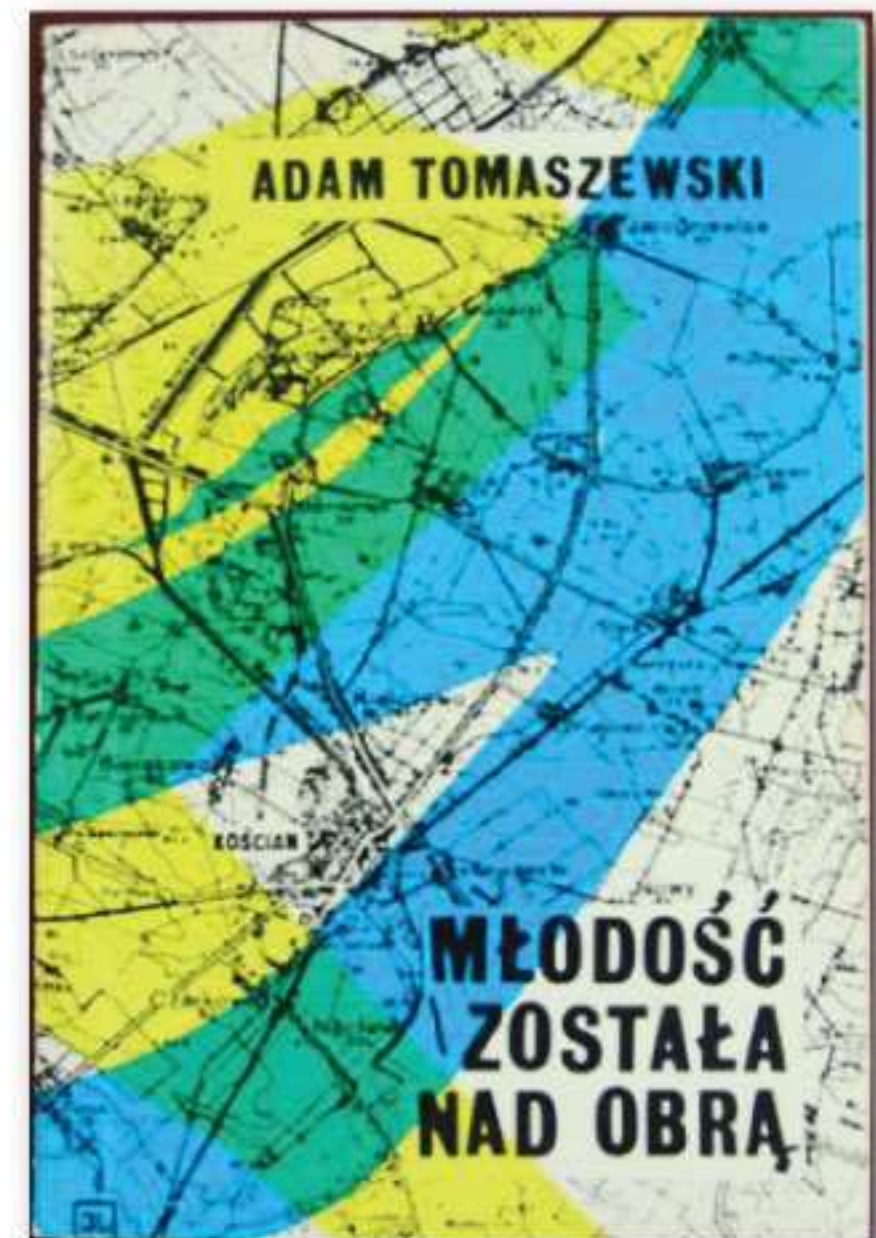
1.

Bardzo rzadko bohaterem literatury polskiej, poezji, prozy, dramatu czy eseju jest miasto. Dużo można by mówić o przyczynach tego dziwnego zjawiska, nie znanego przecież literaturze angielskiej, niemieckiej, francuskiej czy amerykańskiej, jak też rosyjskiej, czeskiej i skandynawskiej. Co do mnie, podzielam opinię tych historyków literatury, którzy twierdzą, że wydarzenia końca XVIII wieku i ich XIX-wieczne konsekwencje - zabory Polski - zahamowały u nas rozwój mieszczaństwa i miast, podcięły młode pędy sztuki wielkomiejszczańskiej. W pierwszej połowie XIX wieku poezję polską na dobre zdominowała twórczość rodem z agrarnych Kresów wschodnich. Druga połowa wieku XIX i co najmniej pierwsza połowa XX wieku pod względem literackim należały do wywodzących się z kultury szlachecko-ziemiańskiej i chłopskiej kresowych prozaików. To jednak nie wszystko, bo na rzeczy byłoby przypomnieć, że wielkie portrety miast - Lubeka Tomasa Manna, Dublin Jamesa Joyce'a, Petersburg Andrieja Biełego - wyszły spod piór pisarzy prawicowych. W każdym razie lewicujące czy lewackie poglądy modnych dwudziestowiecznych intelektualistów europejskich także nie sprzyjały literaturze wielkomiejszczańskiej, nie mówiąc już o modelach estetycznych, obowiązujących w zsovietyzowanej kulturze Polski powojennej.

Mamy, oczywiście, Warszawę Bolesława Prusa, Mirona Białoszewskiego czy Marka Nowakowskiego, Poznań Leszka Proroka, Krystyny Kofty, Małgorzaty Musierowicz, Bogusławy Latawiec czy Andrzeja Górniego, jak też Gdańsk Güntera Grassa, Pawła Huellego czy Stefana Chwina. Powieści tych autorów nie mają jednak miast za bohaterów w znaczeniu epickim, a raczej tylko w znaczeniu przenośnym, poetyckim, albo - przeciwnie - werystycznym, scenograficznym. Inaczej mówiąc owe beletrystyczne Warszawy, Poznanie i

Gdańsk nie są organiczne niczym wielkie miasta-zwierzęta Manna, Joyce'a i Biełego, nie są też bytami nadrzędnymi w stosunku do mieszkańców. Także duch miejsca, genius loci, należy raczej do świata przedstawianego, niżeli do rzeczywistości przedstawionej. Żywe, organiczne miasto, miasto-ciało, miasto-osoba z metryką urodzenia, niepowtarzalną biografią, własnym duchem, kształtem i wyrazem, społecznością i materią, z latami wzniosłości i upadku, snu i przebudzenia, miasto śmiertelne jak największe nawet zwierzę i niepochwytne jak najwyższy anioł, miasto mityczne - powiadam jest bardzo rzadkim bohaterem literatury polskiej. Do szczęśliwych wyjątków - toutes proportions gardées - zaliczyłbym natomiast Lidę jako bohaterkę poematów i prozy Aleksandra Jurewicza, Zamość z powieści Zagłada Piotra Szewca i - najwcześniej literacko wyjawione - Wilno Czesława Miłosza, Lwów Józefa Wittlina, Drohobycz Andrzeja Chciuka, Berdyczów Jerzego Stempowskiego i Kościan Adama Tomaszewskiego.

„Najwidoczniej przypisany jestem do tego miasta - wyznaje Tomaszewski w *Gdzie jesteś Itako?* (1985) - „nafutrowany”, jak pisze krajan znad Obry Tomasz Skorupka, tym wszystkim, czym dyszy ta ziemia; moim życiowym przeznaczeniem jest pisać o urokach niegdyś królewskiego grodu, *Libera civitas regia Costensis*”<sup>1</sup> Królewski Kościan, przezywany czasem Gnotkowem, jest miastem rodzinnym Adama Mariana Tomaszewskiego; pisarz urodził się tutaj 9 sierpnia 1918 roku. W Kościanie chodził też do szkół i zdał maturę w słynnym z poziomu kształcenia gimnazjum. W czasie wojny walczył w szeregach Armii Krajowej, brał udział w powstaniu warszawskim. Po upadku powstania wywieziony został do niemieckich obozów jenieckich w Sandbostel i Westertimke, a po ich wyzwoleniu podjął służbę podporucznika Oddziałów Wartowniczych w strefie amerykańskiej. W roku 1948 zamieszkał na stałe w Kanadzie, ukończył studia - magisterium filozofii - na uniwersytecie w Ottawie. Współpracownik „Wiadomości” i „Oficyny Poetów i Malarzy” w Londynie oraz wielu innych pism emigracyjnych, w latach 1976-1977 redagował „Głos Polski” w Toronto. Do 1986 roku Adam Tomaszewski był członkiem Związku Pisarzy Polskich



Okładka londyńskiego wydania „Młodości...”

na Obczyźnie. Laureat licznych nagród literackich, w roku 1959 uzyskał I nagrodę w konkursie tygodnika „Głos Polski”, w 1981 roku został laureatem III nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w konkursie na pracę o Ziemiach Zachodnich, a w roku 1989 otrzymał nagrodę Fundacji imienia Władysława i Neli Turzańskich. Już jako mieszkaniec Toronto, Tomaszewski napisał wiele powieści i reportaży. W roku 1967 nakładem czytelników ukazały się w Toronto jego, napisane we współautorstwie z Jadwigą Jurkszus-Tomaszewską, reportaże i szkice kanadyjskie *Toronto, Tronto, Trana*, w roku 1969 w Londynie nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej ogłosił powieść *Młodość została nad Obrą*, ta też Fundacja w 1972 roku opublikowała jego szkice i obrazki amerykańskie *Kowboje, Apasze, Mormoni*. Reportaże meksykańskie z kolei, zatytułowane *I to jest Meksyk* i napisane wspólnie z Jadwigą Jurkszus-Tomaszewską, ukazały się nakładem londyńskiej *Oficyny Poetów i Malarzy* w roku 1974. W 1981 roku Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie wydał Tomaszewskiego opowieści okupacyjne *Gorzko pachną pióuny*, w roku 1985 w Toronto nakładem autora i czytelników ukazała się książka noweletek wspomnieniowych *Gdzie jesteś Itako?*, w 1986 roku zaś szkice i reportaże karaibskie *Szkunery i wyspy*. Powieść kryptobiograficzna *Chleba*



naszego powszedniego ukazała się w Toronto nakładem autora, czytelników i kanadyjskiego Polskiego Funduszu Wydawniczego w roku 1988, w roku 1990 w Toronto nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie pisarz ogłosił jeszcze jedną powieść autopsyjną *Wiosna u Wielkich Jezior*, wreszcie w Londynie w roku 1993 nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej opublikował *Śpiew syren*, czyli szkice i reportaże śródziemnomorskie.<sup>2</sup>

*Libera civitas regia Costensis* – pisze Tomaszewski, czyniąc Kościan bohaterem, czyli ciałem i krwią powieści *Młodość* została nad Obrą i temu nowelek wspomnieniowych *Gdzie jesteś Itako?*, nie mówiąc już o przypomnieniach miasta zwłaszcza w Gorzku pachną piółuny. Ale pomiędzy Wilnem Miłosza, Drohobyczem Chciuka, Berdyczowem Stempowskiego, Lidą Jurewicza, a nawet Zamościem Szewca Kościan Tomaszewskiego wygląda przecie dość osobliwie: jedyne w tym szeregu miasto Polski zachodniej.

Nic dziwnego, że wpięrow pociągają nas podobieństwa i różnice nie tylko miast i stron kraju, także mitów literackich, stylów narracji czy poetyk kultury symbolicznej. Ryszard K. Przybylski w eseju Adama Tomaszewskiego *Arkadia* znad *Obry* te akurat proporcje podobieństw i różnic wyważa świetnie. „Sporządzony przez Stempowskiego opis Berdyczowa przywołuję w tym miejscu nieprzypadkowo – powiada. – Można bowiem zestawić to miasteczko z Kościanem. Organizowało mianowicie obsługę handlowo-zaopatrzeniową okolic i zaspokajało wszystkie inne potrzeby, z którymi nie można było sobie samemu poradzić. Oba ośrodki pełniły więc podobne funkcje, ale też różniły się od siebie całkowicie”. I jeszcze: „Wspomnienia *Międzymorza*, jak nazywano krainę rozciągającą się między morzami Bałtyckim i Czarnym oraz Adriatykiem, rychło zdominowały ten typ piśmiennictwa na emigracji. Urosły do miana odmiany literatury. Nie tylko wyróżniały się bowiem przedmiotem refleksji i opisu, ale także językiem. W istocie, opowiadano w sposób nawiązujący do gawędy starszlacheckiej. Była tu i rozlewność frazy, bogactwo słownictwa nie stroniącego od regionalizmów i archaizmów. Nade wszystko jednak zwracał uwagę świat zapamiętanych realiów: jakby

ktoś mówił o rzeczywistości sprzed wieków. (...) Jestem przekonany, że Tomaszewski (...) pisał swe tomy wspomnień po trochu w opozycji do legendy *Międzymorza*. Nie chodzi tu o podawanie czegokolwiek z tamtych relacji w wątpliwość. Dążyć będzie on raczej do takiego zaprezentowania swych stron rodzinnych, aby okazały się nie mniej atrakcyjne. I to nie mocą idealizującego oglądu, lecz wnikliwością i barwnością opisu.<sup>3</sup>

Wydaje się nawet, że uniwersalizm, czyli makrokosmiczne znaczenie literackiego portretu mikrokosmosu miasteczka, niezależnie od faktu, czy miasteczkiem owym będzie Berdyczów czy Kościan – osiągnąć można zarówno oglądem idealizującym, czyli w perspektywie nieskończoności wielkości, jak i wnikliwością opisu, czyli w perspektywie nieskończoności małości, detalu, szczegółu. Rzeczywiście, pod tym względem *Młodość* została nad Obrą nie ma sobie podobnych: opowieść nie tyle niesie problemy czy idee, ile wystawia rzeczy, ludzi i kwartały miasta. Może to budzić poczucie lekturowego niedosytu, choć dzięki barwie opisów wcale nie nuży ogromne nagromadzenie martwych i żywych natur. Niedosyt brałby się bowiem z fabularnej niegotowości, z nieaktywności dzieła, które właśnie oczyszcza się z pokusy fabularyzacji i aktywności, z beletryzmu i opowieści narracyjnej po to, aby wysublimować w świecie przedstawionym niczym w alchemicznym tyglu najczystsza substancję rzeczywistości.

Akcja, fabuła, narracja beletrystyczna mogłaby rozpoczynać się każdym albo prawie każdym akapitem *Młodości*..., na „pozycjach wyjściowych” znajduje się tutaj sporo postaci, uszykowane są miejsca, dekorum, a nawet intrygi. Dlaczego zatem świat przedstawiony *Młodości*... nie rusza w kierunku powieści akcji, sagi, romansu czy westernu? Myślenie odpowiedzią na tak postawione pytanie jest dla mnie najbardziej wzruszającą odmianą kontaktu z twórczością Tomaszewskiego. Gdyż osobliwe piękno przedstawionego w *Młodości*... świata jest pięknem przezroczywości i zarazem pięknem surowego zaczynu mitu, ojca wszelkiej sztuki. Wiele partii *Młodości*... emanuje przy tym owym szczególnie osobliwym walorem, jaki w północnym

kręgu kultury śródziemnomorskiej w formie najdoskonalszej spotykamy w malarstwie niderlandzkim: połączenie scen rodzajowych, czyli pełnych ruchu, barwy i życia z martwą naturą i światłem jakby z innego świata. Może to być początkiem wielkiego wybuchu życia, ale może też być ostatnią fotografią, panoramą świata na chwilę przed apokalipsą. I wiemy, że apokalipsa nadchodzi, że coraz większym ciężarem czy cieniem kładzie się na świetlisty powidok miasteczka. Zapis kończy się o północy, 31 sierpnia 1939 roku: „Mieszkańcy wielkopolskiego miasteczka, którzy w swych puchowych łóżach, w źle przewietrzanych sypialniach nawrócili raz jeszcze do dni spokojnych, błogo znajomych – jeszcze nie wiedzą”. My jednak wiemy i od pierwszych słów *Młodości*... do jej słów ostatnich czujemy, że „przybór (...) ruszy przed siebie”, fala „niszczyielska, huczająca, straszna”.

Tomaszewski – jak wiele lat później Piotr Szewc w *Zagładzie* – konsekwentnie buduje metafizyczne napięcie, analogiczne do zasłuchania się i zapatrzenia przyrody przed burzą. Jego niderlandzkiego portretu miasteczka nie zmąci ani jedna błyskawica, ani jeden daleki choćby grzmot – a jednak czytając *Młodość*... ze ściśniętym gardłem będziemy mieli pewność, że to, co ocalało w retrospektywnym zapisie, w rzeczywistości zostało zgładzone. Paradoks ten funduje metafizyczną przestrzeń i ramy powieści.

## 2.

„Hu-ming porównał życie i rozwój miast do koncentrycznych kręgów rozchodzących się po wodzie, gdy wrzucimy tam kamień. Pierwszy krąg, pierwszy mur dawno już nie istnieje, gdy powstaje ostatni, a ten ostatni, najszerszy, ten, który opasuje całą naszą rzeczywistość i historię, jest najślabszy. Im większe miasto, tym słabsze mury, tym bardziej oddalamy się od centrum, od miejsca, gdzie padł kamień, od miejsca skąd wyszliśmy. I tym trudniej to ocalić. Ale kamień pada, kręgi rozchodzą się zawsze jest pierwszy mur i zawsze jest ostatni”.<sup>4</sup>

Nauki Hu-minga widać szeroko rozeszły się po świecie i w niejednym powieście Europy dobrze wiedziano, że biblijny moloch nie może być tożsamy z żadnym małym i zwartym miastecz-

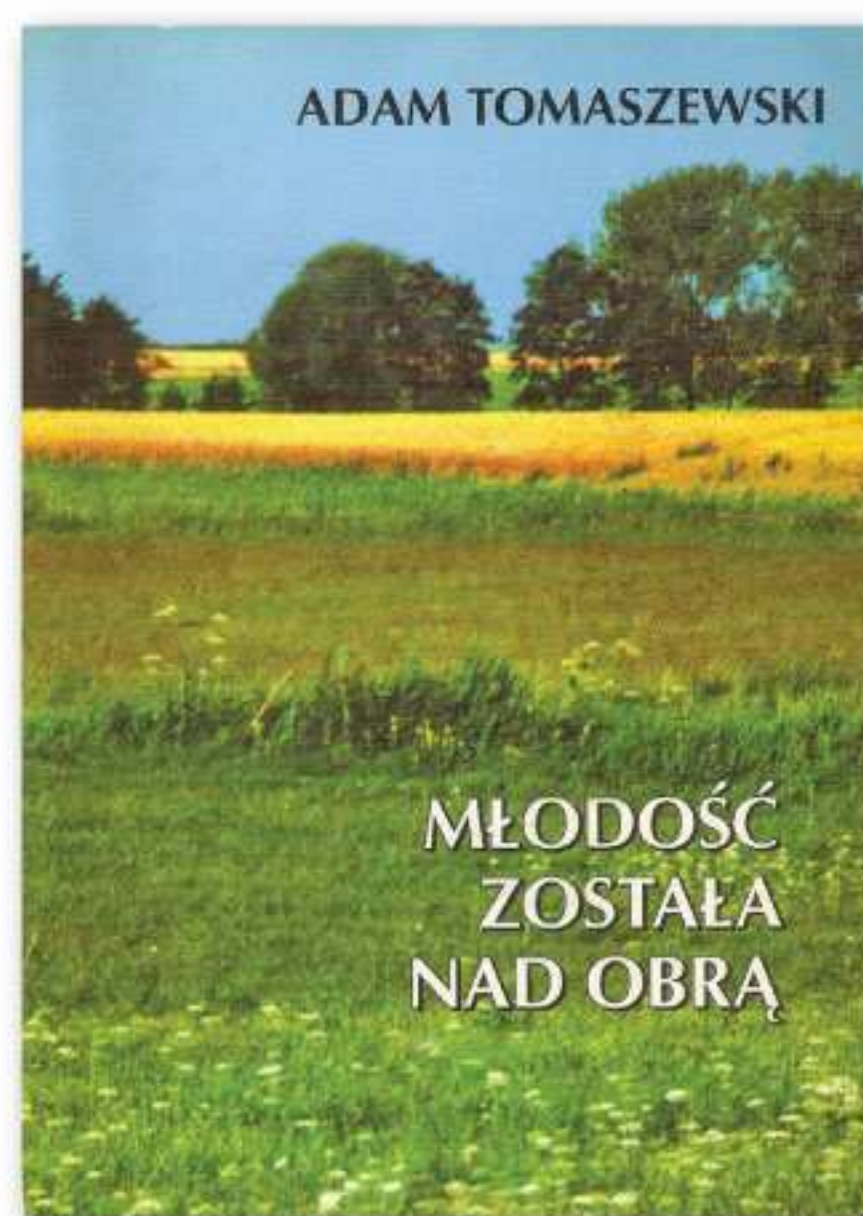


kiem wielkości powiatowej stolicy. Koncentryczne kręgi rozchodzące się po wodzie, gdy wrzucimy tam kamień, porównane do życia i rozwoju miasteczka, w Kościanie powinny być dobrze widoczne. „Każde miasto przedstawione plastycznie - pisze Józef Mackiewicz - powinno by posiadać kształt piramidy. Pośrodku spiętrza się w wysokich gmachach i świątyniach, wystrzela ku górze dorobkiem duchowej i materialnej kultury, następnie zaś spłaszcza ku peryferiom, przechodzi u podnóża piramidy w wieś. Krańce, stykające ze sobą miasto i wieś, nie tworzą wyraźnej granicy, a raczej pas neutralny na w pół mieszczański, na w pół chłopski. Mieszkają w nim trochę rolnicy, trochę mieszczanie pośledniejszych zawodów. Dorożkarze konni, asenizatorzy, kowale, cieśle; bliżej miasta prostytutki i złodzieje, dalej karczmarze, paserzy, wyrobnicy rozmaitych zawodów, wreszcie zdecydowany proletariatus”.<sup>5</sup> Zapewne tak lub bardzo podobnie wyglądał jeszcze Kościan w międzywojennym dwudziestoleciu. W każdym razie Tomaszewski opisuje przedmieścia, chłopskie jarmarki i odwieczne rytuały wymiany dóbr między miastem a okolicznymi wioskami, dalej tereny rekreacyjne, sportowe, nabrzeża Obry i spacerowe planty, uliczki śródmieścia, kamienice, fabryczki, sklepy, wreszcie okolice rynku i sam rynek, kościoły, urzędy samorządowe i państwowe, banki, sąd, szkoły i domostwa patrycjatu. Albo inaczej jeszcze, według innych kręgów zdaje się hierarchizować miasto prywatne i zaplątane w biologię, w przyrodę istnienia oraz miasto geograficzne i historyczne: „To był rdzeń życia, zamknięty krąg spraw najbliższych i najintymniejszych. Był jeszcze jeden krąg, chociaż już znacznie szerszy, umiejscowiony w geografii miasta, sięgający w jego historię, nawiązujący do spraw pulsujących żywą krwią”.<sup>6</sup>

A więc Kościan Tomaszewskiego - jak miasto według Hu-minga i jak miasto według Józefa Mackiewicza - jest koncentryczny i hierarchiczny. Tym mocniej wobec tego zadziwia, że w *Młodości...* nazwane przecie kręgi miejskiego życia i miejskiej panoramy właściwie nie zostają opisane ani choćby przełożone na przykład na typy ludzkie, biografie, wydarzenia. Przeciw-

nie. Wyposażony w poczucie hierarchii wartości, nie negujący ani na moment koncentrycznej struktury społeczności miejskiej, miasta i świata całego - pisarz skupia się jednak na równoczesnym, „ziarnistym”, rozprószonym obrazie rzeczywistości przedstawionej. Co łączy, co hierarchizuje te strugi i strużki motywów i wątków tematycznych, z których każdy zapowiada jakąś inną epopeję? „Detaliczna i hurtowna sprzedaż materiałów księgarsko-piśmienniczych”, czyli sklep ojca, procesja Bożego Ciała, poniedziałkowe i czwartkowe targi, kuchnia, obrzędy palenia w piecach, wielkie pranie, lecznictwo oficjalne i guślarskie, zaprawianie, wielkie sprzątanie, zaloty, wesele, kryzys ekonomiczny, odpust w Górze Duchownej, nauka w gimnazjum, wojskowe manewry, kościoły, klasztory, łowienie ryb, sporty, harcerstwo, podróże do Polski, cukrownia, kulig i kino, czyli Teatr Świetlny Apollo? Co mogą mieć wspólnego ze sobą zakład rzeźniczy Franciszka Fellmana, orkiestry, Bractwo Kurkowe, Koło Akademickie, Towarzystwo Tomasz Zana, Koło Przyrodnicze „Sokoły”, harcerska Trójka, Gimnazjalny Klub Sportowy „Hellada”, Towarzystwo Śpiewacze „Arion”, Kościański Klub Sportowy, Kluby Sportowe „Fervor”, „Sarmacja” i „Unia” oraz zabawy taneczne w powiecie? Strażnik parku Łączny, rozczytany w historycznych i podróżniczych powieściach Iwan ze swoim zaprzęgiem z parą dobrze odżywionych osiołków, „Bobuś”, harcmistrz Laurentowski, stara panna R, czyli „Evangelische Mode”, kościelny „Leonek”, Stasiu Kiedrowski, wędrowny Żyd „Jakub”, Michał vel „Mazurek”, „Lulaś”, cyrk i widowisko-variete?

Oczywiście, że dla Tomaszewskiego znaczenie pierwszorzędne ma fakt, że wszystkie te tematy i osoby były bezpośrednio związane z miasteczkiem jego młodości nad Obrą i że są teraz mieszkańcami jego pamięci. Dla autora *Gdzie jesteś Itako?* wymowę prawdziwie tragiczną ma inny jeszcze związek rozprószonych tematów i „ziarnistych” społeczności osób: cały ich kosmos uległ zagładzie. „Nie ma już Itaki tam, gdzie była, takiej, jaka była. Mojej Itaki. Pozostał genius loci, pozostały mury, kamienie, ulice. Niby te same, ale inne, inne, inne. (...) Pozostała nam w tych złych dniach - pamięć” - zanotuje autor *Gdzie jesteś*



Okladka kościańskiego wydania „Młodości...”

Itako?. Jednocześnie wszakże istnieje jakaś zupełnie inna, nieporównanie ważniejsza przyczyna Kościana „ziarnistego”, wysp życia niczym nie powiązanych, samodzielnych ludzkich monad, wszystkiego tego, co żywi, cieszy się i dojrzewa niepowiązaniem i samodzielnością. Przyczyna owa musi być absolutnie szczególna, życiodajnie niezbędna, bo przecie wyjawiać się przez nią powinno nowe, nieprzeczuwane zapośredniczenie, czyli inna grawitacja kosmosu Kościana.

W *Młodości...* nie całkiem jawnie - chociaż o czymś świadczą przecie uwagi o Piłsudskim i Dmowskim, o tolerancji i nacjonalizmie - toczy się spór o ustrojowy model Kościana, Polski i Europy, i nic dziwnego, bo i historia znów zostaje - jak powiedziałby Stempowski „spuszczona z łańcucha”. Spór jest w Polsce, jak też w Europie - i w Kościanie, rzecz jasna - prastary i nazywa się go niekiedy konfliktem między koncyliaryzmem a absolutyzmem. Współczesny filozof Isaiah Berlin istotę konfliktu przedstawia w klarownych obrazach, gdy prawi, że Europa ma zawsze dwie możliwości: może naśladować układ planetarny i może wzorować się na gwiazdozbiornie. Ustrojowy absolutyzm, czyli totalizm, tworzy układ kilku państw-słońc, wokół których krążą zależne lub podbite państwa planety, satelity. Ustrojowy zaś koncyliaryzm, czyli demokracja, tworzy układ państw-gwiazd, z których



każde świeci własnym światłem, a razem przypominają gwiazdozbiór na niebie. Siły kosmicznej grawitacji utrzymują gwiazdy w konstelacji, ale nie uzależniają ich nawzajem od siebie tak, jak czynią to siły grawitacji z orbitami planet w układzie słonecznym.<sup>7</sup> Kosmos Kościana według mapy Tomaszewskiego przypomina gwiazdozbiór, nie układ planet.

Gwiazdozbiór oznacza właśnie i tłumaczy „ziarnistość”, życiodajny rozprószy, niepowiązane i niezależne istnienia, nisze życia, wątki opowieści. Kręgi życia i rozwoju miasta według Hu-minga i według Józefa Mackiewicza mają zrozumienie i dopust Tomaszewskiego, o ile organizują kosmos Kościana w gwiazdozbiór i nie odtwarzają grawitacji totalitarnych. Powieściowy obraz przedstawia i rozwija przed czytelnikiem żywą przynajmniej w czasach opowiadanych rzeczywistość Kościana demokratycznego, „małej ojczyzny” wolnych obywateli. Absolut-

nie szczególną, życiodajnie niezbędną przyczyną Kościana „ziarnistego”, wysp życia nie powiązanych, samodzielnych ludzkich monad - jest po prostu wolność i po latach, w *Gdzie jesteś Itako?*, Tomaszewski stwierdzi dobitnie: „Nie ma tego, czym się kiedyś żyło, co potrzebne jak tlen do oddychania. W naszej Itace nie znano przymusu i strachu. Nasza Itaka była WOLNA”.

Jest to refleksja, podsumowująca ustrój, obraz i życie wewnętrzne miasteczka w dwudziestoleciu międzywojennym i oceniająca zarazem jakość czy rasę Kościana po jedynej podróży pisarza-emigranta do swej utraconej „małej ojczyzny” - ale utraconej dziwnie, duchowo, nie przesunięciem granic i narodów - w roku 1960.(cdn)

Poznań, w grudniu 1995

**SERGIUSZ  
STERNA-WACHOWIAK**

Przypisy:

<sup>1)</sup>A. Tomaszewski, *Gdzie jesteś Itako?*, Toronto 1985, s. 12. Wszystkie

cytaty dzieła wg tegoż wydania.

<sup>2)</sup>Por. *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939-1980*, red. B. Klimaszewski, Warszawa 1993, s. 323-324, oraz dane biobibliograficzne w edycjach książek autorskich.

<sup>3)</sup>R.K. Przybylski, *Adama Tomaszewskiego Arkadia znad Obry*, w tomie *zbior. Opowieść o cynowym raju i kilka innych historii z XX wieku, seria Tropami pisarzy na Kresach Zachodnich. Dzieła biografie pejzaże pod red. S. Sterni-Wachowiaka, tom 1, Poznań 1993, s. 113, 109-110.*

<sup>4)</sup>A. Leczycki, *Urbs*, „*Twórczość*” 1991, nr 6/547, s.16.

<sup>5)</sup>J. Mackiewicz, *Droga donikąd*, Londyn 1955, s. 9.

<sup>6)</sup>A. Tomaszewski, *Młodość została nad Obrą*, Londyn 1969, s. 45. Wszystkie cytaty dzieła wg tegoż wydania.

<sup>7)</sup>Zob. I. Berlin, *Dwie koncepcje wolności*, tł. D. Grinberg, w tegoż autora: *Cztery eseje o wolności*, tł. różni, Warszawa 1994, s. 178-227.

Nieprzeciętnemu  
zespołowi redakcyjnemu  
**Wiadomości Kościańskich,**  
z okazji jubileuszu,  
życzymy wielu sukcesów i pomysłów  
w opisywaniu regionu, a także  
życia i pasji jego mieszkańców.

R.P.Trączyńscy  
z pracownikami

**MA TT**  
automotive



# Historia Czempinia (1)

## Nazwa i powstanie osady

Czempin, miasto w Wielkopolsce, w powiecie kościańskim położone, 12 kilometrów na północ-wschód od Kościana, miasta powiatowego odległe, należy do województwa poznańskiego. Nazwa Czempin pochodzi od nazwiska kmiecia Czampa; kmieć Czampa zachodzi w XVI wieku na Mazowszu. Osnowa czep – od czepiec = siedzieć w kuczki, pilnować bydła, drzemać siedząc; czes. cupeti. W Wielkopolsce istniał drugi Czempin i to na Podlesiu za Żerkowem, dzisiaj pole, dawniej wieś, która w r. 1503 istniała.

W r. 1403 jest pierwsza wzmianka de opiddo Czampino w księgach ziemskich kościańskich (Terrestres Cost.), a w księgach ziemskich poznańskich występuje w r. 1410 Jan Czepiński. W tych samych księgach czyli w zapisach majątków w grodzie poznańskim jest w r. 1434 podany Czempin równolegle obok Piechanina (Pyechnyno opp. Alias Czampie); z tego wynika, iż Piechanin, wieś pod Czempinem, do dziś dnia istniejąca, starszym jest od Czempinia, bo na pierwszym miejscu wymieniony.

Piechanin zwał się dawniej Piechynin i wskazuje na nazwisko Piechyna albo Piechynia, tyle oznacza, co Piotr, zdrobniące: Piechu. Piechanin spadł według ksiąg ziemskich poznańskich w r. 1446 do rządu wsi, a Czempin figuruje jako miasto, bo zapiska brzmi opp. Czampyn cum villa Pyechynyno; więc ten cały wywód da się streścić w tych słowach, iż powstanie miasta Czempinia sięga I-szej połowy XV wieku, Piechanin należał na przełęczu 14 i 15-go wieku do 2 rodów do Nałęczów z Szamotuł i do Zarembów spokrewnionych z ziemianami z Lubiatowa. Do Nałęczów zaliczamy najprzód ziemianina Kielcza, który w r. 1387 występuje w sądach w Poznaniu jako Kielcz z Piechanina, potem Wincentego Dobrogosta z Szamotuł. Z drugiego rodu t.j. Zarembów znamy tylko Herkenbolda (Archibaldus). Piechanin należał w r. 1400 do Herkenbolda, które to imię było charakterystyczne w rodzinie Zarembów.

Z nazwisk ludowych zapiszemy z tych czasów nazwiska jak: Bratko, Bieczyna (pobliska wieś Bieczyny do dziś istniejąca), Drobot, Czabel, Dobrosław,

Gruśla, Koszko, Radosław, który później był wójtem w Dolsku, Srocza (Wielkie i Małe Srocko, wsi w pobliżu Czempinia istniejące), Wawrzek, który był rajcą albo konsulem w r. 1399.(...)

## Właściciele

Bracia z Szamotuł Nałęcz Wincenty i Dobrogost, fundując w Szamotułach ośmiu mansjonarzy, zapisali część ich uposażenia w r. 1423 na Piechaninie, który więc wówczas oczywiście posiadali. W księgach ziemskich kościańskich (Terr. Cost.) jest pod r. 1425 wzmianka, iż połowę Piechanina i Borówka posiadał Wincenty z Szamotuł, kasztelan międzyrzecki, a drugą połowę jego brat Dobrogost z Szamotuł, kasztelan poznański; Wincenty był później generalnym starostą Rusi Czerwonej i poległ w bitwie pod Warną w 1444 r., a córka jego Małgorzata była księżną raciborską, dana Waclawowi, a druga córka Jadwiga była za księciem Kazimierzem mazowieckim, Piastem.

W r. 1434 jest zapisany w księgach wieczystych poznańskich jako posiadziciel Piechanina i Czempinia Jan Bniński, herbu Łodzia, kasztelan międzyrzecki, syn Małgorzaty. Rok 1434 najstarsza data Łodziów na Czempiniu. W roku 1446 zleciła Czempin z Piechaninem, Borówkiem i Tarnowem Małgorzata, córka Wincentego z Szamotuł, małżonka księcia raciborskiego, Waclawa, Janowi Bnińskiemu. Tenże otrzymał część dóbr Czempinińskich albo jako wiano od jednej z Szamotulskich, albo był zastawnym właścicielem dóbr Czempinińskich aż do chwili wykupu przez Łukasza Górkę, za którego wyszła córka Dobrogosta z Szamotuł, Beatryx. W roku 1459 w księgach ziemskich kościańskich jest jeszcze posiadzicielem Piechanina i Czempinia Jan Bniński. Brat Jana był Piotr, od którego pochodzą dzisiejsi Bnińscy. Jan miał tylko córkę Elżbietę, zamężną za Ściborem z Niepartu.

W roku 1470 afilljował biskup poznański Andrzej z Bnina (1439-1479) kościół na Borówku, do parafjalnego kościoła w Czempiniu na prośbę wojewody poznańskiego Łukasza Górki, z czego wynika, iż już wówczas należał Czempin do Górków. Górkowie herbu Łodzia byli posiadzicielami Czempinia od r. 1470 aż do r. 1562. Łukasz Górka był synem



X. Franciszek Ruszczyński.

Źródło: internetowy Słownik Delegatów na Polski Sejm Dzielnicowy

Jakóba z Miejskiej Górki i Doroty, a bratem proboszcza w kapitule poznańskiej Wyszoty; żoną jego była Beatrix, córka kasztelana poznańskiego Dobrogosta z Szamotuł. Łukasz Górka, zmarł w r. 1475; pozostawił dwóch synów Urjela Górkę, biskupa poznańskiego (1479-1498) i kasztelana gnieźnieńskiego Mikołaja Górkę. Syn Mikołaja był Łukasz, wojewoda poznański, generalny starosta Wielkopolski, który po śmierci swej żony Katarzyny Szamotulskiej został biskupem włocławskim. Najczęściej przebywał w Poznaniu lub w dobrach swoich w Szamotułach, gdzie kolegiatę fundował; w katedrze swojej zaś raz na rok bywał. Przy katedrze włocławskiej zbudował kaplicę Najśw. Sakramentu.

Kiedy herezja w Gdańsku szerzyła się zaczęła, pragnął początkowo przez wysłańców swoich, a następnie sam zgorzeniu przeciwdziałać. W tym celu wybrał się do Gdańsku, ale w drodze rozchorował się i przeniesiony do Szamotuł, tamże w r. 1542 żywota dokonał; pochowany w katedrze włocławskiej. Synem jego był Andrzej, który miał za żonę Barbarę z Kurozwęk, herbu Poraj i był kasztelanem kaliskim, hetmanem polnym, a po zwycięskiej wojnie z Moskalami był kasztelanem poznańskim. Popierał heretyków, Braci czeskich, mimo, że król Zygmunt August kazał 4 sierpnia 1548 r. usunąć się „braciom” z Polski. Ci posłuchali, ale zarzewie buntu religijnego pozostawili. Andrzej wystawił swoim przodkom i rodzicom w katedrze poznańskiej pomniki z brązu z Norymbergii. Umarł w r. 1551.



Synowie Andrzeja byli Łukasz, Andrzej i Stanisław.

Łukasz, wojewoda poznański, miał za żonę sławną Halszkę z Ostroga. Dziwne i godne opowieści są losy Halszki z Ostroga. Była ona córką możnego pana, Ilji, księcia Ostrogi i Beaty z domu Kościeleckiej, ale wcześniej umarł jej ojciec. O rękę młodziutkiej Halszki ubiegali się różni panowie, ponieważ prócz urody wabiły ich wielkie majątki i bogactwa księżniczki. Opiekun Halszki Wasyl, książę Sanguszko, wydał ją w r. 1553 przemocą za Dymitra Sanguszkę, który został skazany za to na wygnanie i wyjechał z żoną do Czech. Marcin Zborowski, pragnąc ożenić swego syna z Halszką, dopędził młode małżeństwo w Nimburgu i zabił tam Dymitra. Wszczęły się zaraz nowe zabiegi o jej rękę. Król, jako najwyższy opiekun sierot, wydał ją wtedy wbrew woli matki za Łukasza Górkę. Beata zaprotestowała przeciw temu ślubowi, wywiozła córkę do Lwowa i zamieszkała tam wraz z nią w klasztorze dominikańskim.

Daremnie starał się Zygmunt August przełamać opór kobiet, wreszcie rozkazał staroście lwowskiemu przemocą Halszkę uprowadzić. Ale podstępem Beata wprzód już sprowadziła do klasztoru w ubraniu żebraczem starego kniazia Siemona Olelkowicza, który wziął ślub z jej córką. Mimo to wykonał starosta rozkaz królewski i Halszkę odprowadził Górcę, który osadził ją w zamku swoim w Szamotułach.

Tam dalsze dni pędził w samotności, niechcąc uznać mężem swoim Górki i skończyła w pomieszaniu zmysłów. Starania króla i arcybiskupa o polubowne załatwienie sprawy były bezskuteczne. Matka Beata mimo wieku lat 50 wyszła za Olbrachta Łaskiego. Halszka jest bohaterką kilku powieści i dramatów.

Wyżej wspomniany Stanisław Górka, późniejszy wojewoda poznański, brat Łukasza, nadał, jako posiadziciel Czempinia, miastu w r. 1561 prawo magdeburskie i ważne przywileje. Stanisław Górka i bracia jego odstąpili od wiary katolickiej i wynieśli na sobie przekleństwo, którym swoich sukcesorów zaklął Urjel Górka, biskup poznański, zgubą ostatnią grożąc im, jeżeliby od kościoła rzymskiego kiedykolwiek oderwać się mieli. O jednym z tych trzech braci, prawdopodobnie o Stanisławie, pisze Histor. Coll. Posnan., że srebra kościelne, kielichy, pateny i inne z kościoła szamotulskiego zabrawszy,



Pocztówka ze zbiorów muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

obrozę brytanowi z nich dał zrobić na szyję, na której kielichy i inne naczynia kościelne wyrysować kazał.

Pałac, który mieli w Poznaniu Górkowie i w którym przez lat 30 heretycy zbrój swój założyli, miasto Poznań po śmierci tego Stanisława kupiło, a synagogę (hereetycką) z miasta rugowało. Ten potem pałac Pannom się Benedyktynkom na klasztor dostał. Zamek w Kórniku ten Stanisław restaurował i ozdobił. Nietylko zaś w Wielkopolsce, ale i na Rusi obszerne dobra mieli Górkowie, w których wszędzie zbory heretyckie osadzili byli. Stanisław Górka umarł w r. 1592 i z nim Górkowie wymarli.

Po Górkach byli posiadzicielami Czempinia przez cztery dziesiątki lat Awdańce, noszący nazwisko od Małachowic z Konar Malechowscy. Stanisław Malechowski podpisany jest pod przywilejem danym Czempiniowi przez króla Zygmunta Augusta w r. 1561, tyczącym jarmarków i targów. Jan i Stanisław z Konar Malechowscy podpisali w r. 1580 statuty dla cechu Mielczarskiego.

Począwszy od 17-go stulecia byli posiadzicielami Czempinia Szołdrscy, herbu Łodzia. Pierwszy z Szołdrskich, który się zaznaczył w historii Czempinia, był Stanisław, cześnik kaliski (pincerna calissienensis); miał za żonę z Pigłowic Pigłowską, herbu Sokoła. Tenże fundował kaplicę Matki Boskiej Różańcowej w kościele czempińskim, uposażając ją, i nadał tutejszemu cechowi szewskiemu statuty i przywileje w r. 1611.

Syn Stanisław - Andrzej, pierwotnie

pleban czempiński, później biskup poznański (1636-1650), który wydał dokument erekcyjny dla kaplicy Najśw. Marji Panny w r. 1641... Według dalszej osnowy powyższego dokumentu erekcyjnego miał prawo patronatu i prezentowania kapelana do owej kaplicy w kościele parafjalnym tak zwanej apella Szołdrsciana fundator i jego sukcesorowi. Proboszczem był wówczas ks. Stanisław Rzymyński, a kapłanem ks. Maciej Dybiński, któremu – jak głosi powyższy dokument – nałożono obowiązek miewania kazań.

Kaplicę różańcową, uposażali w hojne fundusze późniejsi Szołdrscy, jak Stanisław, cześnik kaliski, podsedek i podstaroście poznański, w sądach (według Niesieckiego) „niechybny dekretysta” († 1641 jako poseł na sejm warszawski), a żona jego Marja Zajączkówna z Wrzący (w Sieradzkim) okazała się wielką dla kościoła dobrodziejką; drugą jego żoną była Manicka z Manieczek, z której był syn Jan, cześnik kaliski i kasztelan biechowski (Wiechowo pod Wrześnią). Synowie tegoż byli Aleksander, który poległ w bitwie przeciw Szwedom, a drugi Andrzej, który poległ przeciw Kozakom.(cdn)

#### X. FRANCISZEK RUSZCZYŃSKI

\* X. Franciszek Ruszczyński (1874 – 1961) był długoletnim proboszczem w Czempiniu. W 1923 roku wydał książkę pt. „Historia Czempinia”, której obszerne fragmenty prezentujemy, zachowując pisownię oryginału.



# Opis Kościana (1)

Oparty na dokumentach historycznych znajdujących się w kościele farnym w Kościanie i na Wspomnieniach Wielkopolski tj. Województwa Poznańskiego, Kaliskiego i Gnieźnieńskiego Edwarda hr. Raczyńskiego.

Historia Kościana, ongi miasta obwarowanego fortecą słynnego wyrobami sukienniczymi, zamierzchłej sięga przeszłości, tak, że nie wiadomo nawet, w którym wieku miasto to, przerzynane Obrą, założone zostało. Kroniki powiadają, że Sobiesław, książę czeski, widząc, że Polska, podzielona przez Bolesława Krzywoustego między czterech jego synów, osłabiona wojną bratnią, skorzystał z tej sposobności, wtargnął r. 1139 do Polski i wśród błot nadobrzańskich, gdzie teraz Kościan leży, założył warowne stanowisko. Tak pisze nasz dziejopis Długosz, lecz wiadomość ta tylko na w pół prawdziwą, tj. że Sobiesław, wtargnąwszy do kraju naszego, oszańcował się, i może w miejscu, na którym dziś leży Kościan, gdzie już niezawodnie zastał, jeśli nie miasto, to zapewne liczną osadę, gdyż wszystkie niemal wsie w okolicy Kościana sięgają czasów przedchrześcijańskich, o czym świadczą cmentarzyska pogańskie, odkrywane dość licznie z popielnicami np. w Sepnie i innych miejscowościach. Jeśli więc były osady w okolicy Kościana w czasach przedchrześcijańskich, niezawodnie był i Kościan.

Na tych cmentarzyskach, pogańskich sięgających czasów, kiedyto przodkowie nasi palili ciała nieboszczyków, chowając w urnach ich popioły w ziemi, znajdowano resztki węgla wierzbowego i olszowego. Urny znalezione w Sepnie są proste, z gliny, zapewne zawierające prochy uboższej ludności, jedna między niemi odznaczała się atoli misterniejszą robotą, a zewnątrz ozdobiona girlandą. Była ona niezwyklej objętości, i zawierała w sobie jeszcze trzy urny mniejsze, z których dopiero w czwartej najmniejszej były popioły zmarłego, - niezawodnie pana ówczesnej wioski.

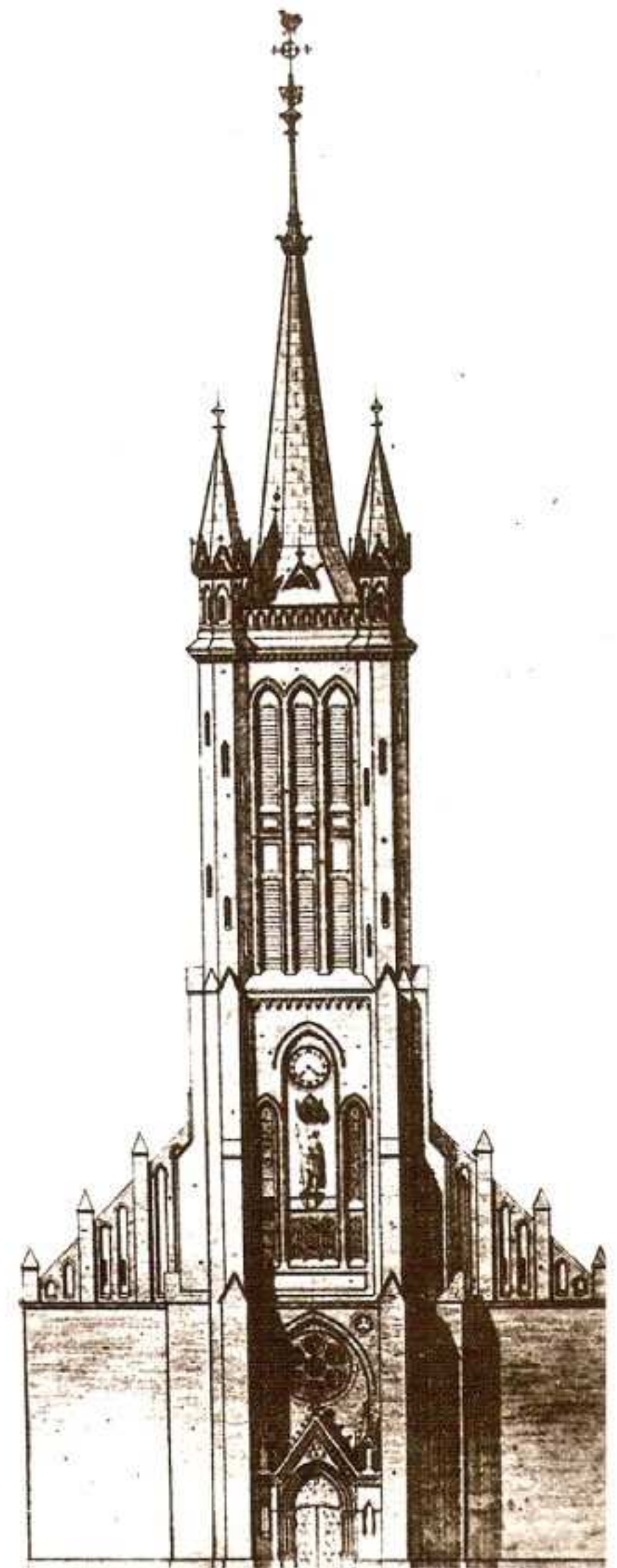
Kościan w owych czasach był niezawodnie osadą, i z czasem stał się miasteczkiem, a do tego przyczyniło się niezawodnie położenie jego na trakcie z

Szląska do Poznania. Kroniki z r. 1238 piszą o Kościanie jako o mieście, a więc przeszło lat 600 temu, jak nasz Kościan jest miastem, i należy niezaprzeczenie do najdawniejszych miast w Polsce. W tym to czasie, Henryk, książę głogowski, potomek Władysława II, któremu ojciec, Bolesław Krzywousty, dzieląc Polskę, w testamencie oddał Łęczyckie, Pomorze, Krakowskie i Szląsk, wtargnął do Wielkopolski i zabrał część tej dzielnicy wraz z Kościanem i nadał duchowieństwu wielkie swobody.

Późniejsze lata historii Kościana przechodzi kronika milczeniem, nie można się przynajmniej było doczytać nic pewnego, i tylko dla ważnego faktu w dziejach miasta Kościana otworzył kronikarz kartę, mówiąc o murowanym zamku, tak zwanym grodzie, który wznosił się nad odnogą Obry w miejscu, gdzie dziś ujeżdżalnia i spichlerze stoją.

Kościan należał do miast królewskich i był siedzibą starosty kościańskiego, którego, jak Szyc w „Jeografii dawnej Polski” powiada, stanowił Starosta jeneralny, czyli Wielkopolski, który siedem grodów obsadzał, t.j. Poznański, Kaliski, Pyzdrowski, Gnieźnieński, Koniński, Keyński i nasz Kościański. Starosta kościański, jako najwyższy urzędnik w powiecie, największą też w nim dzierżył władzę, gdyż prócz przewodniczenia sądom grodzkim, był zarazem głównym stróżem prawa i bezpieczeństwa publicznego, a do wykonywania swej władzy używał, jak każdy inny starosta, straży starościńskiej lub też miejskich pachołków. Starosta miał jako pensją dzierżawę dożywotnią, a nasz kościański dzierżył Bonikowo, Górostwo, Kurzagórę i inne mniejsze majątki okolicy. Do chwili rozbioru Polski należały te wsie do starostwa, i dopiero za Prus południowych, na początku wieku bieżącego darował król pruski dobra te jakiemuś jenerałowi pruskiemu, a od tego nabyła je rodzina Chłapowskich, bo dziad dzisiejszego ich właściciela, p. Stefana Chłapowskiego kupił ten majątek.

Ale wróćmy do przeszłości Kościana. Może najświetniejszą epoką miasta naszego był wiek piętnasty, bo w tym czasie był Kościan niezawodnie ludnym

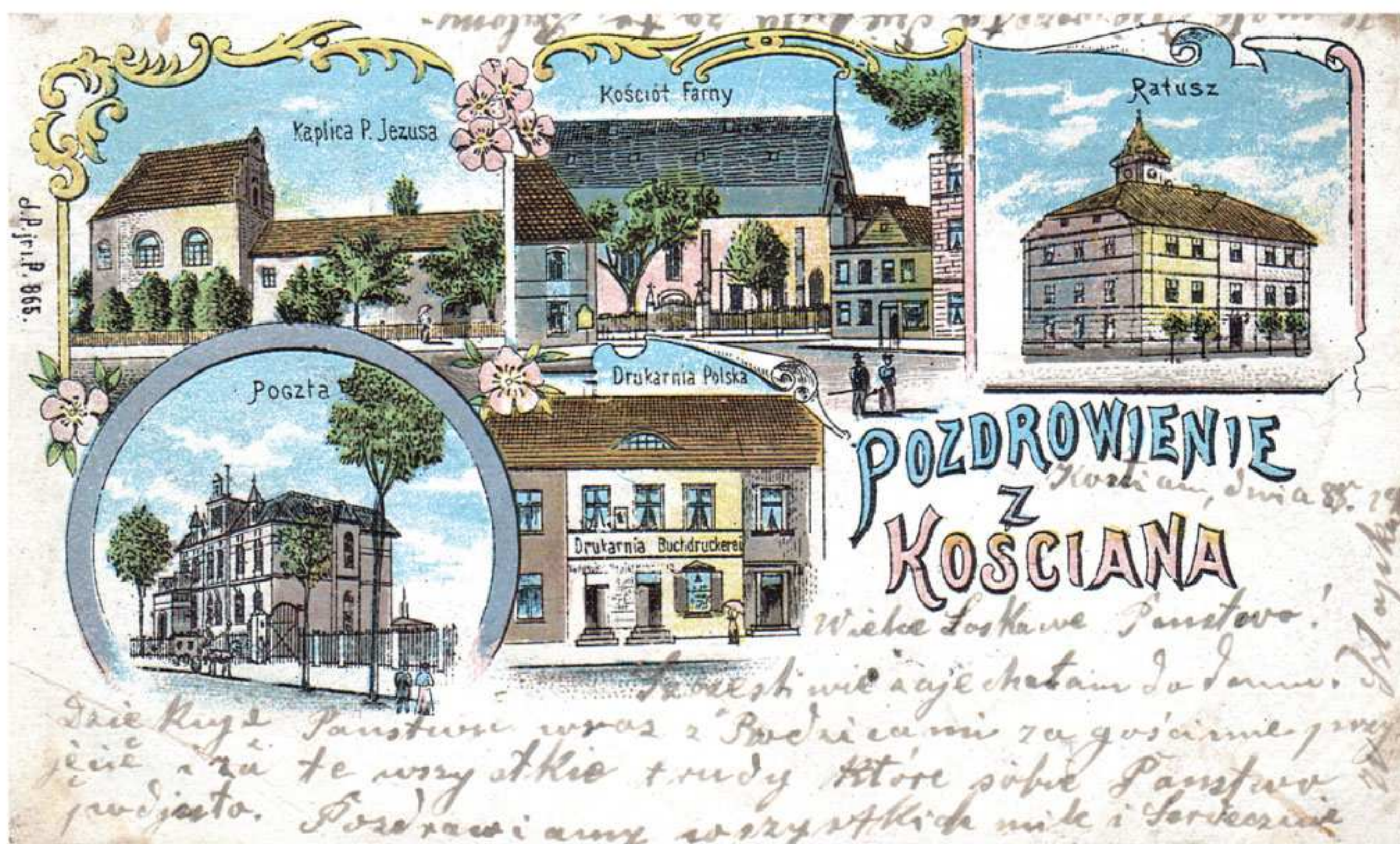


Szkic z projektu odbudowy wieży kościańskiej fary z 1913 roku.  
W zbiorach Jerzego Zielonki

i bogatym miastem fabrycznym; wyroby jego bowiem sukiennicze słynęły na całą Polskę i po za jej granicami głośne miały imię, jako piękne, trwałe a cienkie. To też nic dziwnego, że fabrykanci innych miast podszywali się pod tę firmę naszych ojców i wyrób słaby sprzedawali za wyrób kościański.

Sukiennicy kościańscy, narażeni przez takie podszywanie się pod ich firmy, żalili się przed Kazimierzem Jagiellończykiem, królem polskim, który, chcąc zabezpieczyć Kościanianów przed stratami, nadał im przywilej, mocą którego nikomu obcego nie wolno sprzedawać swego sukna jako kościańskie, dla pewniejszego zabezpieczenia zaś sukienników kościańskich nadał im herb





Pocztówka w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

orła białego z literą C (Casimirus). Herb ten wybijali sukiennicy nasi na ołowiu, jako stempel na każdym postawie sukna. Opieka ta monarchy naszego, okazana sukiennikom kościańskim dowodzi, że wyroby ich musiały zasługiwać na to, aby gorsze fabryki nie dyskredytowały ich dobrego imienia, dowodzi ona i tego, że w Kościanie musiało być wielu takich fabrykantów, bo dla kilku nie byłby król nadawał przywileju.

Powiedziałem wyżej, że w owych czasach musiał być Kościan ludnym miastem, kroniki nie podają pod tym względem bliższych szczegółów, ale tradycja powiada, że Kościan liczył dawniej około 15 tysięcy ludności, czemu można dać wiarę, najprzód ze względu na to, że liczne folusze, które się na Obrze, aż ku wsi Sierakowu rozciągały, bardzo wielu musiały zatrudniać robotników w czasach, w których nie było machin tylko ręczne warsztaty. Świadczyć mogłaby o tem także nasza fara, która za szczytą była dla parafii kościańskiej i dla tego, jak to świadczą dwie obok drzwi pod dzwonnicy w murowane cegły w r. 1542, rozszerzoną została, a nad nią wzniesiony przy tem budowaniu wysoką wieżą, która atoli lat temu 150 z górą zapadła się.

Nasza fara, to historyczna świątynia, pamięta ona lepsze czasy świetności naszej, była świadkiem wszystkich kolei, jakie ojcowie nasi przechodzili; o tem więc niemym, a wymownym świadku pomówię nieco obszerniej.

Fara nasza nie była zrazu taką wielką, jak dziś, nie miała ona bowiem ganków bocznych od ambony aż do wielkiego ołtarza, które przymurowano później, a po bokach od ambony do chóru przystawiono kaplice, które i dziś jeszcze widzimy, t.j. św. Kazimierza, św. Walentego, Matki Boskiej, św. Józefa, św. Barbary i całą zakrystyą. Znacznie więc rozszerzono pierwotną świątynię naszą. Dwie inne kaplice obok dzwonnicy przez zapadnięcie wieży zgruchotane zostały, czego ślady widać dotychczas na murach zewnętrznych.

Że ganki w około kościoła później przybudowano, o tem świadczą filary zastrzałowe wewnątrz się znajdujące, wyraźnie w późniejsze mury wpuszczane. Oprócz tego inny na to mamy dowód. Gdy bowiem w r. 1864 t.j. właśnie przed dziesięciu laty, restaurowano ten kościół, odkryto we filarze przy ławce biskupiej resztki furtki sklepionej, oczywiście więc, że tam był mur zewnętrzny kościelny a

w nim furtka, którą księża z przyległego probostwa do kościoła wchodziłi. Całe przybudowanie świadczy o wielkiej trwałości pierwotnych murów kościelnych, kiedy w nich wyrąbano terażniejsze filary i jeszcze pozawieszano nowe sklepienia nad bocznymi gankami.

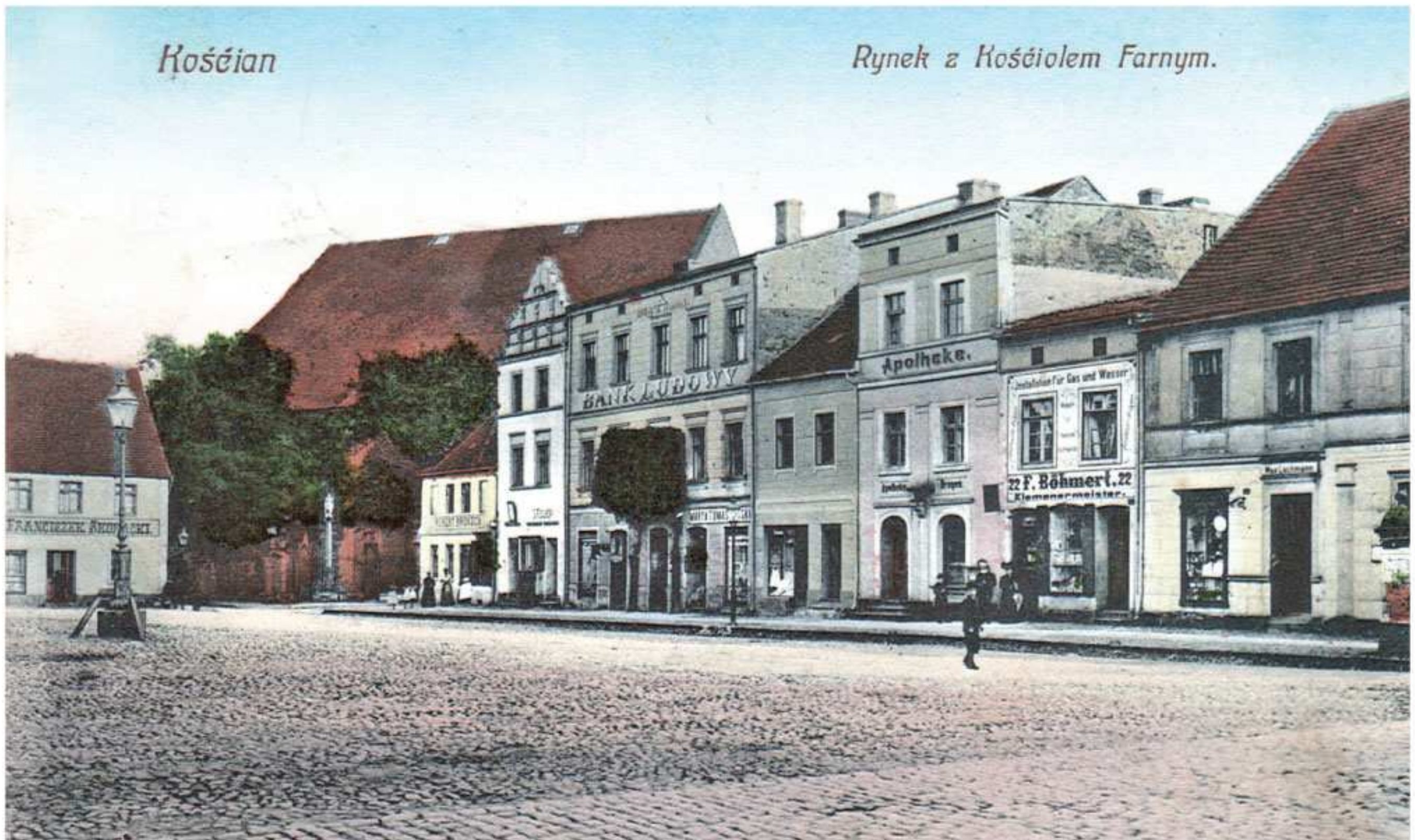
Co do konstrukcyi, to pierwotny kościół był smukły gotycki – dzisiejszy jest rozwlekły i na zewnątrz niekształtny lecz za to wygodniejszy, bo obszerny. Zwykle mówimy o naszej farze, że świątynia ta w ziemię weszła. Lecz tak nie jest, by gdyby się była z czasem w grunt spuściła, mury byłyby musiały popękać. Ta okoliczność, że teraz po kilku schodach na dół się zstępuje do kościoła, nie dowodzi tego, jakoby kościół ten spuścił się w ziemię, pochodzi to bowiem z wielu innych przyczyn:

Dawniej nie było cmentarza za miastem, wszystkich więc zmarłych chowano na około kościoła, przezco ziemia czasem się wyniosła nad fundamentem kościoła.

Kościół dwa razy za Szwedów i raz za konfederacyi Barskiej był zniszczony; gruzów z poniszczonych domów nie wywożono za miasto, lecz pozrzucono je po ulicach, przez co się te także nie wyniosły.

Częsta naprawa dachów na kościele





*Pocztówka w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie*

również przyspożyła gruzów na około niego.

Ztąd więc ta wyniosłość po nad fundamenta.

Nadmienić mi jeszcze trzeba, że zamożniejszych obywateli chowano w kościele pod posadzką z cegieł; przy ostatniej reparacji mnóstwo takich grobów odkryto. Dawniej wiele z tych grobów było oznaczonych kamiennymi płytami wpuszczonemi w posadzkę, a na nich były nazwiska zmarłych...

Nasz żołnierz, poeta-historyk Julian Ursyn Niemcewicz podróżował przed 50 laty, po Wielkopolsce, był też i u nas, i wspomina o nagrobku jakiegoś Piotra Langerycy, faktora kapituły, który ma być otoczony 24ma dziećmi z trzech żon. O tym nagrobku już nikt teraz nie wie.

Wspomnijmy teraz o grobowcach, które jeszcze istnieją, aby je przekazać pamięci potomków. Po lewej stronie jest wspaniały pomnik w stylu włoskim Macieja z Bnina Opalińskiego i jego żony Jadwigi z Lubrańca. Opaliński zmarł 1541 r., a żona jego 1558 r., żyli więc przed przeszło 800 laty. Wystawił im grobowiec ten syn ich Andrzej z Bnina, marszałek i generał Wielkopolski, starosta śremski. Zdaje się, że to on kościół

rozprzestrzenił, co dowodzi wspomniana data 1542.

Za nagrobkiem tym w tyle filaru zapewne były złożone zwłoki tych pobożnych przodków naszych, lecz je Szwedzi, szukając skarbów, poniszczyli i poburzyli: została tylko jama za filarem a założona kamieniem polnym.

Drugi nagrobek za w. ołtarzem po prawej stronie jest Jana Orzelskiego, starosty kościańskiego i jego ukochanej małżonki Anny ze Strykowa z r. 1595, na nim napis łaciński:

„Małżonkowie wieczną zgodą połączeni.”

Dalszy zaś napis powiada, że pan Orzelski jeszcze za życia sobie i drogiej Annie ten przytułek wczesnego spoczynku wystawił. Nagrobek ten odznacza się pięknym stylem, jest ze staku lecz ozdoby są z czerwonego marmuru, a popiersia państwa Orzelskich z takiegoż kamienia zapewne są ich wiernymi portretami, kiedy za życia jeszcze były wykute. – Tytus Działyński w swoim dziele o rodzie Szydłowieckich umieścił bardzo piękny miedzioryt tego nagrobka. Zasługuje on na to, aby go obejrzeć – piękna to pamiątka! Panowie często bywacie w kościele, lecz za ołtarz rzadko z was kto idzie; radzę zajrzeć i przekonać się

jak piękny ten nagrobek.

Dalej za w. ołtarzem jest mała tablica kamienna i przy niej coś w murze nakształt szafki lub schowania. Tu spoczywały pono kiedyś zwłoki 3 miesięcznej Urszulki – ukochanej córeczki tutejszego doktora Grzegorza Pachury Głogowczyka – zmarłej 1644 r.

Naprzeciwko ambony we filarze wmurowana jest tablica drewniana i na niej w płaskorzeźbie dwa piękne dziewczątka małe w powiciu; imię im było Jadwisia i Anna zmarły 1647 i 1649. Nazwisk nie ma: herb pokazuje, że były szlacheckiego rodu. Napis łaciński powiada, że smętni Rodzice nagrobek ten położyli. Za tą tablicą framuga próżna; oczywiście Szwedzi za bogactwami szukając, mur ten wyłamali.(cdn)

**KLEMENS KOEHLER**

\* *Dr med. Klemens Koehler (1840 – 1901) jest uważany za jednego z twórców kościańskiego regionalizmu. Powyższy tekst zaczerpnięto z poznańskiego tygodnika „Ognisko” nr 65, 68, 70 i 72 z roku 1874. Zachowano pisownię oryginału.*





# Kościański szturm na Jagiellonkę

Z prof. dr hab. Zbigniewem Wielgoszem rozmawia Teresa Masłowska

*Profesor Wielgosz, mediewista, twórca i redaktor naczelny „Zeszytów Lubińskich”, autor licznych opracowań, zamieszczonych m.in. w: „Kościan – zarys dziejów”, „Dziejach Kościana”.*

*Fot. Teresa Masłowska*

W epoce odrodzenia wielu kościaniaków wyjeżdżało studiować na Uniwersytecie Kazimierzowskim. Wyprzedzał nas tylko Poznań, za był Kalisz, Szamotuły i Gniezno. W XV w. trzech rektorów pochodziło z Kościańskiego. O wspaniałej przeszłości miasta i pędzie kościaniaków do wiedzy opowiada mediewista Zbigniew Wielgosz, profesor dr hab. Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

W XV i XVI w. królewskie miasto Kościan było - o czym jego mieszkańcy nie zawsze wiedzą i pamiętają - jednym z najbardziej znaczących miast Wielkopolski. A już prawdziwym fenomenem była

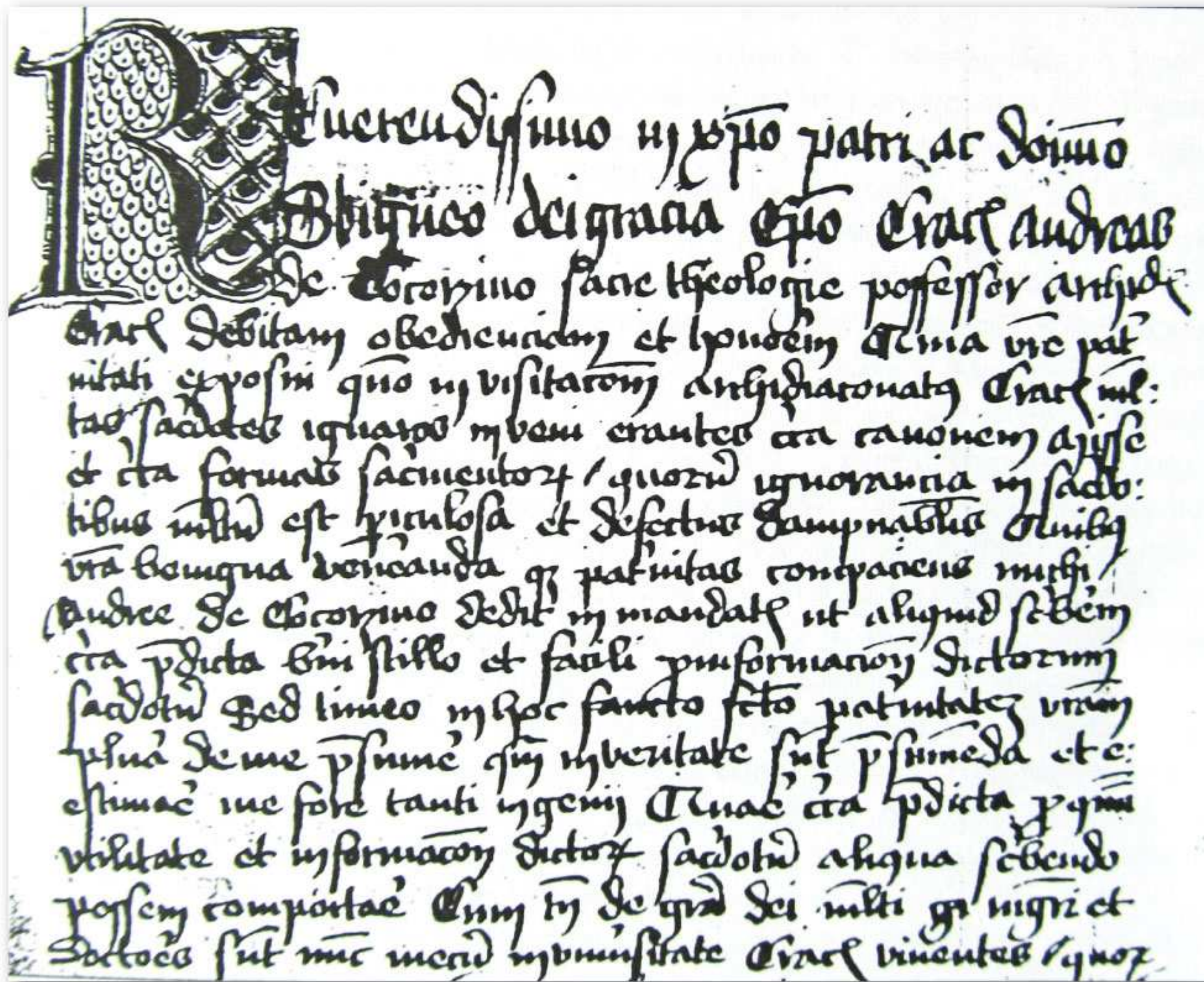
liczba wyjeżdżających stąd na studia do Krakowa.

- Peregrynacje akademickie kościaniaków były niesamowitym zjawiskiem. Na pierwszym miejscu był oczywiście Poznań, potem Kościan, Kalisz i Szamotuły. Z tych miast najwięcej młodzieży udawało się na studia. Skąd to się brało? To były prężne, rozwijające się ośrodki, w których wysoko stało rzemiosło, kwitł handel, a mieszczenie byli na tyle bogaci, że mogli sobie pozwolić na wysłanie synów do szkół. Jak można się domyślać, Gniezno – miasto kościelne z siedzibą biskupa, pozostawało w tyle, bo nie przenikały tam prądy reformacyjne i wolnomyślicielskie. Kościan natomiast w XV w., pomimo pozostałości feudalnych, był już miastem nowożytnym.

Co wpłynęło na imponujący rozwój miasta?

- Kilka sprzyjających okoliczności. Przed wytyczeniem nowej drogi na południe, w centrum znajdowały się takie miasta jak: Śrem, Krzywiń, który był kasztelanią, czy Przemęt z klasztorem cystersów, Kościan natomiast zostawał na uboczu. Cesarz Otton III w 1000 roku zmierzał z pielgrzymką do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie właśnie przez Bytom, Krzywiń i Śrem, a nie przez Kościan. Rozwój ułatwił nowy układ dróg handlowych, zwłaszcza szlak prowadzący z Poznania, przez Kościan, Wschowę, Głogów na Śląsk. Gród nad Obrą dużo skorzystał z bliskości Śląska, który był zawsze dzielnicą zawansowaną gospodarczo,





Fragment traktatu Andrzeja z Kokorzyna.

Reprod. Teresa Małowska - ze zbiorów prof. Zbigniewa Wielgosza

politycznie, przenikały doń różne wpływy kulturowe i gospodarcze. Jak niektórzy twierdzą Śląsk pełnił rolę cywilizacyjnego centrum ówczesnej Polski.

Nowy trakt ułatwił rozwój gospodarczy, a zakończenie walk między książętami wielkopolskimi i śląskimi umocniło Kościan na arenie politycznej. Rozbicie dzielnicowe nie sprzyjało bowiem stabilizacji, dopiero ostateczne przyłączenie regionu do Wielkopolski sprawiło, że Kościan wkroczył w nową fazę rozwoju. O zamożności miasta świadczy także duża liczba żołnierzy wystawionych na wojnę pruską z zakonem krzyżackim – miasto znowu było na drugim miejscu, za Poznaniem, ale przed Kaliszem.

**Miasto było bogate to prawda, ale tak duża liczba kościańskich zakonów studiujących w Krakowie jest zdumiewająca.**

- U schyłku późnego średniowiecza do kraju napływały już nowe prądy. W pierwszej połowie XV w. Kościan był miastem renesansowym, gdzie prym gospodarczy wiodli mieszczaństwo, nie szlachta. Nagły przyływ studentów wiązał się z rozkwitem i wzrostem znaczenia miasta. Frekwencja młodzieży na studiach była wykładnikiem jego rozwoju. To niezwykle czuły barometr - gdy tylko sytuacja pogarszała się było ich mniej, w okresie stabilizacji gospodarczej, od razu ich w Krakowie przybywało. Miasto – nie tak znów rzadko - nawiedzały zarazy, wybuchały

pożary, co znalazło odzwierciedlenie w okresowo malejącej liczbie studentów.

Niewiele wiemy o początkach Uniwersytetu Kazimierzowskiego, nie zachowały się żadne spisy. Mądrzejsi jesteśmy, jeśli chodzi o jego dzieje po odnowieniu przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. Ciekawa rzecz, już dwa lata po inauguracji zjawili się tam pierwsi kościaniacy: Mikołaj syn Waltera i Mikołaj syn Mikołaja. Ich liczba rosła, dla przykładu, w latach 1400 - 1440 studiowało 17 zakonników z Kościana, później w latach 1441-1460 odnotowano aż 47 studentów. Ogółem w latach 1400-1600 z powiatu kościańskiego na studia wyjechało 195 scholarów, w tym 158 z Kościana. Warto pamiętać, że w peregrinacjach akademickich uczestniczyła



- chociaż nielicznie - także młodzież z powiatowych miasteczek; ze Śmigła, Krzywina, Wielichowa i Czempinia.

Panie profesorze, czy tylko bogaczy stać było na posłanie synów do krakowskiej uczelni?

- Różnie to było, studiowali synowie bogatych rodów, trochę z biednych rodzin, ale najwięcej średnio-zamożnych synów patrycjuszowskich rodzin; rajców miejskich, tkaczy, sukienników, złotników, rzeźników i piwowarów, wiemy o tym z ksiąg wpisowych. Wysokość opłaty zależała od zamożności, niektórych stać było na zapłacenie całości, czyli ośmiu groszy, jednak najczęściej wpłacano od jednego do czterech groszy, ale zdarzały się i półgroszowe wpłaty, sporadycznie całkowicie zwalniano z wpisowego. Osiem groszy to był dość duży wydatek. Czy do tego dochodziło czesne, nie wiemy. Brakuje także informacji o intensywności studiów.

Jak potoczyły się losy absolwentów, wracali do rodzinnego miasta, czy szukali szczęścia w świecie?

- Zaczniemy od tego, że część nie ukończyła nauki, tylko nieliczni uzyskali stopień bakałarza, większość kończyła studia bez stopni naukowych. Brak ksiąg promocyjnych nie pozwala wykazać szczegółowej liczby bakałarzy i magistrów. Niepromowani także znajdowali zatrudnienie w rodzinnym mieście na stanowiskach pisarzy, ławniczych, radzieckich, w warsztatach ojców. Ci ze stopniami bakalarskimi zostawali nauczycielami, jak Habdang, czy Piotr Eszlor, nieliczni obejmowali kościelne urzędy: nauczyciel Mikołaj Ruczel był altarzystą w kościele parafialnym. Z bogatej rodziny mieszczańskich rzeźników wywodził się Bartłomiej Grzech, uzyskał stopień doktora filozofii, następnie wrócił do Kościana i został prepozytem (proboszczem – dop. TM) kościoła św. Ducha. Innym różnie układały się losy, wielu rozpierchło się po świecie, na przykład w klasztorze benedyktyńskim na Łysej Górze przebywał Jan z Kościana.

A jeden kościaniak został oceniony jako marny wykładowca. To można było tak sobie wykładowców krytykować?

- Widocznie tak. Chodzi o dekretystę (autor prac kanonicznych – dop. TM) Jana, który żył w Krakowie na przełomie XV i XVI w. Mieszkał na Brackiej. Chociaż był bakałarzem

nie osiągnął poważnych wyników naukowych, a do tego jeszcze źle uczył. Na wykładzie w obecności studentów skrytykował go Maciej z Napachania wołając na głos: „Iste bachelarius legere ignorat”. Upokorzony bakałarz szukał sprawiedliwości w sądzie rektorskim.

Nasi nie tylko często wyjeżdżali studiować, niektórzy robili oszałamiające kariery, w XV w. aż trzech dostąpiło godności rektora Uniwersytetu Krakowskiego.

- Kilku uczonych kościańskich odegrało szczególną rolę w dziejach uniwersytetu. Można mówić o obopólnym pozytywnym oddziaływaniu: akademii na środowiska lokalne i odwrotnie wkładzie Wielkopolan w rozwój uniwersytetu. Najwybitniejszą postacią był filozof i teolog, archidiacon krakowski Andrzej z Kokorzyna - wsi spod Kościana, pochodził ze starej szlacheckiej rodziny Kokorzyńskich, znanej od XIII w. Mieszkańcy mogą być z niego naprawdę dumni. Studia rozpoczął na Uniwersytecie Praskim zdobywając w 1399 r. stopień bakałarza, naukę kontynuował na Uniwersytecie Krakowskim uzyskując tytuł magistra. Niewątpliwie musiał mieć podstawy materialne, ale poparte chęcią zdobywania wiedzy, odwagą i ciekawością świata, żeby wyprawić się aż do Pragi. Życie zawodowe związał z Krakowem, gdzie wykładał, był dziekanem i trzykrotnie rektorem. Był autorem wielu traktatów i podręczników dla księży. Ten przeciwnik husytów związany był z dworem Władysława Jagiełły i jego trzecią żoną Elżbietą Granowską.

Rektorami byli jeszcze Tomasz Strzemiński z Czempinia i Maciej z Kościana...

- Drugim, wybitnym uczonym był profesor Tomasz Strzemiński z Czempinia lub okolic. On także pozytywnie zaznaczył się w dziejach uniwersytetu, kościoła, polskiej kulturze i polityce. Studia bakałarza rozpoczął w 1421 r. Zaraz po doktoracie został rektorem, później jeszcze raz objął ten urząd. Był kanonikiem gnieźnieńskim, poznańskim. Kościół i dwór królewski posyłał go z misjami, m.in. do Rzymu i Bazylei. To była epoka soborów, w kościele dużo się działo, funkcjonowali papież i antypapież, takie poselstwa wymagały i mądrości, i dyplomacji. Po Zbigniewie Oleśnickim został biskupem krakowskim. Należał do najbardziej

zasłużonych kolekcjonerów książek.

Trzecim rektorem był Maciej syn Klemensa z Kościana. Dziekan wydziału prawa, doradca rektora, proboszcz akademickiego kościoła św. Anny, rektorem był trzykrotnie. Ci uczeni zasłużyli na wyróżnienie w skali kraju, ale przed wszystkim na wdzięczną pamięć mieszkańców Ziemi Kościańskiej, za ogromny wkład w polską naukę, kulturę, działalność kościelną i państwową. O tym należy pamiętać, można ten fakt znakomicie wykorzystać do promocji miejscowości, z których pochodzili.

Zgodnie z tym, co pan profesor powiedział, z upadkiem Kościana zapewne zmalała liczba studentów.

- W XVII wiek Kościan wkroczył w znakomitej formie: gospodarczej, demograficznej, kulturowej. Miasto było ludne, bogate, o rozwiniętym przemyśle, z dużą parafią, jarmarkami, dobrymi połączeniami komunikacyjnymi ze Śląskiem. Liczyło 1850 mieszkańców i jeszcze przyjmowało ludzi z zewnątrz. Kościan przyciągał, bo był powiatowym miastem, do którego zjeżdżała okoliczna szlachta, odbywały się tu posiedzenia sądu tzw. roczki w magistracie, kościele, u dominikanów. Tutaj funkcjonował sąd grodzki, starościński. Nic nie zapowiadało tragedii, która wkrótce miała spaść na miasto. Druga połowa wieku rozpoczęła się potopem szwedzkim, w czasie którego miasto bardzo ucierpiało, zostało splądrowane i spalone. Drugim czynnikiem który w takiej sile przyczynił się do zahamowania rozwoju miasta była – moim zdaniem okupacja hitlerowska, po której miasto podniosło się, ale już nigdy nie odzyskało dawnej świetności.

Uniwersytet Krakowski nie był jedyną dostępną uczelnią dla kościaniaków. Synowie mieszczańscy podejmowali studia w zagranicznych ośrodkach akademickich.

- Przed powstaniem naszej krakowskiej uczelni odczuwali oni wewnętrzną potrzebę udania się na inne uniwersytety. Uczyli się w Pradze, gdzie uniwersytet istniał już od 1348 r. Tam m.in. studiował sztuki filozoficzne wspomniany Andrzej z Kokorzyna. W XV w. w Pradze uczyli się Stanisław z Kościana i Stanisław Polonus. Młodzież chętnie studiowała w niezbyt odległym humanistycznym Uniwersytecie Lipskim, założonym w 1409 r. Decydowało o tym dobre połączenie



- chociaż nielicznie - także młodzież z powiatowych miasteczek; ze Śmigła, Krzywinia, Wielichowa i Czempinia.

**Panie profesoro, czy tylko bogaczy stać było na posłanie synów do krakowskiej uczelni?**

- Różnie to było, studiowali synowie bogatych rodów, trochę z biednych rodzin, ale najwięcej średnio-zamożnych synów patrycjuszowskich rodzin; rajców miejskich, tkaczy, sukienników, złotników, rzeźników i piwowarów, wiemy o tym z ksiąg wpisowych. Wysokość opłaty zależała od zamożności, niektórych stać było na zapłacenie całości, czyli ośmiu groszy, jednak najczęściej wpłacano od jednego do czterech groszy, ale zdarzały się i półgroszowe wpłaty, sporadycznie całkowicie zwalniano z wpisowego. Osiem groszy to był dość duży wydatek. Czy do tego dochodziło czesne, nie wiemy. Brakuje także informacji o intensywności studiów.

**Jak potoczyły się losy absolwentów, wracali do rodzinnego miasta, czy szukali szczęścia w świecie?**

- Zaczniemy od tego, że część nie ukończyła nauki, tylko nieliczni uzyskali stopień bakałarza, większość kończyła studia bez stopni naukowych. Brak ksiąg promocyjnych nie pozwala wykazać szczegółowej liczby bakałarzy i magistrów. Niepromowani także znajdowali zatrudnienie w rodzinnym mieście na stanowiskach pisarzy, ławniczych, radzieckich, w warsztatach ojców. Ci ze stopniami bakalarskimi zostawali nauczycielami, jak Habdang, czy Piotr Eszlor, nieliczni obejmowali kościelne urzędy: nauczyciel Mikołaj Ruczel był altarzystą w kościele parafialnym. Z bogatej rodziny mieszczańskich rzeźników wywodził się Bartłomiej Grzech, uzyskał stopień doktora filozofii, następnie wrócił do Kościana i został prepozytem (proboszczem – dop. TM) kościoła św. Ducha. Innym różnie układały się losy, wielu rozpierchło się po świecie, na przykład w klasztorze benedyktyńskim na Łysej Górze przebywał Jan z Kościana.

**A jeden kościaniak został oceniony jako marny wykładowca. To można było tak sobie wykładowców krytykować?**

- Widocznie tak. Chodzi o dekretystę (autor prac kanonicznych – dop. TM) Jana, który żył w Krakowie na przełomie XV i XVI w. Mieszkał

na Brackiej. Chociaż był bakałarzem nie osiągnął poważnych wyników naukowych, a do tego jeszcze źle uczył. Na wykładzie w obecności studentów skrytykował go Maciej z Napachania wołając na głos: „Iste baccalarius legere ignorat”. Upokorzony bakałarz szukał sprawiedliwości w sądzie rektorskim.

**Nasi nie tylko często wyjeżdżali studiować, niektórzy robili oszałamiające kariery, w XV w. aż trzech dostało godności rektora Uniwersytetu Krakowskiego.**

- Kilku uczonych kościańskich odegrało szczególną rolę w dziejach uniwersytetu. Można mówić o obopólnym pozytywnym oddziaływaniu: akademii na środowiska lokalne i odwrotnie wkładzie Wielkopolan w rozwój uniwersytetu. Najwybitniejszą postacią był filozof i teolog, archidiakon krakowski Andrzej z Kokorzyna - wsi spod Kościana, pochodził ze starej szlacheckiej rodziny Kokorzyńskich, znanej od XIII w. Mieszkańcy mogą być z niego naprawdę dumni. Studia rozpoczął na Uniwersytecie Praskim zdobywając w 1399 r. stopień bakałarza, naukę kontynuował na Uniwersytecie Krakowskim uzyskując tytuł magistra. Niewątpliwie musiał mieć podstawy materialne, ale poparte chęcią zdobywania wiedzy, odwagę i ciekawość świata, żeby wyprawić się aż do Pragi. Życie zawodowe związał z Krakowem, gdzie wykładał, był dziekanem i trzykrotnie rektorem. Był autorem wielu traktatów i podręczników dla księży. Ten przeciwnik husytów związany był z dworem Władysława Jagiełły i jego trzecią żoną Elżbietą Granowską.

**Rektorami byli jeszcze Tomasz Strzemiński z Czempinia i Maciej z Kościana...**

- Drugim, wybitnym uczonym był profesor Tomasz Strzemiński z Czempinia lub okolic. On także pozytywnie zaznaczył się w dziejach uniwersytetu, kościoła, polskiej kulturze i polityce. Studia bakałarza rozpoczął w 1421 r. Zaraz po doktoracie został rektorem, później jeszcze raz objął ten urząd. Był kanonikiem gnieźnieńskim, poznańskim. Kościół i dwór królewski posyłał go z misjami, m.in. do Rzymu i Bazylei. To była epoka soborów, w kościele dużo się działo, funkcjonowali papież i antypapież, takie poselstwa wymagały i mądrości, i dyplomacji. Po Zbigniewie Oleśnickim został biskupem

krakowskim. Należał do najbardziej zasłużonych kolekcjonerów książek.

Trzecim rektorem był Maciej syn Klemensa z Kościana. Dziekan wydziału prawa, doradca rektora, proboszcz akademickiego kościoła św. Anny, rektorem był trzykrotnie. Ci uczeni zasłużyli na wyróżnienie w skali kraju, ale przed wszystkim na wdzięczną pamięć mieszkańców Ziemi Kościańskiej, za ogromny wkład w polską naukę, kulturę, działalność kościelną i państwową. O tym należy pamiętać, można ten fakt znakomicie wykorzystać do promocji miejscowości, z których pochodzili.

**Zgodnie z tym, co pan profesor powiedział, z upadkiem Kościana zapewne zmalała liczba studentów.**

- W XVII wiek Kościan wkroczył w znakomitej formie: gospodarczej, demograficznej, kulturowej. Miasto było ludne, bogate, o rozwiniętym przemyśle, z dużą parafią, jarmarkami, dobrymi połączeniami komunikacyjnymi ze Śląskiem. Liczyło 1850 mieszkańców i jeszcze przyjmowało ludzi z zewnątrz. Kościan przyciągał, bo był powiatowym miastem, do którego zjeżdżała okoliczna szlachta, odbywały się tu posiedzenia sądu tzw. roczki w magistracie, kościele, u dominikanów. Tutaj funkcjonował sąd grodzki, starościński. Nic nie zapowiadało tragedii, która wkrótce miała spaść na miasto. Druga połowa wieku rozpoczęła się potopem szwedzkim, w czasie którego miasto bardzo ucierpiało, zostało splądrowane i spalone. Drugim czynnikiem który w takiej sile przyczynił się do zahamowania rozwoju miasta była – moim zdaniem okupacja hitlerowska, po której miasto podniosło się, ale już nigdy nie odzyskało dawnej świetności.

Uniwersytet Krakowski nie był jedyną dostępną uczelnią dla kościaniaków. Synowie mieszczańscy podejmowali studia w zagranicznych ośrodkach akademickich.

- Przed powstaniem naszej krakowskiej uczelni odczuwali oni wewnętrzną potrzebę udania się na inne uniwersytety. Uczyli się w Pradze, gdzie uniwersytet istniał już od 1348 r. Tam m.in. studiował sztuki filozoficzne wspomniany Andrzej z Kokorzyna. W XV w. w Pradze uczyli się Stanisław z Kościana i Stanisław Polonus. Młodzież chętnie studiowała w niezbyt odległym humanistycznym Uniwersytecie Lipskim, założonym w 1409 r.



Decydowało o tym dobre połączenie między Poznaniem i Norymbergą oraz reformacyjny charakter uczelni. W Kościanie od pewnego czasu szerzyła się reformacja, chociaż niezbyt silna, ale nie pozostawała bez wpływu na wybory młodzieży.

Kolejnym ośrodkiem, w którym spotykamy kościaniaków był w XV i XVI w. Wiedeń. Stosunkowo późno, bo dopiero pod koniec XV w. zjawili się na włoskich uczelniach. Byli to absolwenci Krakowa, przyjeżdżali dla pogłębienia wiedzy, przygotować grunt pod dalszą karierę, poznać zabytki Wiecznego Miasta. Spotykamy ich także w Padwie i Bolonii. Pierwszym studentem w Rzymie był wychowanek krakowskiego ośrodka – Jan syn Piotra – wybitny teolog. Najlepiej znany jest pobyt innego kościaniaka – Bartłomieja Kosza z wpływowej patrycjuszowskiej rodziny piwowarów. Po zdobyciu stopnia bakałarza w Krakowie, przybył do Rzymu, studia w La Sapienza ukończył

ze stopniem doktora. Z Rzymu pojechał do Padwy. Po śmierci w 1607 r. podarował swój bogaty księgozbiór Kościanowi. Całe 145 woluminów z historii, medycyny, filozofii, gramatyki. Takich księgozbiórów w mieście było więcej, ale ten znamy, bo został szczegółowo opisany.

Scholarzem kościańskim, który podjął studia w Bolonii był kanonik gnieźnieński, kanclerz i audiator biskupa włocławskiego Górki i poznańskiego Czarnkowskiego - Wojciech z Kościana. Po uzyskaniu bakałarza, udał się na studia do Bolonii, które ukończył z tytułem doktora.

**Wątek kościańskich zaków jest mało znany, chociaż został przebadany przez historyków, w tym pana profesora.**

- Pierwszy rozpoczął badania wspaniały uczony profesor Kazimierz Morawski, zresztą rodem z Jurkowa, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w początku XX w. Jest autorem monogra-

fii uczelni. Studentom przyjrano się baczniej przy okazji 600 lat istnienia tej zacnej instytucji. Środowisko wielkopolskie zostało wtedy poproszone o przedstawienie wkładu Wielkopolan w dzieje ośrodka. Dla mnie zajęcie się historią Kościana XV i XVI w. było wielką przygodą intelektualną oraz próbą spłacenia długu wobec miasta, w którym po wojnie uczyłem się i zdałem maturę. Badałem rolę kościoła w dziejach miasta i muszę przyznać, że sam byłem zaskoczony odkryciem np. zakonu maltańskiego, czy wspaniałego rozkwitu i znaczenia miasta. Profesor Topolski wyliczał ważne miasta wielkopolskie: Poznań, Kalisz, ale Kościan – co ty gadasz – mówił. Dopiero tysiąclecie państwa polskiego spowodowało, że zaczęto bardziej interesować się historią regionalną. W Kościanie powstało Towarzystwo Miłośników Ziemi Kościańskiej, które wiele wniosło w dziedzinie badań historii miasta.



## Kajetan Piotr Morawski z Jurkowa

Do grona znakomitych członków rodu Morawskich można niewątpliwie zaliczyć Kajetana Piotra Morawskiego. Urodził się 1 sierpnia 1817 r. Jego ojciec był także Kajetan Morawski, matką Julia z Załuskowskich. Wcześniej osierocony kształcił się w najlepszych uczelniach niemieckich we Wrocławiu, Berlinie i Monachium. Z powodu choroby musiał przerwać studia i następnie udał się do Rzymu, gdzie ostatecznie ukształtowało się jego spojrzenie na życie społeczno-polityczne, a nade wszystko na sprawy wiary. To właśnie w Rzymie zapoznał się z ojcami Zmartwychwstańcami, z którymi łączyła go później wielka przyjaźń. Wrócił do kraju przez Konstantynopol, Odessę i Podole.

W 1841 r. zamieszkała razem z nim w Jurkowie, które Kajetan nabył od Stanisława Chłapowskiego z Czerwonej Wsi, jego żona kasztelanka Józefa Łempicka z Wyszogrodu. Doczekał się licznych potomków, synów: Stanisława, Kazimierza, Tadeusza i Zdzisława oraz córek: Konstancji, Julii i Zofii. Warto wspomnieć, że synowie byli wychowywani w Zakładzie ks. Jana Koźmiana, do którego powstania w znacznym stopniu sam się przyczynił. Jurkowo stało się w tym czasie miejscem, które promieniowało nie tylko na najbliższą okolicę, ale także miejscem, z którego pewne poglądy i wypracowane zasady znane były nie tylko w Księstwie, ale także poza jego granicami. Kajetan Morawski był autorem licznych artykułów publikowanych w prasie poznańskiej, ale często ich nie podpisywał. Znajomi rozpoznawali autora z uwagi na prezentowane tam zasady wiary katolickiej i miłość do ojczyzny. Był m.in. redaktorem odpowiedzialnym „Przeglądu Poznańskiego”.

W 1848 r. Kajetan Morawski, a także m.in. Gustaw Potworowski zostali posłami do Sejmu Pruskiego. Wspólnie założyli tam Koło Polskie i opracowali jego statut. Udział w pracach Sejmu pozwolił na poznanie się z późniejszym kanclerzem von Bismarckiem. Przewidywał, że Bismarck będzie w przyszłości człowiekiem, który w sposób istotny będzie wpływał na losy Europy. Znajomość z Bismarckiem potrafił wykorzystać do załatwienia spraw ważnych dla Polaków. Uratował m.in. Instytut ks. Jana Koźmiana przed likwidacją,

a także w 1865 r. wyperswadował Bismarckowi pomysł Żydów poznańskich postawienia w Poznaniu pomnika króla Fryderyka Wilhelma III, uzasadniając to niebezpieczeństwem zaostrenia spraw narodowościowych. Do grona jego bliskich znajomych przyjaciół należeli m.in. ks. abp Karol Ledóchowski, bp Janiszewski, ojciec Karol Antoniewicz, generał Morawski, który był jego stryjem, Gustaw Potworowski, Maciej Mielżyński, ks. Jan Koźmian, Roger Raczyński, który przed swoją śmiercią ustanowił go opiekunem swego jedyne syna.

Był jednym z czołowych polskich ultramontanistów, czyli reprezentantem kierunku, który uznawał nieomylność papieża w sprawach wiary oraz uznawał władzę biskupa Rzymu w kierowaniu wiernymi w poszczególnych krajach. W czasie wiecu wyborczego, który miał miejsce w 1871 r. w Kościanie wystąpił z propozycją, by każdy kandydat na posła złożył zapewnienie, że stanie:

W obronie doczesnej władzy papieża

W obronie wolności stowarzyszeń, także zakonnych

przeciw szkołom bezwyznaniowym

Przeciw ślubom cywilnym

Propozycje zostały poparte m.in. przez abp. Ledóchowskiego. W 1878 r. na wiecu w sprawie nauki religii w języku ojczystym podpisał się pod przyjętymi tam wnioskami. Był członkiem wielu stowarzyszeń mających na celu dobro mieszkańców prowincji. Od 1850 r. wspierał kwotą 30 talarów rocznie Dom Sióstr Miłosierdzia w Gostyniu. Oceniano wówczas, że „Ktokolwiek w Wielkim Księstwie Poznańskim publicznie a pocziwą robotą rachował na pomoc Kajetana Morawskiego nigdy zawodu nie doznał. Wszystko to, co od pół wieku w prowincji dobrego i użytecznego się działo, z jego czynnym i gorliwym udziałem było zrobione”.

Kajetan Morawski zmarł 13 sierpnia 1880 r. w Jurkowie. Ciało zmarłego 16 sierpnia zostało przeniesione do Czerwonej Wsi, trumnę przez połowę drogi nieśli na barkach włościanie. Pogrzeb odbył się następnego dnia. Reasumując można stwierdzić, że ukształtowane i wyznawane zasady Kajetana Morawskiego umiejętnie i wytrwale stosował w swoim życiu.

JAN PAWICKI

## Soeur Monique czyli Siostra Monika

**Ciocie Elę poznałam dopiero po II wojnie światowej; sprzed wojny zupełnie jej nie pamiętam. Więzy między nią a naszą rodziną zacieśniły się chyba od czasu, kiedy stało się jasne, że nasz Ojciec, a Jej brat Marceli nie wróci z radzieckiej niewoli i będzie trzeba żyć bez Niego. Całe jego rodzeństwo, które bardzo go kochało, jak kto mógł, starało się nam pomagać i robić przyjemności (było nas troje: ja najstarsza, Piotr i mała Renia urodzona w kwietniu 1940, miesiącu, kiedy ojciec został stracony w Katyniu). Ciocia Ela wspierała nas listami z zapewnieniami o modlitwie i paczkami z Francji z „ciuchami” czy kawą i czekoladą.**

Gabriela urodziła się w 1902 roku w Jarogniewicach w powiecie kościańskim jako piąte dziecko Adama Żółtowskiego i Marii z Kwileckich z Oporowa. Ojciec był politykiem i społecznikiem, podobnie jak dziadek Mieczysław Kwilecki, świetny rolnik, zaangażowany w walkę o ratowanie polskich majątków przed wykupywaniem przez Niemców. Była najmłodszą z rodzeństwa. Dzieciństwo miała smutne i trudne, ojciec dużo chorował, nastroje w związku z sytuacją polityczną w zaborze pruskim były ponure, starsze siostry i bracia wychowywali się poza krajem, by uniknąć szkół niemieckich: Marceli w Danii, Nina i Cesia w Belgii.

Ela póki przebywała w domu była bardzo samotna. Potem zaczęła się wędrowka po różnych szkołach: w Krakowie Czarnych Urszulanek, w Jaśle Wizytek, w Bruges, w Stifcie w Dreźnie; źle znosiła oddalenie od domu, miała opinię mało zdolnej i zbuntowanej. Po wojnie została oddana do Sacré Coeur w Poznaniu, gdzie niesubordynacją i żartem, który się nie spodobał doprowadziła do tego, że ją wyrzucono z internatu. Wtedy przyjęły ją Szare Urszulanki, które świeżo powołały w Pniewach szkołę gospodarczą. Przełożoną była założycielka tego nowego i nowoczesnego zgromadzenia, matka Urszula Ledóchowska. Ela przywiązała się





Soeur Monique w Origny.

Fot. ze zbiorów autorki

do niej całym gorącym i spragnionym miłości sercem i zaraziła się Jej społecznym instynktem. Mówiła zawsze o Niej z czułością: „Matuchna”. Pod skrzydłami Matki Ledóchowskiej dojrzało w Niej pragnienie pracy dla drugich i zdecydowała się wstąpić do klasztoru. Już wtedy dostrzeżono, że ma wyjątkowy dar okazywania zainteresowania każdemu bliźniemu. Jak Siostry wspominają, z tą samą prostotą traktowała biskupa co włóczkę.

\*

Ojciec nie od razu zgodził się na klasztor, kazał z ostateczną decyzją poczekać rok. W tym czasie zaliczyła kurs nauczycielski i w 1923 r. wstąpiła do zakonu. Nowicjat odbyła w Pniewach i Sieradzu, gdzie 15 sierpnia 1926 r. złożyła śluby. Została Soeur Monique - siostrą Moniką. Miała duże zdolności organizacyjne i wyniesioną z domu pewną wiedzę rolniczą, znała też dobrze francuski. Po dwóch latach została przełożoną w Sieradzu, a w 1931 roku wyjechała na odpowiedzialną placówkę do Francji.

Placówka ta, gdzie pracowała do 1940 roku, pewien czas jako przełożona centralna, to był dom w Ucel – Arche, powstały dla specjalnych zadań: Siostry

sprawowały opiekę i zapewniały namiastkę domu młodym polskim robotnikom, które z kraju wypędziło bezrobocie – były one zatrudnione w fabryce jedwabiu, a Siostry pracowały razem z nimi. Ciocia Ela do końca życia utrzymywała kontakty z kilkoma z nich, mówiła o nich „nasze dziewczynki”; życie ułożyły sobie w różnych miejscach na świecie i odwiedzały Ją do ostatnich Jej dni.

Gdy fabrykę zlikwidowano w 1935 roku, Siostry w Ucel prowadziły prewentyrium dla dzieci. W 1940 roku został zakupiony majątek Origny koło Ranne, duże gospodarstwo rolne, gdzie Soeur Monique była wszystkim: przełożoną, ekonomem, kierownicą – zawsze kochała motoryzację i już w latach trzydziestych nasz ojciec kupił Jej motocykl. Dom w Origny stał się azylem dla Polaków z Anglii i Paryża, zagrożonych i bezdomnych z różnych stron świata, odbywały się tu rekolekcje dla księży i kleryków. Przy pracach w polu zatrudniani byli zbiedzy z więzień, ukrywający się Żydzi, czy przestępcy. Ponośiła znaczne ryzyko, mogła mieć przykrości ze strony Niemców; nie mniej niebezpieczne było przyjmowanie do domu ludzi z marginesu. Jednak zawsze wierzyła w człowieczeństwo. Czasem doznawała niestety bolesnych zawodów – podopieczni nie zawsze dobrem za dobro odpłacali, zdarzyło się i tak, że odeszła z tej różnorodnej „owczarni” zbłąkana owieczka, a razem z nią zniknął Jej cenny aparat fotograficzny. Był to wielki zawód wspominany przez lata i dotkliwa strata, bo fotografowanie obok motoryzacji było Jej pasją.

Siostry zajmowały się okoliczną młodzieżą, którą dokszałcały i organizowały godziwą rozrywkę. W Origny chyba miała najwięcej pola do samodzielnej pracy i stąd wyniosła najwięcej wspomnień. W latach powojennych majątek pomagał domom urszulińskim w Polsce. Kuzyn Józef Żółtowski (z Wargowa), który mieszkał z rodziną w Londynie, w Origny spędzał wielokrotnie z dziećmi wakacje, mówił, że była tam uważana za „pół świętą”.

\*

Następny etap życia Soeur Monique od 1963 roku to cztery lata prowadzenia jako przełożona domu rekolekcyjnego w Villemontais; następnie rok pracowała w schronisku dla pielgrzymów w Paray-Le-Monial, praca ta jednak była ponad Jej siły fizyczne i została przeniesiona do Lyonu. Tu Urszulanki mają dwa domy, w których prowadzą bursy dla młodych

kobiet uczących się i pracujących.

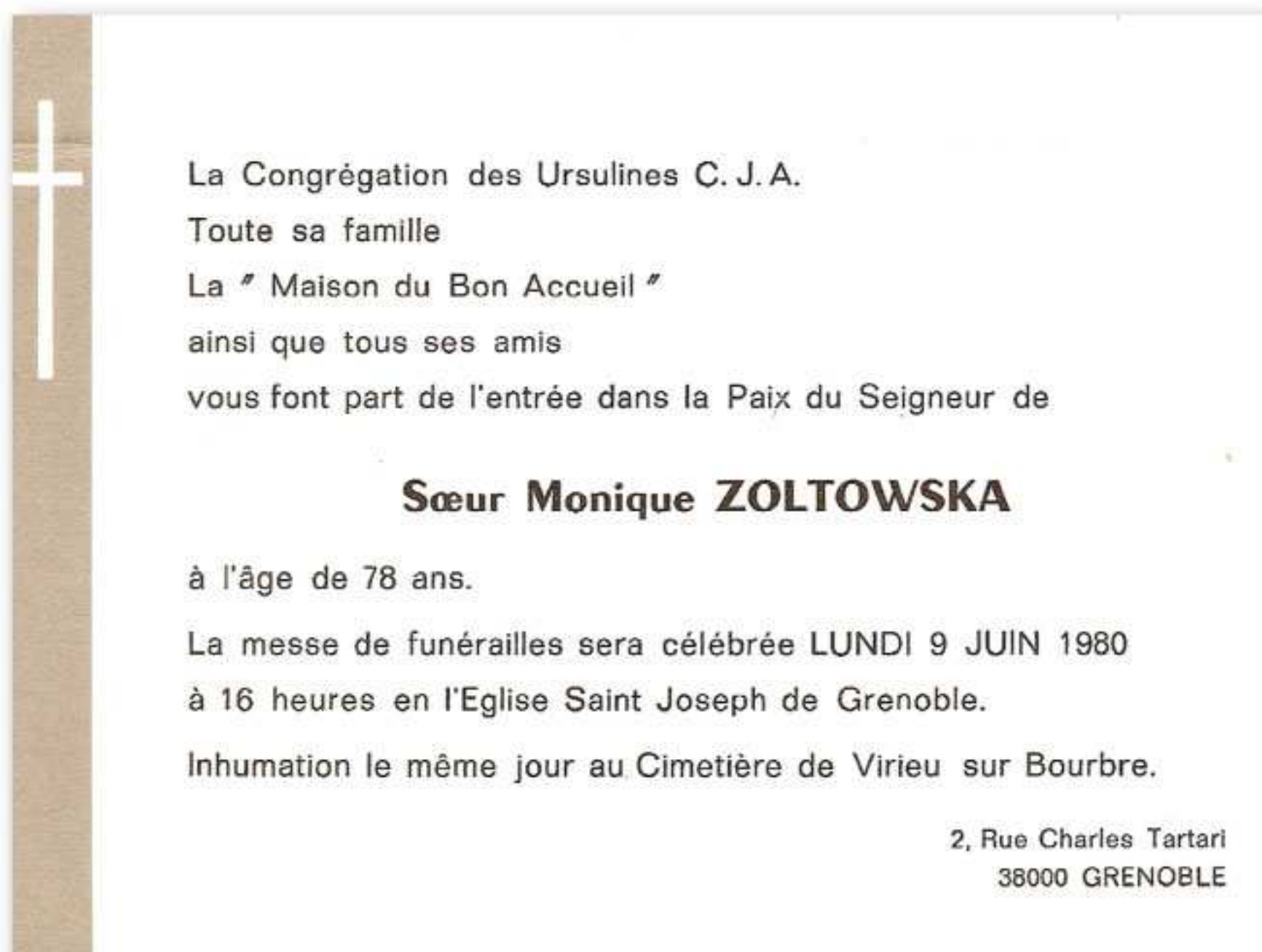
Ostatnim etapem Jej drogi był dom dla starszych pań wymagających opieki „Maison Bon Accueil” na rue Tartari w Grenoble. Zamieszkała tu mając 65 lat, więc już w wieku emerytalnym i do obowiązków należało głównie prowadzenie samochodu, które zawsze sprawiało Jej wielką przyjemność i wykonywała to wyjątkowo sprawnie. Załatwiała dla domu i pensjonariuszek różne formalności w mieście i zaopatrzenie, woziła gości w różne przepiękne miejsca. Korzystałam z tych dobrodziejstw, kiedy w 1978 roku sześć tygodni mogłam tam być gościem.

W Grenoble Jej najbliższymi przyjaciółmi stali się bezdomni, alkoholicy i prostytutki. Roztaczała nad nimi opiekę w miarę swoich sił i możliwości. Współdziała z wyleczonym alkoholikiem, który założył kilkuosobową firmę i starał się zatrudniać Jej podopiecznych. Drugim ważnym współpracownikiem był ksiądz-robotnik, który był blisko marginesu społecznego, pracował w fabryce i mieszkał wśród najuboższych. W Grenoble organizował „les nids” – „gniazda” – wspólnoty, które dawały oparcie dziewczynom, chcącym wyzwolić się z procederu i zaprzestać życia na ulicy – Soeur Monique była stale blisko z wyciągniętymi do pomocy rękami i całą swoją energią.

Patrząc na Nią jak na parkingu, czy przy jakiegokolwiek innej okazji podchodzi do zupełnie nieznanego sobie osoby i zaczyna rozmowę na najbardziej osobiste tematy, bo Jej ta osoba wydawała się smutna czy samotna, czy zrozpaczona, stara się pomóc chociaż dobrym słowem, czy dzielić problem – zastanawiałam się zawsze co w Niej jest, że ludzie się przed Nią otwierają – jak Ona to robi? Czy to habit czy nie habit, to był Jej wyjątkowy charyzmat!

W czasie mojego pobytu w Grenoble miała jednego clocharda, młodego chłopaka, którym się specjalnie opiekowała. Pozwoliła mu spać w swoim garażu i jak wieczorem wstawiała samochód, a on już spał zawinięty w swój śpiwór i prawdopodobnie niezupełnie trzeźwy, rzucała mu paczkę papierosów z uwagą: „tylko nie pal w garażu mój stary!”. Siostry chętnie Ją informowały, jak go spotkały pijanego, a Ona ciągle wierzyła, że go wyprowadzi na prostą ścieżkę. Wieczorem, kładąc się spać do łóżka w swoim pokoiku bardzo ciasnym, w którym nie mogła się pomieścić ze stertami listów, książek, papierów, fotografii, myślała o nim i miała





La Congrégation des Ursulines C. J. A.  
Toute sa famille  
La "Maison du Bon Accueil"  
ainsi que tous ses amis  
vous font part de l'entrée dans la Paix du Seigneur de

### Sœur Monique ZOLTOWSKA

à l'âge de 78 ans.

La messe de funérailles sera célébrée LUNDI 9 JUIN 1980

à 16 heures en l'Eglise Saint Joseph de Grenoble.

Inhumation le même jour au Cimetière de Virieu sur Bourbre.

2, Rue Charles Tartari  
38000 GRENOBLE

*Zawiadomienie o śmierci Siostry Moniki.*

*Fot. ze zbiorów autorki*

wyrzuty sumienia, że dlaczego Ona ma czyste łóżko, a on i jemu podobni nie mają takich wygod.

Siostry przytaczają historię z innym pijaczkiem, o którego zatroszczyła się Siostra Monika; jadąc gdzieś samochodem zauważyła leżącego przy szosie mężczyznę – wysiadła chcąc mu pomóc – lecz gdy stwierdziła, że jest pijany, wyjęła z samochodu koc, przykryła go i odjechała. Po kilku dniach zadzwonił do furty człowiek, z podziękowaniem odniósł koc dla Siostry Moniki. Siostra zapytała ze zdziwieniem jak tu trafił i słyszała odpowiedź: - O Siostrzyczko, takiej rzeczy to nawet po pijanemu się nie zapomina!". O swoich podopiecznych mówiła bez złudzeń: „clochardzi mnie kochają, ale na ogół jeszcze bardziej kochają swojego litra. Ale owieczka odnaleziona...”.

Kiedyś wracała późno wieczór z jakiegoś czuwania charyzmatyków – była bez samochodu i zabawiła się w autostop. Siostry bardzo się o to gniewały, że zatrzymywała na szosie obce auta. Efekt tej nocnej wyprawy okazał się jednak zadziwiający – dziewczyna, która Ją podwiozła do klasztoru po jakimś czasie zgłosiła się do furty Sióstr, z prośbą o przyjęcie do nowicjatu. Dla Soeur Monique zachowała wielkie oddanie, była dla Niej w różnych chwilach jak córka. A było takich chwil wiele, bo niekonwencjonalne zachowania ciotki Eli często denerwowały inne Siostry, z kolei Ona wyraźnie nie lubiła, może to

przyszło z wiekiem, życia gromadnego. Drażniły ją zbyt głośne rozmowy, zbędne gadulstwo np. przy stole, więc starała się wyłamywać z domowych rygorów. Siostry dziwiły się, że nie znosi głośnych rozmów przy posiłkach, a codziennie biega do pobliskiego kościoła na bardzo głośne modły charyzmatów.

\*

W roku 1971 odwiedziła nas w Szczecinie, natychmiast z naturalną prostotą weszła w nasze codzienne sprawy. Jak któregoś dnia wracałam z pracy, zastałam Ją zamiatającą jesienne liście na chodniku przy naszym szczecińskim domu. Widok był niecodzienny – wysoka szczupła zakonnica w szarym habicie z miotłą i grabiami na naszej ulicy! Ona w tej roli czuła się zupełnie naturalnie, po prostu pomagała! Od tego krótkiego Jej pobytu dostawałam częste listy, w których z niezwykłą intuicją wnikała w sprawy naszych dzieci i nasze i deklarowała modlitwy, w danym momencie szczególnie potrzebne, jakby była świadkiem czuwającym Aniołem Stróżem naszego życia. W liście do mnie z 1972 roku jest takie zdanie: „Kiedy Ci ciężko i trudno bądź pewna, że całym sercem, myślą i modlitwą jestem blisko.” I Jej modlitwy naprawdę były i są skuteczne.

Chciała się dzielić tym, co Ją cieszyło. Przesyłała w listach fotografie swojej ukochanej Matuchny – bł. Urszuli Ledóchowskiej, święte obrazki z widokami przyrody,

z wpisanymi na odwrocie swoimi myślami i życzeniami dopasowanymi do każdego z naszej sześciuosobowej rodziny, kartki pocztowe odpowiednio do zainteresowań adresata. Opisywała podróże do Cluny, Paray-le-Monial, w góry Vercors, Taizé i innych miejsc z historycznym komentarzem. Np. wpis na kartce ukazującej „Lac d'Annecy”: „Wspaniałe jezioro 28 km kw. Kraj św. Franciszka Walezego, który założył klasztor Wizytek. Jest pochowany w bazylice na górze. Wspaniały krajobraz już blisko granicy szwajcarskiej, chyba 40 km od Grenoble”.

Gdy byłam u Niej, wysłała mnie z pielgrzymką do La Salette, do Grande Chartreuse, z wycieczką na lodowiec Chamonix. Zawiozła mnie w góry Vercors, gdzie była polska szkoła, na cmentarz, na którym są polskie groby i do Proboszcza z Ars – św. Jana Marii Vianny. W gazecie polonijnej napisano po Jej śmierci: „Jej osobowość obdarzona bez wątpienia charyzmatami promieniowała na otoczenie dobrocią i żarliwością religijną. Wszystkich urzekała Jej niesamowita energia połączona z wyrozumiałością”. Chociaż fizyczne słabości od lat były widoczne, a najbardziej drżenie rąk, które chyba odziedziczyła po matce – Jej piękne dłonie uspokajały i nabierały pewności siebie, gdy je kładła na kierownicy swojego ulubionego Citroena – niebieskiej Diany, która Jej sprawiała tyle radości w służbie „Maison Bon Accueil” i jego gościom i podopiecznym.

\*

Soeur Monique zmarła po krótkiej chorobie w szpitalu w Grenoble 6 czerwca 1980 roku. Została pochowana na cmentarzu w Virieu sur Bourbre w rodzinnym grobowcu Sióstr. Nabożeństwo żałobne w parafialnym kościele w Grenoble było ogromną manifestacją żalu „maluczkich”, dla których żyła i którym starała się przynieść ulgę w ich trudnym życiu – ukazać realną, dotykającą dobroć Boga. Biedacy płakali i całowali trumnę. Proboszcz zapytał złamanym głosem: „Kto Ją zastąpi!”. Stryj Józef Żółtowski napisał do mnie po pogrzebie: „to było wzruszające wiedzieć tyle biedoty i „dołów społecznych” na nabożeństwie żałobnym”, a jedna z Sióstr napisała w nocy biograficznej: „cisnęła się myśl, że Bóg wynagrodzi Siostrze Monice to, iż spełniała obietnicę Pana Jezusa: „Coście uczynili braciom moim najmniejszym, mnieście uczynili!”.

**MARIA GLIŃSKA**



# Ojciec Władysław Kornilowicz

„ Był jednym z najwspanialszych ludzi dwudziestolecia, nigdy nie miałem okazji spotkać drugiego człowieka, który by dorównał Jemu porywającym promieniowaniem siły duchowej... Dzięki powiązaniu wielu elementów charakteru z elementami kształtującymi się wokół jego osoby, już za życia był w wyobraźni wielu współczesnych postacią w blaskach legendy... Należał do tych natchnionych wybrańców, którzy własnego zbawienia poszukują, wspomagając i wspierając słabych, zabłąkanych oraz skłóconych ze sobą i ze światem. Myślę o Nim: On. Myślę, jak wszyscy: Ojciec. Ksiądz Władysław Kornilowicz” – napisał we wspomnieniach znany pisarz Jerzy Andrzejewski.

## W Gryźynie

W czasie pisania książki „Gryżyna...” zdobyłam zdjęcie wraz z informacją, że zrobione zostało w gryżyńskim kościele podczas ślubu Zofii Lossow z Władysławem Doria-Dernałowiczem, a ślubu udzielał gryżyński ksiądz Stefan Jaskólski. Proboszcz z Gryżyny właśnie obchodził trzydzieste urodziny, a ksiądz na zdjęciu miał około pięćdziesięciu lat więc informacja wydała mi się wątpliwa. Siostra Joanna Lossow FSK, poproszona o uzupełnienie informacji, odpowiedziała: „To był ślub mojej rodzonej siostry Zofii, ale ślubu udzielał ks. Władysław Kornilowicz z Lasek”. Ślub Zofii odbył się 11 kwietnia 1933 r., a siostra Joanna zamieszkała w Laskach ponad miesiąc później więc kto zaprosił ks. Kornilowicza do Gryżyny?

Otóż s. Joanna, jeszcze jako Halina, studentka romanistyki w Poznaniu, należała do Koła Młodych Ziemianek, które prowadziło różnorodną działalność, między innymi organizowało rekolekcje. Halina poznała ks. Kornilowicza na rekolekcjach w Bolechowie i tak je wspominała:

„Moje myślenie o Kościele było powierzchowne, a ksiądz Kornilowicz odsłonił przede mną całą głębię tajemnicy Kościoła w sposób prosty, rozumiały i porywający. Moja dusza zwróciła się ku Bogu, odczułam chęć pogłębienia swego życia wewnętrznego i zaczęłam czytać książki teologiczne”.

Później brała udział w podobnych rekolekcjach wiele razy, a rodzina

Lossowów zaprzyjaźniła się z ks. Kornilowiczem i zaprosiła go na ślub Zofii.

Kiedy, korzystając z zaproszenia, pojechałam do Lasek, zainteresowałam się, między innymi, kim był ks. Kornilowicz, że obszar wpływu jego duszpasterstwa sięgał aż po Gryżynę. Chociaż trudno zapanaować nad wielką liczbą szczegółów, żywa pamięć oraz pamiątki w bibliotece księdza i pokoju, zachowanych w takiej postaci, jak wtedy, kiedy tam mieszkał, ułatwiły mi zebranie materiału na temat jego życia i kierownictwa duchowego Lasek, które wpisuje się w całokształt jego pracy apostołskiej.

## Powołanie kapłańskie

Władysław Kornilowicz urodził się w 1884 r. jako trzeci syn wybitnego warszawskiego lekarza psychiatry Edwarda Kornilowicza, znanego z działalności społecznej, radykalnych przekonań, ale o postawie tolerancji w stosunku do ludzi o innych poglądach. Matka Wiktoria zajmowała się wychowaniem czterech synów i, w przeciwieństwie do męża, była osobą głęboko wierzącą.

Władysław, podobnie jak jego bracia, uczęszczał do Gimnazjum Filologicznego. Usunięty z niego po trzech latach za obronę języka polskiego, został przyjęty do Szkoły Realnej, gdzie w 1903 r. zdał maturę. Postanowił wstąpić do seminarium duchownego, co spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem ojca. Skutkiem tego Władysław został wysłany, wraz ze starszym bratem, na studia do Zurychu. Tam studiowało wówczas wielu wybitnych Polaków, między innymi Władysław Tatarkiewicz, z którym później ks. Kornilowicz przyjaźnił się do końca życia.

Jednak młody Kornilowicz nie zmienił zamiaru, po dwóch latach wrócił do Polski i, żeby zrealizować swoje powołanie, wstąpił do Warszawskiego Seminarium Duchownego. Po kilku miesiącach udał się do Fryburga szwajcarskiego, gdzie podjął studia filozoficzne i teologiczne. Uczelnia we Fryburgu była w owym czasie ośrodkiem szerzenia doktryny św. Tomasza.

„Tomizm stał się narzędziem apostołskiej działalności Ojca. Cały jego wielki wpływ na inteligencję, na młodzież akademicką, na odbiegających od Boga, na szukających go, na siostry



*Ks. Władysław Kornilowicz, krótko po święceniach kapłańskich*

zakonne, na młodzież ociemniałą tłumaczy się przeżyciem tomistycznym Ojca” – napisał we wspomnieniach ks. Stefan Wyszyński, przyszły Prymas.

W 1912 r. Władysław przyjął w Krakowie święcenia kapłańskie z rąk biskupa Adama Sapiehy. Następne dwa lata zbierał materiały do pracy doktorskiej. Kiedy wakacje w 1914 r. spędzał w Zakopanem, wybuchła wojna i uniemożliwiła ks. Kornilowiczowi powrót do Warszawy. Pierwszą jego duszpasterską placówką stała się kaplica w szkole Jadwigi Zamoyskiej w Kuźnicach.

## Praca duszpasterska

Do Warszawy wrócił w 1916 r., gdy front przesunął się na Wschód. Po krótkim okresie pracy wikarego w podwarszawskich parafiach, został mianowany archiwistą, cenzorem książek i notariuszem w Kurii Arcybiskupiej w Warszawie. Wolne chwile poświęcał nawiązaniu przyjacielskiej łączności z grupą młodych księży w celu pogłębienia życia wewnętrznego i szerszej znajomości ksiąg liturgicznych. Był także katechetą w szkołach średnich. Jednocześnie uczestniczył w pracach Stowarzyszenia Księża Charystów we Włocławku.

W latach 1916 – 1918 ks. Kornilowicz udzielał się także w kręgach warszawskiej inteligencji i w środowisku akademickim. Szacunek dla poglądów, bezinteresowność i stała gotowość do zajęcia się sprawami drugiego człowieka zbliżyły do niego ludzi, często innych





W latach trzydziestych

wyznań czy o radykalnych poglądach. W ten sposób w krótkim czasie skupiło się wokół ks. Korniówiczca zupełnie nowe środowisko, gotowe do dyskusji na tematy religijne, które nieraz urastały do najważniejszych życiowych problemów. Ta grupa osób, spotykająca się początkowo „rodzinnie”, stała się zalążkiem tzw. Kółka, przez zebrania którego przewinęło się później bardzo wiele znanych osób.

Księżdz Korniówiczca – inspiratora Kółka – zaczęto nazywać Ojcem, a tytuł ten szybko przyjął się w jego bliższym i dalszym otoczeniu. Wspólną pracą Kółka zaczęto od czytania wartościowych książek religijnych, a Ojciec podsuwał

literaturę filozoficzną, teologiczną i przybliżał kierunki myśli społecznej Kościoła. Z czasem stał się kierownikiem duchowym zespołu, a kółkowicze stawiali sobie za cel pogłębienie wiary i życia wewnętrznego. Pracę Kółka zakłóciła wojna polsko-rosyjska. Kiedy młodzież akademicka wstąpiła do Legii Akademickiej, młody ksiądz poprosił o mianowanie go kapelanem wojskowym. Na froncie lwowskim spotkał wielu swoich młodych przyjaciół. Później organizował tzw. „czołówki oświatowe” dla walczących żołnierzy.

Po powrocie z frontu ks. Korniówiczca został mianowany kapelanem

wojskowym we Włocławku i prowadził wykłady z liturgii dla Wyższego Seminarium Duchownego, gdzie jednym ze studentów był przyszły Prymas Stefan Wyszyński. Na przełomie lat 1920/1921 ks. Korniówiczca uczestniczył w podróży po krajach Europy zachodniej, jako sekretarz biskupa Sapiehy, a po powrocie został zwolniony z wojska i zamieszkał w Warszawie, co skutkowało ponownym włączeniem się w prace Kółka.

#### Kierownik duchowy Lasek

W międzyczasie Ojciec Korniówiczca zetknął się z niewidomą założycielką Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi i Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek SK Matką Elżbietą Czacką. Początkowo odprawiał msze w kaplicy Zakładu dla Niewidomych przy ul. Polnej w Warszawie, później został spowiednikiem sióstr i członkiem Towarzystwa. Dzięki temu pogłębiał się związek ks. Korniówiczca z Dziełem Matki Czackiej, a z czasem Towarzystwo stało się terenem działalności kółkowiczów. Kiedy w 1922 r. zaczęto stopniowo przenosić Zakład dla Niewidomych z Warszawy do Lasek, tam też przeniosła się działalność Kółka. Poprzez wpływy i kontakty Ojca oraz poszerzającą się działalność Kółka do placówek Towarzystwa zbliżali się nowi ludzie z kręgów młodej inteligencji, którzy służyli siostrom wieloraką pomocą, a kilka uczestniczek Kółka pozostało w Laskach na stałe, jako siostry zakonne.

Zanim jednak ks. Korniówiczca zamieszkał w Laskach, przyjął stanowisko dyrektora konwiktury księży studentów w Lublinie. Prowadził również wykłady z zakresu liturgii i etyki na wydziale teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz kontynuował pracę apostołską wśród młodych kapłanów.

Z tego czasu datuje się przyjaźń księdza Korniówiczca z księdzem Stefanem Wyszyńskim, który po latach w swoich wspomnieniach napisał:

„Wśród kapłanów, którym przypisuję największy wpływ na moje życie, w pierwszym rzędzie znajduje się ks. Władysław Korniówicz, jeden z twórców dzieła niewidomych w Laskach...”

W 1930 r. ks. Korniówiczca został poproszony o kierownictwo duchowe i wkrótce stał się Ojcem całego Dzieła Lasek, skupiającego już wówczas różne placówki opieki i szkolenia niewidomych. Tym samym zrealizował zamierzenia założycielki Matki Czackiej



aby Laski związane były z apostołstwem wobec ludzi poszukujących wiary. W kręgu duszpasterstwa Ojca powstały nowe placówki apostołskie: Biblioteka Wiedzy Religijnej, księgarnia, wydawnictwo i pismo kulturalno-religijne „Verbum”, promujące tolerancję i katolicyzm poparty działaniem. Taki charakter nadał mu ks. Korniłowicz, sam będąc człowiekiem otwartym, serdecznym, ośmielającym ludzi do znajomości z nim. Nie dzielił ludzi na wierzących i niewierzących; tym duchem oświecał Laski i przygotował grunt dla idei ekumenizmu, którą później tak szeroko rozwinęła siostra Joanna Lossow FSK.

#### Apostolstwo księdza

Ojciec Korniłowicz zamieszkał w Laskach, ale często z nich wyjeżdżał. Jako uznany rekolekcionista, był zapraszany do prowadzenia rekolekcji różnych grup i organizacji, co zabierało mu wiele czasu, ale dzięki temu miał szerokie, nieraz zaskakujące kontakty. Na przykład, to on udzielał ostatniego namaszczenia umierającemu marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Mimo że działał w różnych środowiskach na terenie całego kraju, ośrodkiem wszystkich akcji stały się Laski, dzięki temu słowo Laski zaczęło oznaczać coś więcej niż tylko Zakład dla Niewidomych. Do Lasek zjeżdżały tłumy ludzi na rekolekcje i jako penitenci, bo Ojciec Korniłowicz zasłynął także jako niezrównany spowiednik. Często czekano na spowiedź w bardzo długich kolejkach, po wiele godzin. Do Lasek przyjeżdżali też znani ludzie, uważając je za swoją „duchową ojczyznę”. Jednym z nich był uznany poeta Jerzy Liebert, który w wierszu „Romantyczność” o Ojcu napisał: „...ksiądz, słupek w sutannie żywego ognia”.

Podczas mojego pobytu w Laskach któregoś dnia w Domu Rekolekcyjnym zaczął zbierać się tłum ludzi. Jedną z sióstr, zapytana co to za ludzie, odpowiedziała krótko: – „Bratki”. Jest to późniejsza nazwa Bractwa Przemienienia Pańskiego, dla którego od 1924 r. Ojciec Korniłowicz głosił rekolekcje.

I dziś, jak przez wszystkie lata, przyjeżdżają do Lasek.

Z inicjatywy Ojca, mimo gąszczu trudności, powstał Dom Rekolekcyjny w Laskach. Poświęcił na ten cel także własne pieniądze, które otrzymał w spadku. Prowadzenie Domu wymagało coraz więcej czasu i zaangażowania.

Pomocą i sekretarką księdza przez wiele lat była s. Joanna Lossow FSK.

Kiedy czyta się wspomnienia osób, które znały Ojca, a piszą, że miał trudności w wystawianiu się (lub prosto: „mówcą nie był”), nasuwa się pytanie: Czym tak ujmował ludzi?

„Miał dar uważnego słuchania, niesienia natychmiastowej pomocy, żył całkowicie dla innych. Jednych nauczał, za innych modlił się, a jeszcze innych wspierał materialnie. Z każdym umiał znaleźć porozumienie. Wszystkich ujmował charyzmatyczną osobowością i duchem modlitwy” – wspominała siostra Joanna Lossow FSK. Ojciec Korniłowicz wywarł wyjątkowo silny wpływ na to, co dziś nazywa się „duchowością Lasek”. „Laski służą niewidomym, zwłaszcza niewidomym dzieciom. Ale także ludzie obdarzeni wzrokiem widzą tu więcej” – napisał Tadeusz Mazowiecki.

#### Trudne lata okupacji

W czasie II wojny światowej ks. Korniłowicz podzielił tragiczne losy Polaków. Przed rozpoczęciem wojny napisał odezwę do katolików niemieckich o zaprzestanie szerzącej się nienawiści. Odezwa została odczytana przez radio, a ks. Korniłowicza poszukiwało gestapo. To zmusiło go do opuszczenia Lasek i ukrywania się pod przybranym nazwiskiem w placówce gospodarczej Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi w Żułowie k. Krasnegostawu. Tam otoczył opieką duszpasterską mieszkańców placówki – schronili się tam też niewidomi i siostry zakonne – oraz okoliczną ludność. Organizował rekolekcje, prowadził studia tomistyczne dla sióstr i osób świeckich. Groźące niebezpieczeństwo nie przerwało szerokiej aktywności duszpasterskiej księdza – był nieustraszony. Odwiedzał kilka zaprzyjaźnionych dworów, gdzie organizował rekolekcje i wykłady, między innymi dla wspomnianych „Bratek”, docierał do Lublina, a nawet do Krakowa i Warszawy.

W Żułowie, w piwnicy dworku Ojciec odprawiał msze, na które tłumnie przychodzili także ludzie z okolicy. Kiedyś uderzył głową w niskie odrzwia piwnicy (był wysoki). Wyskoczył guz, który zapoczątkował nowotwór.

#### Sługa Boży

Pomimo dwóch operacji – jedna jeszcze podczas okupacji, druga po wojnie – ks. Korniłowicz zmarł we wrześniu 1946 r. w Laskach w opinii



Z ks. Stefanem Wyszyńskim, przyszłym Prymasem Polski.

Wszystkie fotografie ze zbiorów Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek SK w Laskach

świętości. Pochowany został na laskowskim cmentarzu. Na prostej tablicy nagrobnej napisano: „Nasz Ojciec”. Dziś jest to tylko grób symboliczny. W listopadzie 1981 r. doczesne szczątki Sługi Bożego ks. Korniłowicza zostały uroczystie przeniesione do kościoła św. Marcina w Warszawie. Już w 1978 r. ks. Kardynał Prymas Wyszyński dokonał otwarcia procesu informacyjnego „o życiu i cnotach Sługi Bożego” ks. Władysława Korniłowicza, w czerwcu 1995 r. ten proces został zakończony i akta przesłano do Kongregacji w Rzymie.

O ks. Korniłowiczu napisano już wiele, bo też o jego bogatym życiu, żarliwym apostołstwie i niesłabnącym zaangażowaniu duszpasterskim da się pisać księgi. Mimo że tu można zarysować tylko ramy jego szerokiej działalności, wyłania się postać wielkiego człowieka, promieniejąca dobrocią, życzliwością, poświęceniem dla ludzi i oddaniem służbie Bożej.

**TERESA WIŚNIEWSKA**

\* Opracowano głównie na podstawie wspomnień s. Joanny Lossow FSK i materiałów zebranych podczas pobytu w Laskach.



# Dzieło kielczewskiego nauczyciela

Prezentowana unikatowa pozycja ze zbiorów MBP w Kościanie, autorstwa Walentego Jezierskiego pt. „Powiat Kościański. Rzecz dla szkoły i ludu, osnuta na materiale źródłowym i urzędowym”, wydana nakładem autora w drukarni Stefanowicza w Kościanie w roku 1927 jest niezaprzeczalnie cennym i bogatym materiałem źródłowym do badań nad dziejami Kościana i powiatu kościańskiego.

## W duchu patriotycznym

Walenty Jezierski, nauczyciel, urodzony 3 lutego 1864 roku w Ostrzeszowie, przybył do Kielczewa w 1890 roku, gdzie od razu podjął pracę w katolickiej szkole i zgodnie z ówczesną rzeczywistością został nauczycielem wszystkich przedmiotów, od nauki pisania i czytania począwszy na nauce religii skończywszy. Dodatkowo zajął się prowadzeniem kroniki szkolnej, dokumentując ważne w życiu szkoły wydarzenia. Żonaty z Praksedą Łupaczyńską pochodzącą spod Pleszewa, miał siedmioro dzieci; wszystkie przyszły na świat w Kielczewie. W roku 1919 został kierownikiem szkoły, funkcję tę pełnił do jesieni 1928 r., kiedy to po przejściu na emeryturę wyprowadził się do Inowrocławia. Materiały do przyszłej monografii zaczął gromadzić w 1910 roku, w okresie wzmoczonej aktywności zaborcy pruskiego, a w roku 1927, już po odzyskaniu niepodległości, praca została wydana. Efekt swej długoletniej pracy autor zadedykował:

„Władzom Powiatowym, Państwowym i Samorządowym Odrodzonej Polski w dowód czci i poważania - poświęcam dziękując Wszystkim, którzy się współpracą do urzeczywistnienia tej monografii przyczynili, składam niniejszym serdeczne : Bóg Zapłać !”

Biorąc pod uwagę intensywną akcję germanizacyjną i związane z tym dążenia niepodległościowe Polaków, praca nie miała realnych przesłanek, aby powstać. Władze zaborcy szczególnie interesowały się zachowaniem politycz-



Stara pocztówka z Kielczewa.

W zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

nym nauczycielstwa polskiego. Stało się jednak inaczej, w wyniku mozolnej i wytrwałej, rzetelnej pracy badawczej powstało „dziełko”, jak nazwał je sam autor, napisane w duchu patriotycznym, zaangażowanie w niesienie świadomości społecznej i oświatowej, będące bogatym materiałem źródłowym do badania dziejów Kościana i powiatu. Wielkopolanie, którzy nigdy nie pogodzili się z utratą wolności brali czynny udział w powstaniach, także w zaborze rosyjskim. Oprócz działań zbrojnych, w Wielkopolsce głównie pod wpływem poglądów Karola Marcinkowskiego, opór wobec zaborców przyjmował formę tak zwanej pracy organicznej, legalnej działalności zorganizowanej, mającej na celu materialne i gospodarcze wzmocnienie polskiego społeczeństwa. Założenia te uzyskały poparcie ludności polskiej, jako realna możliwość konkurencji z politycznym naciskiem zaborcy, budząc zdecydowany opór władz pruskich. Rezultatem były zmasowane akcje kolonizacyjne, głównie powiatów: leszczyńskiego i gostyńskiego. Sporą liczbę Niemców udało się okupantom osadzić w okolicach Śmigła.

Odpowiedzią na represje, ograniczające możliwość używania języka polskiego w urzędach i szkołach, dyskryminujące Polaków pod względem społecznym i ekonomicznym, było zrzeszanie się mieszkańców Kościana i powiatu w stowarzyszenia i kółka oraz uporczywa walka o nauczanie w szkołach w języku polskim. Szerzeniem oświaty w Wielko-

polisce, po rozwiązaniu Towarzystwa Oświaty Ludowej, zajmowało się od roku 1890 Towarzystwo Czytelni Ludowych, aż do końca zaboru pruskiego. Zarządzenie, wydane latem 1900 roku przez władze pruskie, o wprowadzeniu w wyższych klasach szkół elementarnych obowiązku nauki religii w języku niemieckim, napotkało na zdecydowany opór. Wiosną 1901 roku we Wrześni doszło do głośnego protestu dzieci, popartego przez rodziców, duchownych i partie polityczne. Wkrótce strajki rozszerzyły się na całą Wielkopolskę, a wieść o nich rozeszła się po całym kraju i za jego granicami. Strajkiem objęte zostały między innymi szkoły w Kościanie i wsi Kielczewo. Strajkowały dzieci klas starszych wraz z rodzicami. W wiecach protestacyjnych przeciwko postępowaniu władz pruskich, w zakresie religijnego i patriotycznego wychowania dzieci, brali udział przedstawiciele wszystkich stanów Kościana i okolicznych miejscowości. W takich oto uwarunkowaniach politycznych, społecznych i ekonomicznych w 1910 roku Walenty Jezierski, nauczyciel szkoły w Kielczewie, przystąpił do zbierania materiałów o powiecie kościańskim.

## Układ książki

W przedmowie do wydania poznajemy szlachetne pobudki i cel przyświecający powstaniu książki. Posługując się pięknym, charakterystycznym dla epoki językiem ojczystym pisał o tym, że „Poznanie najbliższej okolicy, swej



ziemi rodzinnej, jest obowiązkiem każdego Polaka, każdej Polki....” Słowa te w pełni oddają jego stosunek do Ojczyzny, przywiązanie do tradycji i do budowania na jej fundamentach tego „...co jest dziś i co będzie jutro. Zrozumienie teraźniejszości i związanie jej z przeszłością...”. Na kartach swej pracy autor często cytuję wiersze i słowa polskich poetów piszących w duchu patriotycznym : Władysława Bełzę i Wincentego Pola. Jak choćby ten, pochodzący z tomu „Katechizm polskiego dziecka” zaczynający się od słów :” A czy znasz ty, bracie młody, Twoje ziemie, twoje wody ?...” Z całej monografii przebija ogromna dbałość o szczegóły, rzetelne podejście autora do zamierzonego zadania, bogactwo i waga przywoływanych źródeł.

Rozległe ujęcie prezentowanego zagadnienia wymagało od Walentego Jezierskiego niewątpliwie ogólnej i szczegółowej wiedzy z zakresu demografii, historii, przyrodoznawstwa czy etnografii. Umiejętność analizy i wysnuwania wniosków cechuje go jako bystrego obserwatora i sprawnego dokumentalistę.

Praca podzielona została na 5 rozdziałów, w ramach których występują podrozdziały. Jako dodatek umieszczono „Ogłoszenia i reklamy poważniejszych firm miasta Kościana i powiatu kościańskiego” w myśl hasła: „Swój do swego po swoje!” Reklamuje się między innymi – Firma Wawrzyniec Czajka; Gazeta Polska - jako pismo katolickie dla wszystkich stanów , informująca o przejawach życia narodowego pod zaborem pruskim, zachęcająca do oświaty i nauki, popierająca wszelki postęp; Wacław Tycner - pracownia cholewek; bławaty – Józefa Szneidera i Tomaszewskiego; Stefanowicz – drukarnia- introligatornia-księgarnia.

W rozdziale pierwszym, pt. „Stosunki przestrzenne powiatu kościańskiego” czytelnik znajdzie informacje dotyczące pochodzenia nazwy Kościan, granic naturalnych i politycznych ówczesnego powiatu, ukształtowania powierzchni oraz wykaz miejscowości w granicach powiatu. Rozdział drugi – „Stosunki naturalne powiatu kościańskiego” omawia ukształtowanie terenu, klimat, bogactwo przyrody i złóż naturalnych; rozdział trzeci, najobszerniejszy, przedstawia „Stosunki ludnościowe powiatu kościańskiego”, w

Haus- No.	Ein- w. No. der Seelen- zahl.	Vor- und Zunamen der männlichen und weiblichen Personen.	Stand, Gewerbe oder sonstiger Nahrungs- Erwerb.	T a t u m der W e b u r t.			Datum der mit Erfolg- gehabte- nen Schuh- Yodens- impfung.	Reli- gion.	Ver- heira- thet.	Bedienst- et.
				Zug.	Monat.	Jahr.				
<i>Katholische Schule!</i>										
1	✓	Jezierski Walentin	Lehrer	3	2	64				
2	✓	Jezierski, Szymon	Lehrer	10	6	66				
3		Jezierski, Szymon	Lehrer	28	6	92				
4		Jezierski, Szymon	Lehrer	30	3	94				
5		Jezierski, Szymon	Lehrer	5	10	95				
6	✓	Jezierski, Szymon	Lehrer	21	8	97				
7		Jezierski, Szymon	Lehrer	18	5	99				
8		Jezierski, Szymon	Lehrer	3	1	01				
9	✓	Jezierski, Szymon	Lehrer	3	1	01				

Karta z pruskiej księgi meldunkowej Kiełczewa.  
Z archiwum Urzędu Miejskiego w Kościanie

tym zagadnienia rasowe, język i wyznania, oświatę – podając na przykład, że „...na początku roku szkolnego 1926 było w powiecie publicznych szkół powszechnych : 1-klasowych 36, 2-kl. 16, 3- kl.- 10, 6-kl.1, 7 kl.-3 z językiem polskim wykładowym z 134 siłami nauczycielskimi i 6896 uczniami, a prywatnych szkół powszechnych 4 ...”. Sporo uwagi poświęca Walenty Jezierski opisowi zwyczajów i obyczajów, świąt i uroczystości oraz strojom mieszkańców. Przedstawia warunki mieszkalne – „... lud mieszka przeważnie w pięknych, murowanych domach i zagrodach, zwykle po obu stronach drogi, w wieńcu ogrodów i sadów.” Analizie poddaje stan gospodarki, stosunki społeczne i obywatelskie, opisuje strukturę administracji samorządowej i państwowej oraz różne instytucje.

Rozdział czwarty i piąty ilustrują bogatą przeszłość historyczną miast i wsi w powiecie przywołując nazwiska sławnych rodów: Górków, Szodrskich, Jabłonowskich, Chłapowskich, Taczanowskich, Morawskich i ich zasłużonych dla małej i dużej Ojczyzny Synów. Ostatni rozdział monografii zawiera podania i legendy funkcjonujące wśród ludu, opowiadane podczas długich zimowych wieczorów.

#### Tragiczny wypadek

Walenty Jezierski zginął tragicznie w wypadku samochodowym na trasie Kórnik - Śrem. „Gazeta Polska” z dnia 25 marca 1931 roku tak podaje:

„Śrem. Wypadek samochodowy. W

ostatnią sobotę wydarzył się na szosie Kórnik – Śrem przykry wypadek samochodowy. Na skrócie w pobliżu Śremu uderzył, jadący z Poznania samochód na drzewo, w rezultacie czego został zupełnie rozbity. Pasażerowie cudem uniknęli śmierci. Wiadomość tę naszego korespondenta uzupełniamy o tyle, że nieszczęśliwemu wypadkowi uległ emerytowany nauczyciel Pan Jezierski z Kiełczewa, obecnie zamieszkały w Inowrocławiu. Pan Jezierski ma być ciężko ranny.”

Następnego dnia ta sama gazeta uzupełnia:

„Śp. Walenty Jezierski. Wczorajsza nasza notatka o wypadku samochodowym, który się zdarzył na szosie Kórnik – Śrem jest w szczegółach prawdziwa. Wskutek ciężkich ran odniesionych w tym wypadku zmarł 24 b.m. w Poznaniu Śp. Walenty Jezierski emerytowany kierownik szkoły w Kiełczewie. Zmarły przed dwoma laty opuścił Kiełczewo i Kościan, gdzie był ogólnie znany i szanowany. To też pogrzeb odbędzie się w Kościanie z Domu św. Zofii w piątek o godzinie czwartej po południu. Cześć Jego Pamięci!”

Walenty Jezierski pochowany został na kościańskim Starym Cmentarzu. Jego grób nie zachował się i nie znamy jego miejsca.

JADWIGA GIDEL





Marian Koszewski w kościańskim Muzeum Regionalnym.

## Zapiski kościańskiego regionalisty (4)

Fot. Bogdan Ludowicz

**Marian Koszewski, wybitny regionalista, patron Szkoły Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie życie poświęcił badaniu i popularyzowaniu dziejów Ziemi Kościańskiej. Zmarł 16 października 2006 roku. Pozostały po nim nie tylko liczne publikacje, ale także stopy notatek, które gromadził, a których – niestety – nie zdążył wykorzystać. W latach 1999 – 2000 Marian z przyjaciółmi z Instytutu im. Generała Stefana „Grotą” Roweckiego z Leszna przeprowadzał kwerendę prasy w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Notatki z przeglądu kościańskiej „Gazety Polskiej”, rocznik 1929, wraz z jego uwagami (zaznaczono je kursywą) stanowią treść tego artykułu. Podane w śródtytułach daty określają dzień ukazania się gazety.**

### 2 listopada 1929r.

Kościan. Poświęcenie kamienia węgielnego pod halę gimnastyczną „Sokoła”. W niedzielę 3 XI odbędzie się poświęcenie kamienia węgielnego pod halę gimnastyczną, która ma służyć młodzieży,ariatwie szkolnej i towarzystwom. Zapraszamy na 10.30 do kościoła farnego. Aktu poświęcenia dokona ks. Bednarkiewicz. Refleksje własne o tzw. „Sokolni” przedstawiłem pod datą 30 września 1929r.

### 4 listopada

Kościan. W roku Pańskim 1929, w którym odbył się pierwszy w niepodległej Polsce Wszzechsłowiański Zlot Sokolstwa w okresie Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, kiedy na Stolicy Piotrowej zasiadał Ojciec Św. Pius XI, Prezydentem RP był Ignacy Mościcki, Prymasem

Polski i Arcybiskupem Archidiecezji Gnieźnieńsko – Poznańskiej był Kardynał X. Dr Augustyn Hlond, Prezesem Rady Ministrów Kazimierz Świtalski, Prezesem Związku Sokołów Adam hrabia Zamoyski, Wojewodą Poznańskim Roger hrabia Raczyński, Prezesem Związku Sokołów Dzielnicy Wielkopolskiej Antoni Wolski, Starostą Powiatu Kościańskiego Adam Narajewski, Proboszczem Parafii Kościańskiej X. Stanisław Bednarkiewicz, Prezesem Okręgu Kościańskiego Związku Sokołów Polskich Stefan Soborski, Burmistrzem Miasta Kościana Edmund Maćkowiak, Prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Kościanie Jan Tadeuszak, wiceprezesem Franciszek Stróżyk, sekretarzem Mieczysław Fischbach, skarbnikiem Marcin Knoski, naczelnikiem Michał Grzelkowski, naczelniczką Czesława Frydrychówna, chorążym Czesław Laurentowski, członkami Zarządu: Feliks Makowski, Piotr Kaliszewski, Kazimiera Zawiejowa, Stefan Famulicki, Jan Grzesiewski – na wieczną rzecz pamiątkę i dla zdrowia fizycznego oraz moralnej tej ostoji Narodu, jaką jest młodzież – pobudowało Gniazdo Kościan Związku Sokołów Polskich (Dzielnica Wielkopolska) dzięki ofiarności swych członków i sympatyków niniejszą halę gimnastyczną, projektowaną przez Budowniczego Powiatowego Stanisława Szklarskiego. Komisję budowlaną tworzyli: Dr Józef Dirbach, Franciszek Olek, Ludwik Wenski, Stefan Wojterski. Kościan, 3 XI 1929. Jest to treść aktu erekcyjnego, stanowiący fragment obszernego sprawozdania z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego „Sokolni”. Na kopie

archiwalne – mimo poszukiwań – nie natrafiłem, a oryginał spoczywa zapewne w jakiejś metalowej tubie w fundamentach budynku. Tekst tego aktu odczytał Jan Tadeuszak.

### 6 listopada

Kościan. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 5 XI 1929 do komisji szacunkowej dla podatku dochodowego wybrano pp. Józefa Koszewskiego, Seweryna Zborowskiego i Jana Roszaka. Uchwalono sprzedać Sokołowi parcelę, na której buduje się hala gimnastyczna. Józef Koszewski to mistrz stolarski, mój ojciec. W wyborach do rady miejskiej nigdy nie startował, ale po wyborach często powoływano go do różnych komisji.

### 11 listopada

Kościan. Podziękowanie. W. Pan dr B. Olejniczak z Kościana złożył na cele Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Powstańców w Kościanie 50 zł, za które serdecznie dziękujemy. Osobne podziękowania składamy: W. Panu budowniczemu Włoszkiewiczowi w miejscu za ofiarowaną formę do budowy nagrobków, W. Panu Kubowiczowi za bezinteresowne zwiezenia nagrobków z Gazowni na cmentarz. W. Panu Fr. Stróżykowi w miejscu za ofiarowane świeczki na groby poległych, W. Panu Dubskiemu z Kobylnik za bezpłatne oddanie kilkadziesiąt wozów żwiru oraz P.P Ryderowi Czesławowi z Naclawia, Bankowi Spółkowemu w Kościanie, Antoniemu Dembińskiemu z Kościana, Müllerowi Czesławowi z Kurzejgóry, Buszewiczowi z Kościana, Biesce z Kościana, Serdeckiemu Władysławowi z Kościana, Szafrankowi Janowi z Kościana, Korbikowi Piotrowi z



Naclawia – za bezpłatną zwózkę żwiru. Za Komitet Opieki nad Grobami Poległych Powstańców w Kościanie. Starosta Narajewski prezes, Burmistrz Maćkowiak wiceprezes, St. Kram sekretarz, St. Kostański skarbnik.

#### 27 listopada

Warszawa. Ppor. rez. Franciszek Stróżyk z Kościana 11 XI 1929 odznaczony został przez Prezydenta RP Srebrnym Krzyżem Zasługi za 8-letnią intensywną działalność organizacyjną i wychowawczą na polu wychowania fizycznego i Przynależenia wojskowego.

#### 30 listopada

Kościan. Wybory do Dozoru i Reprezentacji kościelnej odbyły się wczoraj w Kościanie na sali pana Lurca. Zebrało się kilkadziesiąt wyborców ze wsi i miasta. Wybory przeprowadzono według starej ordynacji z 1875r. Komisja wyborcza składała się z panów: inspektora Edmunda Sowińskiego, Stefana Soborskiego, Stanisława Fellmanna z Kościana i Walentego Sikory z Sierakowa z ks. Proboszczem Bednarkiewiczem na czele. Wyboru dokonuje się na 6 lat, i tak do Dozoru wybiera

się 5 osób, a do Reprezentacji 12 osób. Wybrano do Dozoru kościelnego panów: Jana Sobiecha z Czarkowa, Leona Mocka z Kiełczewa, Franciszka Grygiera z Naclawia, dyrektora Romana Fischbacha i Jana Gątownskiego z Kościana. Do Reprezentacji kościelnej weszli: Mieczysław Wyrębowski, Józef Wypych, Władysław Kostański, Wawrzyniec Czajka, Franciszek Stróżyk, Teodor Walenciak – wszyscy z Kościana, Czesław Fryder z Naclawia, Stanisław Chudziński i Józef Nowak z Kiełczowa, Piotr Wawrzyniak z Naclawia, Piotr Stachowiak z Sierakowa i Wawrzyniak z Kurzejgóry.

#### 27 grudnia

Kościan. „Dobra praca TCL w powiecie kościańskim” – czytamy w „Przeglądzie Oświatowym” na grudzień 1929r. Komitet powiatowy i podkomitet miejski Towarzystwa Czytelni Ludowych w Kościanie pracują bardzo sprawnie i sprężyście. Komitet posiada 2 666 dzieł w 2 750 tomach. Z tej liczby 2/3 jest odnowionych. W ubiegłym roku było 17 bibliotek w powiecie, obecnie istnieją już 22 biblioteki. Biblioteka miejska



*Działacze Towarzystwa Czytelni Ludowych przed swoją siedzibą w Kościanie.*

*Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki*

w Kościanie należy do najlepszych w Wielkopolsce. Najwięcej pracy włożyli prezes Władysław Leszczyński i pani Furmankówna. (Koniec)

**MARIAN KOSZEWSKI**



## Na fałszywych papierach

- Kiedyś szliśmy przez Hożą zdobyć kawałek chleba dla rodziny Jerzego. Patrzymy, pięciopiętrowa kamienica przecięta na pół jak nożem. W ocalonej części – jakby nic się nie stało – były meble, na ścianie wisiał obraz, a druga połowa w gruzach - wspomina Aleksandra Schmidt z Poznania, uczestniczka Powstania Warszawskiego, łączniczka i sanitariuszka organizacji „Ojczyzna”, Armii Krajowej, więzień niemieckich oflagów.

Po aresztowaniu starszego brata Mariana, zagrożona wpadką, Aleksandra musiała zniknąć z Poznania. Większość rodziny Marcinkowskich działała w konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”.

- W 1943 roku na fałszywych papierach wyjechałam do Warszawy. Zresztą nie tylko ja musiałam uciekać, w stolicy szukał schronienia także Jurek Schmidt, mój przyszły mąż. Otrzymałam nową tożsamość, odąd byłam Krystyną Witkowską, z dokumentami po zmarłej dziewczynie, bo jej śmierci nie zgłoszono w urzędzie. Musiałam się nauczyć na pamięć nowej siebie; zapamiętać miejsce i datę urodzenia, to że była ode mnie dwa lata starsza, że mieszkała przy Szaserów. Poszłam nawet obejrzeć ten dom...

### „Lobelia” w powstaniu

Zamieszkała u matki Jerzego Schmidta, zapisała się na tajne nauczanie i została łączniczką w „Ojczyźnie”.

Przed powstaniem poszli na Koszykową, gdzie organizacja miała ukrytą broń. Spotkali znajomego: - Dokąd idziecie, przecież za chwilę się zacznie? Usłyszeli serię strzałów, wpadli do bramy, spojrzeli na zegarek. Wybiła 17.00. Wieczorem wiedzieli, że powstanie wybuchło.

- Z chodników wyrwaliśmy bruk na barykady. Telefony jeszcze działały, chociaż trudno było się do kogokolwiek dodzwonić. Dzień był letni, ciepły miałam na sobie tylko lekką sukienkę, torebkę i sandałki. Niewesoło, ale byliśmy podekscytowani i pewni, że Sowieci, jak tylko zobaczą powstanie ruszą na odsiecz, a oni zza Wisły spokojnie patrzyli na wykrwawiające się miasto.

Powstanie zastało ich w okolicach Wspólnej, Kruczej i Żurawiej w Śródmie-



Aleksandra Schmidt, ps. „Ewa”, „Lobelia”.

Fot. Ze zbiorów Aleksandry Schmidt

ściu. Działali tam chłopcy z Batalionu „Bełt” Armii Krajowej. Aleksandra, ps. „Ela”, została przydzielona do sekcji sanitarnej, bo jeszcze przed wojną przeszła kurs w harcerstwie, a potem praktykę w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus. Dowódca wymyślił im po drugim pseudonimie. I tak została „Lobelią”, wtedy nie wiedziała, że to drobne, szafirowe kwiatki. Inne sanitariuszki trafiły gorzej na „Tymianek” lub „Rumianek”. Dzień zaczynały od wymarszu z plutonem, opatrywaniu ran, transporcie cięższych rannych do szpitala. Wieczorem wracały na nocleg, codziennie

w innej placówce. Na początku nie było źle, działała powstańcza stołówka, stały beczki z wodą, można było się umyć, a nieraz były całe we krwi. Potem odcięto gaz, wodę i prąd.

- Wciąż pamiętam ciężko rannego młodego chłopaka na Marszałkowskiej. Snajper postrzelił go w brzuch, mocno krwawił. Tylko szpital mógł go uratować. Z pobliskich kamienic ludzie przynieśli diabelsko ciężkie nosze, ale znaleźli się dwaj rośli folksdojczy, którzy bez szemrania zanieśli rannego, tylko że szpital był pusty, nie było lekarza. Ranny błagał, żeby go tam





Bohaterka artykułu tuż po wyzwoleniu z obozu w mundurze brytyjskiej armii.

Fot. Ze zbiorów Aleksandry Schmidt

nie zostawiać, jednak zbliżała się godzina policyjna, której nasi ostro pilnowali. Obiecałam dać znać jego towarzyszom z oddziału. Ledwo opuściliśmy szpital, wyrósł przed nami patrol. Uparli się zabrać nas na komendę. W końcu pokazałam im mankiety czerwone od krwi i zapytałam: - Chcecie żebym was też tak kiedyś ratowała? Opuścili.

Snajperzy zaczajeni w wieżach, na dachach, w oknach polowali na powstańców i cywilów. Jerzego też trafiła snajperska kula. Zastaniał okna workami z piaskiem, dostał w rękę, chociaż pewnie kula była przeznaczona w serce. Jeszcze dobrze mu ręki nie włożyli w temblak, od razu pobiegł do plutonu, a do zmiany opatrunku trzeba go było prawie zmuszać. Ciągłe zajęty, ciągle w biegu, przed powstaniem zdążył zrobić akowską podchorążówkę i prawo jazdy.

#### Miasto grobami się znaczy

- Kiedyś szliśmy przez Hożą zdobyć kawałek chleba dla rodziny Jerzego. Patrzymy, pięciopiętrowa kamienica przecięta na pół jak nożem. W ocalonej części – jakby nic się nie stało – były meble, na ścianie wisiał obraz, a druga połowa w gruzach. Widok wprost niewiarygodny – zapewne robota pocisków zwanych krowami. W końcu zdobyliśmy chleb, nieśliśmy go jak

skarb, bo codziennie jedliśmy tylko kaszę okraszoną topionym masłem, od której wszyscy cierpieliśmy na rozstrój żołądka. Kiedyś Jerzy przyniósł mi udko królika, co za uczta. Koleżanki śmiały się, że to wcale nie był królik, a w Warszawie nie ma już ani jednego psa, ani kota.

Na ogół nie było im do śmiechu. Miasto stawało się jednym wielkim cmentarzem. Grób przy grobie, jak zabrakło trawników, chowano na podwórkach, na końcu wzdłuż chodników, skąd wcześniej wyrwano bruk. Czasem powstańcy przejmowali sowieckie lub alianckie zrzuty, jednak częściej wpadały w niemieckie łapy.

- Zrzuty z kukuruźników były beznadziejnie zapakowane, przy lądowaniu kasza i mąka rozsypywały się. Kluski z tej mąki trzeszczały w zębach. Raz chłopcy odważyli się rozpalić ognisko, żeby dać znać, gdzie zrzucić pojemniki. Niemcy rąbnęli w nich pociskiem, potem zbieraliśmy osobno ręce, głowy. Wszyscy zginęli. Jedna paczka zawisała na szczycie zbombardowanej kamienicy. Patrzyliśmy na nią łakomie, ale nikt nie palił się do jej zdjęcia. Trafił się pijaczyna, który wdrapał się na górę licząc na gorzałę. Radość była ogromna, słodycze, masło orzechowe, no i wódka. Zaraz ją wypił. Jeszcze dziś pamiętam jak lekarze

bez skutku próbowali go ratować...

Powstanie dogorywało. Ogłoszono zawieszenie broni. Nagle po dwóch miesiącach nieustannych wybuchów bomb, świstu pocisków zaległa cisza, od której dzwoniło w uszach. Generał Antoni Chruściel „Monter” pożegnał się z powstańcami obiecując, że będą traktowani jak żołnierze. Oficerów czekał oflag, resztę stalag. Pokonani, w strugach deszczu, szli 20 kilometrów do fabryki w Ożarowie. Wśród nich Jerzy i Aleksandra. – Ten zakład nadal stoi, jak jadę do Warszawy, zawsze go widzę – mówi Aleksandra Schmidt.

#### Brukiew i kawa z żołądzi

Pierwszy obóz był w Lamsdorfie, czyli w Łambinowicach, tam oddzielono oficerów od niższych rangą. Przywitano ich myciem i upokarzającym odwszawianiem. Spały na trzypiętrowych łózkach w wieloosobowych barakach. Na śniadanie podawano kawę bez smaku, niektórzy twierdzili, że z żołądzi. Na obiad gotowana kapusta z ziemniakami lub brukwią. Mięso zobaczyły pod koniec wojny, kiedy przyjechała komisja PCK z Genewy i Niemcy chcieli pokazać jak dobrze traktują jeńców. Na apelach ustawione piątkami, bez końca stały na placu. Po przeliczeniu mogły wrócić do baraków. Część kobiet wyszła z powstania w porząd-



nych ubraniach, niektóre nawet w futrach, ale wiele miało na sobie tylko rozpadające się ubranie, czy znoszone buty. Przeniesiono je stamtąd po trzech tygodniach, mężczyźni zostali dłużej.

Komendantką we wszystkich obozach, przez które przeszła Aleksandra Schmidt, była Wanda Gertz ps. „Kazik”, jej zastępczynią Janina Karaś ps. „HK”.

- Od komendantki, jej wysokiej i szczupłej postaci wprost biła godność i duma. Jak się do niej zwrócił Niemiec, to spozrzała jak na gada, rozmawiała z nimi tylko przez tłumaczkę. Z kolei jej zastępczyni Janina Karaś była urodzoną organizatorką, w Warszawie współpracowała z Komendą Główną AK. Jeszcze w Lamsdorfie uznały, że na tę liczbę żołnierzy szeregowych przypada zbyt mało oficerów. Urządziły komisję, przed którą się stawiałam, opowiedziałam, co robiłam w okupację i chociaż byłam tylko plutonową, zaliczyły mnie do grupy oficerów. To były mądre kobiety, bardzo je szanowałyśmy.

Po Lamsdorfie był Mühlberg, w którym spędziła około pół roku. Olbrzymi męski obóz, gdzie od 1939 r. przebywali między innymi uczestnicy kampanii wrześniowej. Mężem zaufania polskiej grupy jeńców był poznaniak Leitgeber, syn właściciela sklepu, ucieszył się ze spotkania z krajanką. Przebywali tam jeńcy różnych narodowości, a wszyscy chcieli dokarmić kobiety z powstania warszawskiego. Anglicy, którzy wywalczyli sobie własną kuchnię i kucharza, wzięli je na swój wikt.

Kolejny obóz, do którego trafiły kobiety z powstania znajdował się w Altenburgu w pomieszczeniach po dawnym teatrze. Widownia zaślana pryzami służyła za sypialnię. Komendantem był ponoć baron, zawsze z monoklem, prawdziwy oryginał, wcale sobie nie radził z zarządzaniem obozem. Za to przejawiał resztki ludzkich uczuć. Kiedyś rozkazał rozdać jeńcom po pół paczki żywności z Czerwonego Krzyża. Niemieckie władze obozowe regularnie otrzymywały paczki dla więźniów, ale zatrzymywały je dla siebie.

#### Szczęśliwa trzynastka

Ostatni na mapie jenieckiej wędrówki Aleksandry Schmidt był Mohldorf. Dopiero tam otrzymała pierwszą wiadomość od Jerzego, który wciąż pozostawał w Lamsdorfie. Wojna dobiegała końca, ale nasiliły się alianckie naloty, które nie zawsze zdołały ominąć obozy jenieckie i koncentracyjne.

- Podczas bombardowań władze obozowe kazali leżeć na pryzkach, oczywiście sami pochowali się w schronach. Kiedyś o

6 rano usłyszałyśmy nadlatujące samoloty, walka toczyła się o pobliski most, alianci chcieli go uratować, Niemcy zburzyć. Nagle seria pocisków poszła po naszych barakach. W dziewczynę, która wyjrzała na zewnątrz, uderzył pocisk wyrywając jej kawał brzucha, zmarła na miejscu. Boże, była taka ładna i młoda. Rannych było więcej, jednej przestrelono nogi, innej płuca. Propaganda niemiecka odtrąbiła, że to alianci specjalnie ostrzelali obóz. Nasza komenda stwierdziła, że po pociskach ich poznać. Władze niemieckie utworzyły komisję która uznała, że pociski padły z obu stron, ale nam ich nie pokazali.

Ostatecznie Niemcy zdecydowali się wysadzić most, a kobiety otrzymały rozkaz wymarszu do lasu na wzgórzu. Z daleka obserwowały wybuch, który zniszczył most, a przy okazji zawaliły się baraki. Wtedy pognali je na wzgórze Krakau koło miasteczka Blankenheim – wcześniej ośrodka Hitlerjugend.

- W więzycze siedział hitlerowiec, prawdopodobnie dyrektor ośrodka, który dawał nam ziemniaki, i to tylko tyle, żebyśmy nie umarły z głodu, a miał tam żywności w bród. Wkrótce przyjechali Amerykanie i zaczęli nas ostrzeliwać, bo z planów wynikało, że to jest obóz Hitlerjugend. Wyciągnęłyśmy zawczasu przygotowaną biało-czerwoną flagę, ale drań kazał ją natychmiast zdjąć. Leżałyśmy na podłodze, a dwie kobiety poszły z flagą do żołnierzy powiedzieć im, że jesteśmy Polkami z powstania warszawskiego więzionymi przez Niemca. Jak rąbnęli w więzyczkę, oberwał w rękę aż krew trysnęła. Pokarało go na naszych oczach. Darł się wniebogłoso: - „Hilfe, hilfe”. Proszę sobie wyobrazić, że nie pobiegł do swoich po pomoc, tylko do nas. Któraś z lekarek ulitowała się i zawiązała opaskę ponad raną, żeby się nie wykrwawił. Amerykanie przyszli, zabrali go i był spokój. Trzynastka jest dla mnie szczęśliwa od tego czasu, bo właśnie 13 kwietnia nas uwolnili.

\*

Kobiety były osłabione z głodu. Komendantka kazała więc położyć się na pryzkach. Amerykanie obiecali, że druga linia wkrótce się nimi zajmie, sami pojechali do miasteczka, które bielilo się od wywieszonych flag. Dowódca oddziału stał w czołgu, wtedy jakiś zapiekły nazista strzelił i go zabił. Znowu rozpętało się piekło. Wojsko cofnęło się i ostrzeliwało miasteczko, gdzie już w każdym oknie wisała biała flaga. Po kilku godzinach przyjechały ciężarówki z jedzeniem. Te,



Jerzy Schmidt, członek organizacji „Ojczyzna” i żołnierz AK.

Fot. Ze zbiorów Aleksandry Schmidt

które rzuciły się łapczywie na jedzenie, ciężko to odchorowały, niektóre zmarły w dniu wyzwolenia. Aleksandra nie mogła jeść, a przy jej łóżku rosła góra paczek, które potem przydały się, bo niedaleko był obóz koncentracyjny Buchenwald. Amerykanie jechali tam zawieźć jedzenie i leki.

- Zabrałam się z nimi. Nie mieliśmy pojęcia w jak potwornym stanie byli więźniowie, niektórzy nie mogli nic przełknąć, umierali. Bardzo to przeżyłam, po drodze ciągle myślałam o moim uwięzionym w obozie bracie. Zbliżał się sowiecki front, więc Amerykanie przewieźli nas do zachodnich Niemiec. Mijałyśmy Norymbergę, która została zrównana z ziemią, tylko z okien piwnic patrzyły na nas wystraszone oczy. Umieszczono nas w obozie w amerykańskiej strefie, chociaż oczywiście byłyśmy wolne i mogłyśmy swobodnie wychodzić. Wkrótce zaczęli przyjeżdżać mężczyźni poszukujący bliskich, ukochanych. Pewnego dnia przyjechał samochód, którym kierował mój Jerzy.

Niektórzy Polacy pracujący na robotach przymusowych w fabrykach, gospodarstwach, więźniowie obozów koncentracyjnych czy jenieckich, zastanawiali się, wracać do domu, czy zostać na zachodzie. Aleksandra z Jerzym nie brali tego pod uwagę, w lutym 1946 roku wrócili do Poznania.

TERESA MASŁOWSKA



# Kpt. Jerzy Gronowski (1908 – 1992)

Adwokat, narodowiec, oficer WP

1.

Na poglądy i postawy człowieka wpływ ma przede wszystkim rodzina. Tezę tę potwierdza życie bohatera tego opracowania adwokata, działacza narodowego, oficera Wojska Polskiego kpt. Jerzego Gronowskiego. Ród jego wywodzi się z pogranicza Kujaw i Wielkopolski. Dziadek – Ignacy Gronowski osiadł w XIX wieku w Strzelnie. Był tam długoletnim organistą w kościele pod wezwaniem Świętej Trójcy, osobowością nieprzeciętną, kompozytorem i aranżerem, nauczycielem muzyki. Głęboko religijny, wierny Kościołowi, w czasie walki kulturalnej prześladowany przez władze pruskie, nie dał się skusić atrakcyjnymi materialnie propozycjami i wpisał się na trwałe w dzieje strzeleńskiej parafii. Apogeum jego twórczości przypada na lata 1880 – 1890. O zasługach Ignacego w tej dziedzinie mówiono obszernie w Bydgoszczy na ogólnopolskiej sesji naukowej pt. „Muzyka w Kościołach na Pomorzu i Kujawach”. Żarliwi patriotyzm i religijność wszczepił swoim dzieciom, wśród których był Stefan Gronowski – ojciec Jerzego – urodzony właśnie w Strzelnie 20 lipca 1874 roku.

Stefan nie miał muzycznego talentu, więc nie poszedł śladami swego ojca. Wielkim patriotą polskim był jednak niewątpliwie. Po ukończeniu studiów w Berlinie, wykształcił się w zawodzie inżyniera piwowara, został specjalistą wysokiej klasy, bo zabiegały o niego liczne browary. Doszedł do zamożności, przy czym nieustannie działał w licznych polskich organizacjach kościelnych i świeckich. Wybrał sławny browar przemysłowy w Kielcach. Właśnie w Kielcach - ze związku z Marią Gaczorkowską – 11 lipca 1908 roku przyszedł na świat Jerzy Gronowski.

Analiza dokumentów archiwalnych i relacji wskazuje na to, że Jerzy Gronowski pozostawał w polu zainteresowania politycznych policji różnego rodzaju od urodzenia aż do sędziwego wieku. Jego ojciec był narodowcem, zwolennikiem idei Romana Dmowskiego, stąd w 1914 roku znalazł na proskrypcyjnej rosyjskiego oddziału ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego, to jest carskiej ochrony, co spowodowało wywóz-



W kręgu narodowców (drugi od lewej).

Fot. z albumu rodzinnego

kę całej rodziny na Sybir, do Irkucka. Tam Jurek uczęszczał do dwuklasowej szkoły, prowadzonej przez polskich księży - zesłańców i tam poszedł do I Komunii św. W 1918 roku – w czasie rewolucji bolszewickiej - przenieśli się do Aczyńska nad Czuyłmem w Kraju Krasnojarskim. Do Polski powrócili po trzech latach, przemierzając 5 tys. kilometrów. W swoich wspomnieniach, spisanych w Śmiglu w 1988 roku mecenas Jerzy Gronowski zanotował lakonicznie:

„(...) W roku 1921 wracaliśmy do Polski po wojnie polsko – bolszewickiej, po przeżyciu całej rewolucji bolszewickiej, po głodzie, mordach itd. na terenie Rosji. Przez trzy miesiące byliśmy zatrzymani w Omsku. Przeniesiono nas do baraków. Tam był straszliwy głód - myśleliśmy, że nie wyjedziemy stamtąd. Po trzech miesiącach transporty ruszyły; co jakiś czas wyrzucano z wagonów nieboszczyków (...).”

2.

Prosto z Rosji udali się w okolice Łomży, konkretnie zaś do majątku Lutosławskich w Drozdowie, gdzie senior podjął pracę w słynnym browarze, wytwarzającym piwo drozdowskie, a Jerzy uczęszczał do prywatnego gimnazjum „Unitas” w Łomży i przyjaźnił się ze swoim rówieśnikiem, później sławnym

kompozytorem Witoldem Lutosławskim. W 1924 roku ojciec otrzymał intratną ofertę z Wielkopolski – objął stanowisko kierownika Browarów Grodzkich i rodzina przenieśli się do Grodziska Wielkopolskiego.

Nowe środowisko miało duży wpływ na młodego Jerzego. Trafił w tę część Poznańskiego, w której myśl narodowa Romana Dmowskiego panowała niepodzielnie. W latach 1924 – 1928 uczęszczał do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. św. Stanisława Kostki w Kościanie. Mieszkał na stacji, ale czas dzielił sprawiedliwie między Grodzisk Wielkopolski, a Kościan. Grał w piłkę nożną w grodzkiej „Dyskobolii”, odnosił sukcesy lekkoatletyczne w kościańskim Gimnazjalnym Klubie Sportowym „Hellada” i czytał, namiętnie czytał.

Matura 1928 w Kościanie – to był wyjątkowy rocznik. W jednej klasie znaleźli się z Jerzym m.in.: Zbyszek Brzeziński (absolwent Uniwersytetu Poznańskiego, porucznik 55 pułku piechoty w Lesznie, zamordowany w kwietniu 1940 roku w Katyniu); Maryś Jankowski (ksiądz, wikariusz w Lesznie, kapelan szpitala wojskowego w Warszawie w 1939 roku), Felek Kaczmarek (dr farmacji, Powstaniec Warszawski), Jurek Osiecki (doktor praw), Antek Schwarz (ksiądz, zamordowany w 1941 roku w





W wojsku. Fot. w zbiorach autora tekstu

niemieckim obozie koncentracyjnym w Dachau), Leonek Świętkowiak (filozof i działacz harcerski, ppor. w 55 pp w Lesznie, twórca konspiracyjnej Organizacji Harcerskiej w Poznaniu, stracony w 1941 roku w więzieniu przy ul. Młyńskiej w Poznaniu). Cała ta klasa zasiliała szeregi Narodowej Demokracji.

W Kościanie, poza sportowymi, ujawniły się jeszcze trzy talenty Jerzego: krasomówstwo – mówił pięknie, obrazowo, stanowił ozdobę szkolnych uroczystości; łatwość opanowywania języków obcych – greki, łaciny, niemieckiego, wreszcie fascynacja starożytnym Rzymem. Pracę maturalną pisał w języku łacińskim o Cyceronie, a obszernie fragmenty „Mowy w obronie Milona” znał na pamięć – często powtarzał: „Es enim ea non scripta sed nata lex” – („Istnieje owo niepisane, lecz przyrodzone prawo, iż siłą siłą odeprzeć wolno”).

Stąd prowadziła prosta droga do wyboru zawodu. W 1928 roku rodzina przeprowadziła się do Śmigła, a Jerzy Gronowski podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Był członkiem Korporacji „Magna – Polonia”, działał w ruchu narodowym, pracę magisterską napisał w 1933 roku na temat obrony koniecznej i rozpoczął aplikację adwokacką: u mecenasa Jana

Grzebińskiego i dra Kazimierza Gutsche w Lesznie, którą z pozytywnym wynikiem zakończył w sierpniu 1939 roku u dra Tadeusza Soleckiego w Śmiglu.

### 3.

Pozostawał pod wpływem przywódcy Stronnictwa Narodowego w Kościanie mecenas Bronisława Lompy, od 1931 roku był długoletnim prezesem SN w Śmiglu i członkiem władz powiatowych stronnictwa. Współtworzył w 1934 roku Wydział Młodych SN w powiecie kościańskim, uczestniczył jako prelegent w setkach wieców przedwyborczych w całej Wielkopolsce. Stał się obiektem zainteresowania Policji Państwowej i policyjnej sieci konfidentów.

W Archiwum Państwowym w Lesznie w poufnych sprawozdaniach z działalności partii i stronnictw w latach 1931 – 1939 znaleźć można liczne informacje na temat „antyrządowych wystąpień” Jerzego Gronowskiego. Reprezentował umiarkowane skrzydło Narodowej Demokracji, nie uczestniczył w 1936 roku w tzw. zamachach petardowych na mieszkania przedstawicieli ówczesnej władzy. W słynnych procesach młodych narodowców 1936 – 1937 – jako aplikant – był obrońcą posiłkowym.

Wziął w Śmiglu ślub z Łucją z d. Piotrowska. Ciężko przeżył jej śmierć przy urodzinach dziecko w 1938 r. Kochał wojsko. Jeszcze w trakcie studiów w 1932 roku ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Zambrowie, praktykę wojskową odbywał w 55 pułku piechoty w Lesznie – po ćwiczeniach w 1934 roku awansowany do stopnia starszego sierżanta podchorążego, w 1935 roku do stopnia podporucznika WP. Na ćwiczenia do pułku w Lesznie wzywany był później kilkakrotnie. W okresie od października do grudnia 1938 roku powołany do 55 pułku piechoty, jako adiutant dowódcy batalionu mjr. Józefa Spychalskiego (późniejszego komendanta Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej) uczestniczył w przejmowaniu Zaolzia. Uważał przy tym, że wojsko powinno być niezależne od wszystkich partii – apolityczne. We wspomnieniach zapisał: „Sam byłem politycznie zaangażowany aż po szyję, ale gdy wkładałem mundur, kończyła się polityka”.

### 4.

24 sierpnia 1939 roku ppor. rez. Jerzy Gronowski stawiał się w koszarach w Lesznie z przydziałem na adiutanta dowódcy II batalionu 55 pułku piechoty,

którym był mjr Stanisław Sosień. Na rozkaz gen. bryg. Romana Abrahama oddelegowany na dwa dni do Sądu Polowego nr 47 przy Wielkopolskiej Brygadzie Kawalerii, kierowanego przez kpt. Józefa Wojtasiewicza (po wojnie prokurator wojskowy w PRL i adwokat w zespole nr 13 w Warszawie). 3 września 1939 roku J. Gronowski uczestniczył w Śremie – jako obrońca – w procesie 14 dywersantów niemieckiej V Kolumny z Leszna, na którym zapadło 12 wyroków śmierci. Wrócił do pułku, brał udział w kampanii wrześniowej 1939, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Szlak bojowy zakończył w Puszczy Kampinoskiej, uniknął niewoli, do Śmigła nie wrócił. Za działalność narodową poszukiwało go Gestapo, za udział w procesie śremskim – Abwehra.

W latach 1939 – 1941 ukrywał się w Jędrzejowie i u rodziny w Kielcach. Tam w maju 1940 roku zaprzysiężony został do Związku Walki Zbrojnej i – awansowany do stopnia porucznika WP – przyjął pseudonim „Michał”. Zmuszony do ucieczki na skutek dekonspiracji kieleckiego ZWZ – wyjechał do Warszawy, nawiązał kontakt ze środowiskiem Wielkopolan. Zaprzysiężony przez swego przyjaciela mecenas Jana Jacka Nikischa ps. „Sławek”, wstąpił w 1942 roku do warszawskiej ekspozytury konspiracyjnej organizacji niepodległościowej „Ojczyzna”, utworzonej w Poznaniu. Mianowano go komendantem Wydziału Organizacyjnego na Warszawę. Zdołał pozyskać do organizacji wielu członków, wśród nich mecenas ppor. Mariana Metelskiego z Leszna, który został jego adiutantem. Tam poznał przyszłą żonę, która była łączniczką „Ojczyzny” z Armią Krajową. Często zmieniał adresy i nazwiska. Posługiwał się fałszywymi dokumentami. Na Mokotowskiej 5 nazywał się Krzysztof Kochanowski, na Nowogrodzkiej 48 – Andrzej Jerzy Tarnowski, na Lesznie – Krzysztof Krasowski. Wybuch Powstania Warszawskiego zastał go poza Warszawą.

### 5.

Kierując się instrukcjami „Ojczyzny”, po powrocie – wraz ze swoją łączniczką „Marią” – 12 marca 1945 roku do Śmigła, wyruszył miesiąc później na Ziemię Zachodnie – został komendantem Wojskowej Służby Przemysłowej w Nowej Soli. Otworzył też – sprzedając



oficjalne rejestracje – biura adwokackie w Nowej Soli i w Śmiglu. W połowie kwietnia 1945 roku zgłosił się do niego łącznik ostatniego komendanta Okręgu Poznańskiego Armii Krajowej ppłk. Andrzeja Rzewuskiego ps. „Hańcza”, proponując funkcję inspektora Rejonu Leszno Wielkopolskiej Samodzielnej Grupy Ochotniczej „Warta” (WSGO). Funkcję tę J. Gronowski przyjął, w maju 1945 roku podjął organizację rejonu (obejmował powiaty: gostyński, kościański, leszczyński, rawicki i wolsztyński) i rozpoczął nabór kadry. W ramach WSGO awansowany do stopnia kapitana WP. W strukturach poznańskich WSGO „Warta” umieszczona została agentura bezpieki. 26 listopada 1945 roku aresztowano „Hańczę”, 2 grudnia 1945 roku w Śmiglu – w dniu ślubu z łączniczką „Marią” Stefanią z domu Pobiedzińską – funkcjonariusze UB zatrzymali kpt. Gronowskiego i osadzili najpierw w areszcie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego, a po kilku miesiącach przesłuchań w więzieniu przy ul. Młyńskiej w Poznaniu. 15 maja 1946 roku w procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Poznaniu skazany został na karę 5 lat więzienia oraz i na utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 2 lat. Dzięki staraniom przyjaciół – adwokatów i żony, mającej znajomości w Warszawie wyrok objęto amnestią, a Jerzy Gronowski opuścił poznańskie więzienie 22 maja 1946 roku.

Cztery dni później szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie w okresowym sprawozdaniu przesłanym do WUBP w Poznaniu informował: „(...) Pod koniec dekady pojawili się zwolnieni z więzienia byli członkowie WSGO „Warta” Gronowski Jerzy, Piotrowski Ewaryst i Judek Wawrzyn. Jak się okazuje są bardzo tajemniczymi – jak wyraża się opinia publiczna – nie chcąc nic mówić na temat swego pobytu w areszcie. Powyższych obstawiono natychmiast agenturą, celem zbadania ich zachowania się wśród społeczeństwa w związku ze zbliżającym się referendum (...)”.

Od tego czasu aż do końca lat osiemdziesiątych Jerzy Gronowski pozostawał pod stałą „opieką” UB i SB. W raportach bezpieki jego nazwisko pojawia się niezliczoną ilość razy, na przestrzeni lat 1946 – 1989 materiały

o nim gromadziło 14 informatorów i tajnych współpracowników, wśród nich dwóch pozyskanych w najbliższym otoczeniu mecenasa. Stosowano intrygi i prowokacje. Próbowano pozyskać go do współpracy – odmówił, pozbawiano bezpodstawnie kilka razy wolności, nielegalnie przesłuchiowano, słowem – systematycznie zastraszano.

6.

16 listopada 1951 roku pod fałszywym oskarżeniem skreślono go z listy adwokatów. Walczył o godność osobistą. Po ponad roku w odpowiedzi na odwołanie Wyższa Komisja Weryfikacyjna przy Ministrze Sprawiedliwości 16 marca 1953 roku orzekła, że „(...) Wyżej wymieniony nie powinien nadal pozostawać w szeregach adwokatury z uwagi na swoją obcość ideologii Polski Ludowej, co znalazło wyraz z jego przynależności do organizacji nielegalnej już po wyzwoleniu; nie daje on dostatecznych gwarancji do wykonywania zawodu adwokata z zasadami adwokatury w Polsce Ludowej (...)”.

29 stycznia 1952 roku Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie do WUBP w Poznaniu pisał m.in.: „(...) Były powiatowy prezes Stronnictwa Narodowego w Kościanie... wymieniony Gronowski posiada szerokie kontakty również z aktywnymi działaczami z powiaty Leszno, jak z Bielawskim Janem zamieszkałym Bukówcu Górnym, jak również z Ciszakiem Leonem sędzią Sądu Powiatowego w Lesznie, który to był przywódcą A.K. na terenie Kościana, dokąd to Gronowski według posiadanych danych wyjeżdża samochodem, gdzie to na terenie Leszna mają się razem kontaktować nie tylko sami, lecz z podobnym elementem (...)”.

Po kolejnych odwołaniach wpis mec. Jerzego Gronowskiego na liście adwokatów przywrócono, ale bezpieka nie przestała go nękać. Po krótkiej przerwie w inwigilacji mecenasa, wynikającej z październikowej odwilży w 1956 roku, znów obstawiono go agenturą. Zastępca Komendanta Powiatowego Milicji Obywatelskiej do Spraw Służby Bezpieczeństwa w Kościanie 13 września 1957 roku informował swoich przełożonych w Poznaniu:

„(...) Przebywający na terenie Śmigla były prezes powiatowy stronnictwa Narodowego sprzed 1939 r. Gronowski Jerzy, w ostatnim czasie



Po wojnie z synami.

Fot. z albumu rodzinnego

przejawia ożywiona działalność, szczególnie na odcinku działalności społecznej, wznowił stare kontakty towarzyskie z dawniejszymi działaczami endeckimi. Od pewnego czasu interesuje się młodzieżą, wstąpił niedawno do klubu sportowego „Pogoń” w Śmiglu, pomaga w organizowaniu różnych imprez sportowych i innych biorąc w nich udział. Przypuszczać należy, że Gronowski dąży do podporządkowania sobie młodzieży i wychowania jej w duchu endeckim... W związku z powyższym wysuwają się następujące wnioski; rozpatrzyć możliwości werbunku informatora w środowisku SN-owskim na terenie Śmigla, gdzie mieści się cały były aktyw powiatowy, a szczególnie pod byłego prezesa adwokata Gronowskiego Jerzego, na którego prowadzona jest sprawa ewidencyjno – obserwacyjna (...)”.

\*

Pracował w Zespole Adwokackim nr 1 w Kościanie, lecz biuro swoje prowadził głównie w swoim domu w Śmiglu. Zmarł 8 X 1992 roku w Kościanie. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Śmiglu. Dwukrotnie żonaty: z Łucją z d. Piotrowska (zm. w 1938). z tego związku syn Lucjan (ur. 1938) i ze Stefanią z d. Pobiedzińska ps. „Maria” (ślub w 1945r.), z tego związku syn Michał (ur. 1949).

**JERZY ZIELONKA**



# Major Jan Żychoń: bohater czy zdrajca?

Birbant, lubiący alkohol i piękne kobiety, oficer polskiego wywiadu, który przez lata wodził Niemców za nos, wykradając ich tajne przesyłki w operacji „Wózek”, zginął pod Monte Cassino w atmosferze pomówień o zdradę. Major Jan Żychoń, jeden z największych asów wywiadu II Rzeczypospolitej, do dzisiaj nie został oczyszczony z zarzutów.

Teren Pomorza, Wolnego Miasta Gdańsk i Prus w latach 20. i 30 XX wieku był teatrem intensywnych działań wywiadów polskiego i niemieckiego. Polacy w tej „bitwie na tajemnice” często zdobywali przewagę. Człowiekiem, który przez wiele lat wodził Niemców za nos i odnosił spektakularne sukcesy wywiadowcze na kierunku niemieckim był Jan Henryk Żychoń.

W wieku zaledwie 28 lat Żychoń, któremu powierzono kierowanie Ekspozyturą nr 3 w Bydgoszczy, był już doświadczonym oficerem „dwójki”, czyli wywiadu wojskowego, wyspecjalizowanym w walce wywiadowczej przeciwko Niemcom, do tego weteranem wojny polsko-bolszewickiej i trzeciego powstania śląskiego. Bydgoska ekspozytura operowała na terenie Prus Wschodnich, Wolnego Miasta Gdańsk, Pomorza Zachodniego oraz przy granicy na północ od Warty i linii kolejowej Poznań-Berlin. Żychoń kierował placówką od jej powstania w 1930 r. do początków wojny, przeorganizował i odnosił poważne sukcesy zarówno w wywiadzie płytkim, jak i głębokim.

## „Ciotkarze” w akcji

Żychoń, syn kolejarza, opracował i mistrzowsko kierował akcją pod kryptonimem „Wózek”, w której nielegalnie infiltrowano pociągi tranzytowe kursujące z niemieckiego Pomorza Zachodniego do Prus Wschodnich przez tzw. polski korytarz. Operacja „Wózek” ruszyła w 1934 r., i pod boki Niemców, sprawnie toczyła się sprawnie do wybuchu wojny.

Kiedy niemiecki pociąg tranzytowy wjeżdżał na pierwszą polską stację w Chojnicach był plombowany, po czym nasi kolejarze przejmowali nad nim nadzór. Na ostatnim przystanku

w Tczewie plomby sprawdzano i skład przekażywał o niemieckiej załodze. W czasie przejazdu przez polski odcinek odbywał się błyskawiczny przegląd tajnych niemieckich przesyłek. W umówionym miejscu maszynista zwalniał, a pracownicy ekspozytury wskakiwali do wagonu pocztowego. Wyrzucali zapieczętowane worki z pocztą i innymi interesującymi przesyłkami, by potem w specjalnie do tego wynajętym mieszkaniu wszystko sfotografować, ponownie zaplombować i załadować do wagonu w idealnym stanie, by podejrzliwi Niemcy niczego nie zauważyli. Niewiarygodne, ale do końca niczego nie spostrzegli. Nasi prześwietlali nie tylko tajną dokumentację wojskową, ale także broń, amunicję, urządzenia optyczno pomiarowe, materiały zaopatrzenia wojska itd.

Do akcji zaangażowano kolejarzy, pocztowców, a nawet kryminalistów. Agenci o wdzięcznej ksywce „ciotkarze” dysponowali profesjonalnym sprzętem do włamań, plombami i plombownicami, które dostarczał nieznany z nazwiska asesor z niemieckiej kolei w Gdańsku. Włamanie do wagonów, otwarcie zamków w sejfach powierzono kasiarzom z wyrokami. Wskazywał ich komisarz Jan Żbikowski z Urzędu Śledczego w Poznaniu dobrze znający przestępczy świat.

## Ułańska fantazja

Major Żychoń z racji barwnego życiorysu i oszałamiających wyników w pracy wywiadowczej wrogów miał wielu, ale że nienawidzili go Niemcy jednocześnie podziwiając, jest jasne, za to zastanawiające jest, że najwścieklej zwalczały go koledzy po fachu z Referatu „Wschód”. Siłą rzeczy jego skuteczna działalność w ekspozyturze bydgoskiej



Żychoń w czasie III powstania śląskiego.

Fot. ze zbiorów dra Aleksandra Woźnego z Opola

budziła największe kontrowersje.

- Sam trochę przyłożył rękę do krytyki, a to przez niekonwencjonalne metody działania, ekstrawagancję, skłonność do spożywania w nadmiernej ilości wysokoprocentowych darów bożych. Uroczystości organizowane przez bydgoską ekspozyturę były przedmiotem nieustannej troski oraz interwencji starosty bydgoskiego, czy prezydenta miasta. Nie obyło się bez kilku dużych skandali. W rzucaniu oskarżeń przodowała grupa oficerów Referatu „Wschód” przedwojennej „dwójki”, zwłaszcza kpt. Jerzy Niezbrzycki, rezydent polskiego wywiadu w Charkowie i Kijowie, od 1932 r. szef Referatu „Wschód”. Bez przedstawienia dowodów donosił szefom, że major jest niemieckim agentem. Ci sprawę bagatelizowali – twierdzi historyk dr Jan Stanisław Ciechanowski.

Przed wybuchem wojny archiwum bydgoskiej ekspozytury zostało odpowiednio wcześniej ewakuowane. Major z ułańską fantazją przywitał Niemców w swojej siedzibie. Helmut Bischoff, jeden z dowódców specjalnej grupy poszukiwawczej relacjonował:

„W budynku miał swoją siedzibę służbową mjr Jan Żychoń, dobrze nam wschodnioniemieckim ludziom znany. Za pomocą drabin wtargnęliśmy przez okno na pierwszym piętrze do budynku



**BIURO KOMITETU KRZYŻA i MEDALU NIEPODLEGŁOŚCI**  
 prosi uprzejmie o wypełnienie niniejszego kwestjonariusza, dołączenie 2-ch fotografii i niezwłoczne przesłanie pod adresem: Warszawa, Aleje Ujazdowskie Nr. 1.

Leg. № 25/38  
 11657

**Kwestjonariusz** *(Zychonia)*  
 dla otrzymania legitymacji, upoważniającej do zniżki kolejowej.  
 (wypełnia czytelnie odznaczony).

Nazwisko *Żychoń Jan Henryk*  
 Imię \_\_\_\_\_  
 O ile zamężna — nazwisko rodowe \_\_\_\_\_  
 Data i miejsce urodzenia: 17 1902  
 Miasto Skawine  
 Wieś \_\_\_\_\_  
 Gmina \_\_\_\_\_  
 Powiat Kwałków  
 Województwo \_\_\_\_\_

Data wpłacenia kwoty 2 Zł. \_\_\_\_\_



*Krzyż i Medal Niepodległości dla Jana Żychonia.*

*Fot. ze zbiorów dra Aleksandra Woźnego z Opola*

i zastaliśmy go zupełnie pustym... W mieszkaniu służbowym, mieszczącym się w gmachu, które było puste, z wyjątkiem pokoi urządzonych na koszt państwa, leżał - jakby na nasze powitanie - na środku biurka - bilet wizytowy dawno zbiegłego pana majora Żychonia”.

We wrześniu 1939 r. Niemcy znaleźli archiwum bydgoskiej ekspozytury pozostawione w Forcie Legionów. Wtedy dowiedzieli się, jak głęboko bydgoska ekspozytura penetrowała ich działania. Aresztowali i skazali na śmierć agentów pracujących dla Rzeczypospolitej, m.in. Paulinę Tyszewską, jej siostrę i szwagra - małżeństwo Bruckich. Odpowiedzialnością za tę wpadkę także obarczono majora Żychonia. Dr Ciechanowski: - Przeważa pogląd o bałaganie panującym powszechnie w sierpniu 1939 r., ale warto to zestawić z ewakuacją MSZ, gdzie nawet akta z lat 20. zabezpieczono i bezpiecznie wywieziono. To była ewidentna zdrada, ktoś musiał dopilnować, żeby akta zostały w forcie. Oskarżane Żychonia było nielogiczne, niby jak kierując bydgoską ekspozyturą mógł mieć wpływ na ewakuację i przechowywanie akt wywiadu we wrześniu 1939 roku.

#### **Sprawa o zniesławienie**

Major Żychoń ewakuował się do Rumunii, internowany uciekł i dotarł

do Paryża, gdzie kierował niewielkim polskim biurem wywiadowczym. Po klęsce Francji ewakuował się do Wielkiej Brytanii, gdzie został szefem polskiego wywiadu czasu wojny - historycy twierdzą, że jednego z najlepszych w świecie. Jednak oskarżenia nie ustały, wręcz nasiliły się po śmierci generała Sikorskiego, który miał słabość do majora. Wspomniany Niezbrzycki, który także znalazł się we Francji i wykładał w szkole oficerów wywiadowczych, z innym oficerem „dwójki” Tadeuszem Nowińskim, wciąż stali donosy, że współpracował z Abwehrą. Wreszcie Żychoń nie mógł już dłużej tego zdzierżyć i wytoczył im sprawę o zniesławienie. Sąd wojskowy oczyścił go z zarzutów, a obu oficerów skazał kilka tygodni twierdzy.

Sukcesu się nie wybacza, ale czy tylko zazdrość i rywalizacja kierowała oficerami Referatu „Wschód”, którzy w przeciwieństwie do Referatu „Zachód” nie mogli pochwalić się wybitnymi wynikami wywiadowczymi.

- W Moskwie trafiłem na dossier akcji wywiadowczych, które organizował Niezbrzycki. W Hiszpanii odbyło się około 10 misji wywiadowczych, ponieważ Polskę interesowało użyte tam uzbrojenie niemieckie i rosyjskie. Część tych akcji była groteskowa. Jeden z

agentów, który pojechał jako korespondent polskiej agencji telegraficznej pisał: - Odczułem wielki brak znajomości języków obcych, w wagonie jechałem z pewnym Anglikiem, który był pilotem w służbie rządowej, rozpocząłem z nim żmudną rozmowę przy pomocy słownika i rysunków. Inny bał się przejechać z Francji do Hiszpanii, więc zawrócił do Polski. I jeszcze jeden - dezerterski, który zastrzelił dwóch żołnierzy WP, uciekł do armii Denikina, następnie zgłosił się do Referatu „Wschód” zapewniając, że służył u w lotnictwie generała Franco. Pomimo kłamstwa wysłano go do Hiszpanii, co znowu zakończyło się fiaskiem. To o niczym nie świadczy, ale w Narodowym Archiwum Stanów Zjednoczonych znalazłem dokument z lat 60. ub. wieku, w którym amerykański kontrwywiad podejrzewał Niezbrzyckiego o współpracę z Sowietami - tyle doktor Jan Ciechanowski.

#### **Śmierć na polu chwały**

Major Żychoń nie czuł się usatysfakcjonowany wyrokiem sądu wojskowego. Poprosił o przeniesienie na front do Armii Andersa. Od kwietnia 1944 r. był zastępcą 13 Wileńskiego Batalionu Strzelców. Zginął 17 maja na Monte Cassino. Żołnierz Stanisław Żurkowski, pracownik Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, opisał śmierć majora: „Pada jeden, drugi pocisk, major Stańczyk przykłęka, bo nigdy nie padał, ja klękam choć wolałbym upaść, ale fason mi nie pozwala, a major Żychoń opiera mi się na ramieniu żeby uklęknąć i jęknął. Poderwałem się i przez moje ręce zwałił się na ziemię. Ułożyłem go na wznak, podniosłem mu głowę, a on mówi: „za Polskę i dla Polski” i to był zdaje się koniec. Przyszedł sanitariusz dał mu wody, ja już dawno jej nie miałem, ale major już nie wyglądał mi dobrze. Musiałem dalej iść z majorem Stańczykiem. Gdyśmy wracali, widziałem majora Żychonia leżącego na ziemi, ale już nawet nie podszedłem, musieliśmy szybko wracać bo coś się działo na prawym skrzydle naszego batalionu”.

I tak Polska straciła jednego z najlepszych oficerów wywiadu. Pośmiertnie odznaczono go Orderem Virtuti Militari, jako bohatera, który: „17 maja dał żołnierzom wspaniały przykład brawury i poświęcenia prowadząc czołowe oddziały na punkty nieprzyjaciela,



walcząc w najbliższej odległości padł na polu chwały” – pisał płk Rudnicki.

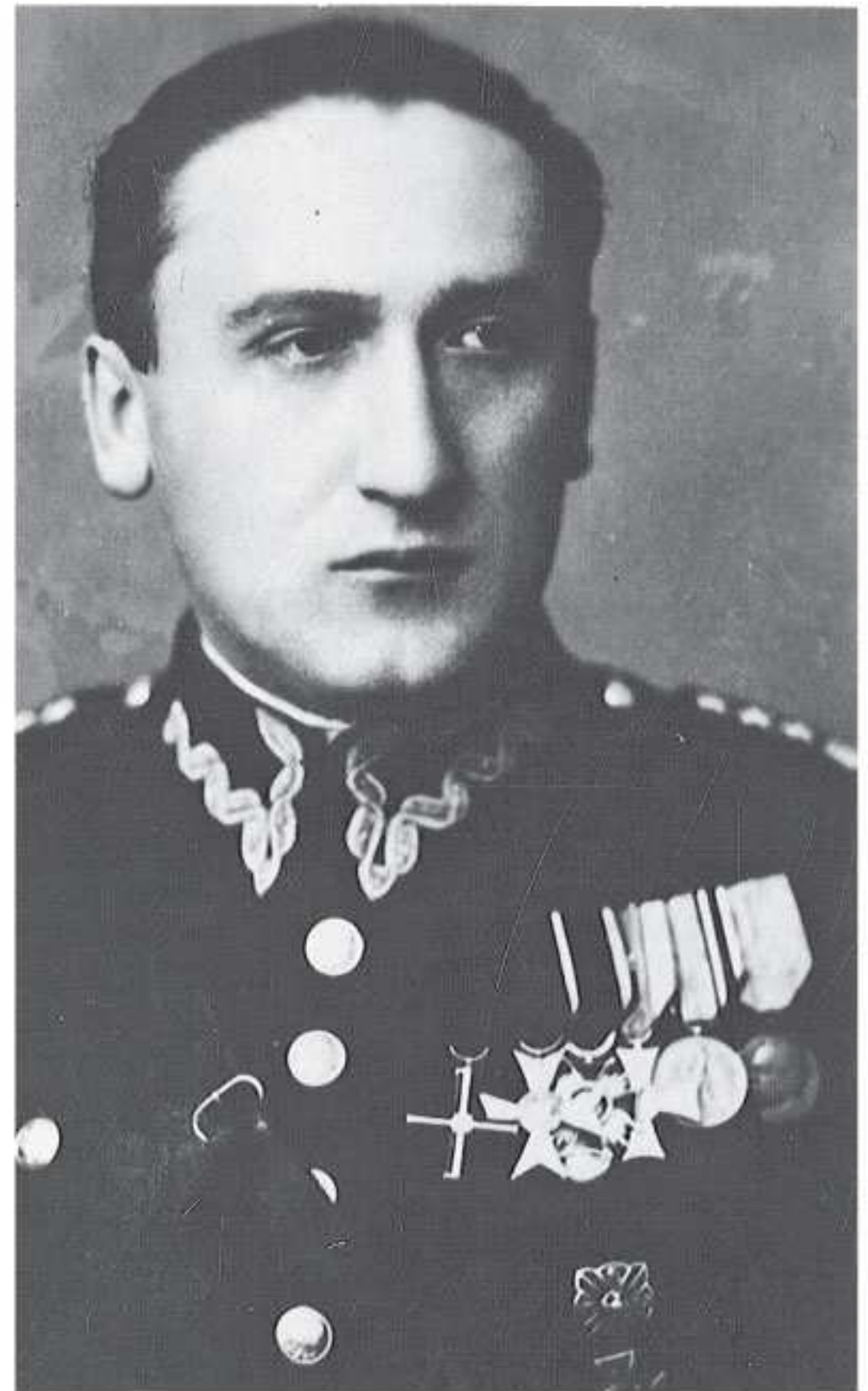
Nawet śmierć nie położyła kresu oszczerstwom. Po wojnie bezpieka starała się za wszelką cenę udowodnić, że był zdrajcą. Ponownie wypłynął jego dawny wróg mjr Nowiński, który wrócił do kraju i bez większego próbnął zrobić karierę w PRL-owskim wywiadzie. W procesie Adama Doboszyńskiego, działacza Stronnictwa Narodowego, zeznawał m.in.: „Żychoń nie przestrzegął zupełnie konspiracji i chwalił się publicznie swymi sukcesami... Przed samą wojną poczynają masowo przechodzić rzekomo na stronę polską wyłącznie na odcinku 3 Ekspozytury rzekomi dezertrzy niemieccy, którzy zamiast być kierowani w głąb kraju umieszczani byli wszyscy w Bydgoszczy. Dezertrzy ci byli przygotowywani przez Żychonia do akcji... tzw. „Krwawej niedzieli”.”

W publikacjach i artykułach prasowych niektórzy twierdzą, że był jednym z największych bohaterów, inni dowodzą, że zdrajcą. Dr Jan Ciechanowski podsumowuje: - Czy agent sowiecki Niezbrzycki szkodził Żychoniowi, jak tylko mógł, na zlecenie swoich mocodawców? Nie ma na to dowodów. Temat wart jest zbadania, bo jest dużo

dziwnych, nieodkrytych wątków w życiorysie majora. Najważniejsze jest to, że do dzisiaj właściwie major Jan Żychoń nie został oczyszczony z zarzutów, a pamięta o nim tylko Bydgoszcz. Może czas, żeby to zmienić.

#### TERESA MASŁOWSKA

*\*) Korzystałam m.in. z publikacji „Wywiad polski w III Rzeszy 1933-1939”, Leszek Gondek, Warszawa 1982; akta IPN By 069/137. Tytuł artykułu oraz cytaty zaczerpnięto z wykładu dr. Jana Stanisława Ciechanowskiego pt. „Jan Żychoń. Bohater czy zdrajca?” wygłoszonego 11 lipca 2012 r. na konferencji „Nekropolie poległych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego we Włoszech 1944-1945” w Lesznie.*



As wywiadu major Jan Żychoń.

Fot. ze zbiorów dra Aleksandra Woźnego z Opola



# Okupacja w wyskockiej organistówce (1)

Urodziłem się wprawdzie w powiecie pleszewskim, jednak uważać się mogę za kościaniaka, gdyż od szóstego roku życia wychowywałem się w Wyskoci, wsi parafialnej odległej 12 kilometrów od Kościana, w której mój ojciec Józef Samelczak, senior, przez 24 lata był organistą. Co najważniejsze dla założenia niniejszych wspomnień, przez cały czas okupacji bez przerwy przebywałem na terenie powiatu kościańskiego, na przemian w dwóch wioskach, Wyskoci i sąsiadującej z nią Turwi.

Ojciec jako organista w szeregu wiosek wielkopolskich obok śpiewu kościańskiego pieczęłowicie przez 50. lat kultywował pieśń narodową a z nią razem krzewił ducha narodowego wśród młodzieży wiejskiej. Był patriotą, który za nieugiętość w swych narodowych przekonaniach uzyskał w okresie zaboru pruskiego miano „Gerübener Hurapolack”. Jako chłopiec 11-letni występowałem w amatorskim przedstawieniu chóru kościelnego w Wyskoci reżyserowanym przez ojca. Byłem sierotą z zaboru austriackiego przysiężonym litościwie przez wielkopolską rodzinę chłopską w utworze scenicznym Pobratymca „Pod obuchem pruskim”. Scenicznym przybranym mym ojcem był Andrzej Walenciak z Choryni, matką zaś Agnieszka Mikołajczakówna z Turwi. Egzemplarz tej sztuki szczęśliwie przetrwał okupację i w roku 1945 tuż po wyzwoleniu wypożyczyłem go powiatowej komendzie Milicji Obywatelskiej w Kościanie.

Z myślą o polskiej kulturze muzycznej ze szczególnym uwzględnieniem wielkopolskiej, podjęliśmy w roku 1938 wspólnie z bratem Józefem Samelczakiem juniorem wydawanie czasopisma muzycznego zatytułowanego „Biblioteka Muzyczna Organisty”. W niedługim czasie potem ukazał się pod moją redakcją „Przyjaciel Organisty”, którego zaistnienie w swój sposób zaważyło na moim życiu okupacyjnym.

Brat pracował jako organista w Lubiniu, ja zaś jako nauczyciel w Racocie. Mieszkając u ojca na wyskockiej organistówce, do miejsca swej pracy dojeżdżaliśmy rowerami. Wszystek wolny od zajęć służbowych czas poświęcaliśmy z bratem na prowadzenie wydawnictwa, poprzez które Wyskoć, wioska kościańska, stała się znaną w całej

Polsce. Roboty było mnóstwo. Bardzo dużo czasu zajmowała nam korespondencja z organistami. Zajęci po uszy pracą wydawniczą, nie śledziliśmy dostatecznie wypadków politycznych, coraz to bardziej zaostrzających sytuację w Europie. Jednego dnia w „Polonii” kościańskiej restauracji Purpurowskiego słusznie zarzucał nam jeden znajomy kościaniak, że źle jest, iż nic nie wiemy, co robi Hitler. Przyznam się, że nie słuchałem ani razu radiowych produkcji tego krzykacza.

Z wydawcą i redaktorem kościańskiej „Gazety Polskiej” Marianem Urbańskim spotykałem się wtedy często, jednak brak czasu ograniczał nasze rozmowy do samych tylko spraw handlowych, bowiem Drukarnia Spółkowa w Kościanie składała i odbijała arkusze naszego wydawnictwa... W 7-mym numerze „Biblioteki Muzycznej Organisty” brat umieścił melodię „Boże coś Polskę” wspaniale szarmonizowaną przez ks. Andrzeja Nędzyńskiego z Raciążka pod Inowrocławiem oraz własną kompozycję „Zrodziły Polskę krew i bój” do słów Remigiusza Kwiatkowskiego. Pieśń ta pierwszy raz śpiewaną była przez wyskocki chór kościelny w Choryni jesienią 1938 r. z okazji wywożenia prochów generała Władysława Taczanowskiego. W 3-cim numerze „Przyjaciela Organisty” dałem fragment noweli Marii Konopnickiej „W winiarskim forcie”, w którym to wachmistrz Dzieszuk na próżno oczekuje, kiedy mu wreszcie stary organista Mateusz nie zagrzebie po polsku na organach „Wesoły nam dzień dziś nastał”...

Nadmieniłem na początku wspomnień, że wytężona praca w wydawnictwie muzycznym spowodowała, że nie tak, jak należało obserwowałem rozwój wypadków politycznych w Europie. Z kolei moją uwagę od nich odwróciła choroba mego brata Zygmunta, również organisty, który tymczasem przeniósł się z Górki Duchownej do Lubinia. Szybko rozwijająca się choroba, jak się okazało, nie była już do wyleczenia i brat zmarł na dwa tygodnie przed wybuchem wojny. Przemęczonego pracą w wydawnictwie, przygnębionego chorobą i śmiercią kochanego brata, wybuch wojny zastał mnie w wyjątkowym stanie psychicznym. Mimo to starałem się skołatanę nerwy przywołać do porządku i stanąć na wysokości obywatelskiego zada-



Autor wspomnień.

Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

nia, jakie podyktowała każdemu Polakowi owa pamiętna chwila – nasza Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

Wybuch wojny zaskoczył mnie w Lubiniu, gdzie razem z bratem Józefem odwiedziliśmy wdowę po zmarłym bracie. Wracających koleją do Choryni, na dworcu lubińskim, ogarnęła nas fala powołanych na front żołnierzy. Krzyki i płacz żegnających uderzały jak bicze w serce. Mimo osłabienia myślałem uparcie o tym, aby iść w ślady powołanych rezerwistów. Tam jest w tej chwili jedyne miejsce dla nas Polaków – bronić Ojczyzny!

Czekając na powołanie na front, pojechaliśmy z bratem rowerami do Krzywina, gdzie zgłosiliśmy się do kopania rowów strzeleckich. Główna ulica w Krzywiniu zatłoczona była uciekinierami z Leszna, którzy opowiadali o ostrzeliwaniu artyleryjskim Leszna znad granicy. Żal ścisnął serce, kiedy patrzyło się na ręczne wózki wypełnione Domowiną, a ciągnięte przeważnie przez splekane kobiety i dzieci. W Krzywiniu skierowano nas w stronę wsi Wieszkowo. Na piaszczystym polu spotkałem porucznika Józefa Żurczaka, kolegę seminarialnego, który kierował tutaj robotami. Wypadło nam kopać rowy na wzgórzu, akurat naprzeciw szkoły w Wieszkowie. Czy mogłem wtedy przypuszczać, że właśnie w tej szkole przepędzę później większość swego życia i że w niej wypadnie mi pisać niniejsze wspomnienia okupacyjne.

Wracaliśmy do Wyskoci przez Żelazno i Lubiń. Piękny słoneczny dzień sierpniowy



miał się ku końcowi. W Lubiniu znów natrafiliśmy na kolumny leszczyńskich uchodźców. W restauracji Kobusa młoda leszczynianka z podnieceniem opowiada, jak została zraniona w nogę odłamkiem pocisku. Pokazuje nawet ten odłamek, srebrzyście błyszczący w świetle naftowej lampy. Osobliwa pamiątka.

W wyskockiej organistówce zastaliśmy brata Mariana rozmawiającego z rodzicami i naszą siostrą Zosią. Marian od kilku miesięcy jest leśnikiem w Turwi i mieszka w starej leśniczówce przy drodze z Turwi do Wronowa. Widoczne było ożywienie na twarzach rozmawiających. Zacieśniła nasze rodzinne więzy śmierć Zygmunta, teraz wzmacnia je nastrój wojenny. Matka wie, że lada dzień może nas pożegnać odchodzących na front. Rozumie każdy z nas tę konieczność, nikt też nie rozpacza ani nie narzeka. Zwłaszcza my młodzież jesteśmy opanowani. Kilka dni temu żegnaliśmy mego kolegę, porucznika Piotra Bebę, rodem z Wławia, który niedawno zaręczył się z naszą siostrą Zosią. Najstarszy z nas braci Marian, jako leśnik od lat obeznany z bronią, dodaje nam ducha – trzymajcie się dobrze, w rowach strzeleckich nie traćcie fasonu.

Obok myśli, że lada dzień znajdę się w walce jako żołnierz, istniała wówczas jeszcze druga zabarwiona lękami o życie najbliższych i obawą o los moich książek i zbiorów. Myśli te, których centrum stanowiła moja rodzina i moja biblioteka, stopniowo zataczały coraz szersze kręgi i obejmowały ostatecznie cały nasz kraj. Idę podobnie jak setki tysięcy moich młodych rodaków bronić setek tysięcy matek podobnych mojej, idę jednocześnie bronić nie tylko swej biblioteki, ale całej polskiej kultury zawartej w setkach zabytków architektonicznych, pomników, archiwów i bibliotek. Jest to trzon moich okupacyjnych myśli, które potem perpetuować będą w nieskończoność. Z energią zabrałem się w nocy do przeniesienia moich książek i zbiorów do piwnicy, myślałem przy tym o lepszym jeszcze ich zabezpieczeniu.

Nazajutrz rano z Józefem udaliśmy się rowerami do Racotu, aby w urzędzie gminnym dowiedzieć się, czy są dla nas powołania na front. Wójt Jęczmionka był niemożliwie wyczerpany nieustannym czuwaniem i pracą w biurze. Skierował nas do RKU (rejonowej komendy uzupełnień) w Kościanie. Tu wyczekuje kilka tysięcy mężczyzn domagających się skierowania na front. Młody porucznik obejrzał moją kartę mobilizacyjną, poczym udał się kancelarii majora. O, ten pójdzie – usłyszałem za



Rok 1938. Rodzina Samelczaków w komplecie. Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

plecami głosy, jakby z odcieniem żalu i zazdrości.

Nie poszedłem. Z masy oczekujących ochotników wzięto tylko garstkę. Reszcie kazano zgłosić się na drugi dzień do koszar w Śremie. Wracający jednak ze Śremu całymi falangami mężczyźni rozpowiadają, że nie ma tam po co jechać, gdyż wojsko się stamtąd wycofuje i nikogo już się nie mobilizuje. Nie poszła również na front moja siostra Zosia, która zgłosiła się do służby sanitarnej. Zostaliśmy więc wszyscy w domu. Nie dane nam było czynnie z bronią w rękę bronić naszej Ojczyzny.

Nazajutrz wiekopomny dzień 1 września 1939 roku. Lotem błyskawicy obleciała nasz kraj wieść, że ten łajdak berliński teraz dopiero oficjalnie wypowiedział nam wojnę. Było to przysłowiowe wetknięcie kija w ludzkie mrowisko. Ulica spokojnej wioski stopniowo zaczęła zapęniać się uciekinierami ze strony zachodu. Wkrótce organistówka wyskocka zaważyła się uciekającymi krewnymi, znajomymi, w końcu obcymi. Podwórza, ogrody, chlewy i stodoła stanowią jedną ciasnotę wozów, koni, bydła i świń, jak jedną ciasnotą ludzką jest sama organistówka. Zgiełk, wrzawa, krzyżowanie się podnieconych pytań i odpowiedzi, zwłaszcza doszukiwanie się krewnych i znajomych. Wszystko to dzieje się w promieniach piekącego słońca przy stalowym dźwięku wysoko idących eskadr lotniczych.

Największa fala ludzka zalała Wysokó

dopiero w niedzielę. Chwilami wydawało się, że jeden fałszywie alarmujący krzyk spowoduje katastrofalną panikę wśród spłoszonych uchodźców. Ani spostrzeżliśmy się, jak ojciec wysunął się na czoło przebywającej we wsi ludności, miejscowej i przyjezdnej. Przybiega robotnik majątkowy do ojca z wezwaniem, aby poszedł na dworskie podwórza rozmówić się z naszymi oficerami, mocno nalegającymi mieszkańców do szybkiego opuszczenia wsi. Kiedy ojciec zjawił się tam, owych żołnierzy już nie było. Widocznie, że to dywersanci niemieccy w ten sposób dążyli do wywołania jak największej powszechnej paniki. Co chwilę biegającego jak w ukropie ojca zatrzymują ludzie miejscowi i przybyli i wzywają do zadecydowania, co mają robić – siedzieć czy uciekać? Trudna decyzja, bo to przecież wielka odpowiedzialność. Ostatecznie rada starszyzny na czele z ojcem uchwaliła uzależnić wyjście ze wsi od posunięć naszego wojska – o ile nasze wojsko wyznaczy linię obronną przebiegającą przez tutejszy teren, trzeba będzie się stąd usunąć i przenieść za Wartę. Zwrot – za Wartę – jest na wszystkich ustach i powtarzany bez przerwy. Oczekiwanie wykorzystuje się na uporządkowanie taboru. Na niejednych wozach pojawiają się budy z płacht żniwnych. Niejednym decyzja oczekiwania nie odpowiada. Wydobywają więc z natłoku swe wozy i podciągnawszy ostro konie, szybko ruszają w stronę Śremu – za Wartę.(cdn)

JAN SAMELCZAK



# Pamiętliwa bezpieka

Jeśli uczestnicy Poznańskiego Czerwca 1956 myśleli, że będzie im wybaczone i władza ludowa da im spokój – byli w wielkim błędzie. Służba Bezpieczeństwa o nich nie zapomiała. Długo jeszcze sporządzano i uzupełniano listy personalne; długo nachodzono mieszkania, straszono i szantażowano. Oficjalnie niby wszystko było wybaczone, w rzeczywistości funkcjonowały „czarne listy”. Hasło brzmiało: - Kontrolować, sprawdzać, zastraszać. Wymowa publikowanego dokumentu jest oczywista.

**KP MO/SB Kościan. Materiały operacyjne, sprawozdania, analizy i plany pracy po pionie III 1957 – 1969. IPN Po 06/73/5/1, s. 4-9. Pod dokumentem brak podpisu. Zachowano pisownię oryginału.**

Kościan, dnia 27 V 1957 r. ŚCIŚLE TAJNE. Plan operacyjnych przedsięwzięć w stosunku do osób zamieszkałych na terenie tutejszego powiatu, którzy brali udział w wypadkach poznańskich w dniu 28.06.1956r.

WOJTKOWIAK Edmund s. Franciszka i Marii z d. Szymanowska, ur. 15.01.1937r. w Kościanie, obecnie zatrudniony w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu w charakterze tokarza, zam. Kościan, ul. Berwińskiego Nr. 2.

LURC Kazimierz s. Feliksa i Franciszki z d. Postaremczak, ur. 26.11.1927r. Krzan pow. Kościan, były pracownik Organów Bezpieczeństwa Publicznego; gdzie obecnie pracuje nie ustalono, zam. Kościan, ul. Świerczewskiego Nr. 15.

PYTLAK Zenon s. Jana i Pelagii z d. Goryczak, ur. 2.02.1938r. w Kościanie, obecnie zatrudniony Poznański Zakład Obuwia, szewc w Poznaniu, zam. Kościan, ul. Waryńskiego Nr. 2/2.

KRAWCZYK Józef s. Józefa i Anny z d. Janus, ur. 15.03.1920r. Radlin – Rybnik, zawód ślusarz zatrudniony na PKP w Poznaniu, zamieszkały Kościan, ul. Sierakowskiego Nr. 27.

SIKORA Stefan s. Jana i Franciszki z d. Łukaszyk, ur. 7.08.1932r. Czempin

pow. Kościan, zatrudniony Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego Nr. 2. w Poznaniu w charakterze malarza, zam. Czempin, ul. Długa pow. Kościan.

ZIEBEL Henryk s. Jana i Ludwika z d. Kleszcz ur. 19.01.1938r. Modrze pow. Poznań, zatrudniony w Zarządzie Łączności w Poznaniu, zam. Jasień Nr. 1 pow. Kościan.

PRZYBYLSKI Leon s. Franciszka i Franciszki z d. Konstant, ur. 27.06.1936r. Borowo, zatrudniony w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu w charakterze ślusarza, zam. Czempin, ul. Świerczewskiego Nr. 14 pow. Kościan.

ŁUKASZYK Józef s. Andrzeja i Katarzyny z d. Wieczorek, zatrudniony w Zakładach Samochodowych w Poznaniu, zam. Borowo.

WOJTKOWIAK Edmund według posiadanych przez nas danych w dniu 28.06.56r. wyjechał do pracy rano i nie powrócił do domu. Jak ustalono został ranny w czasie zajść w Poznaniu i przebywał w szpitalu w Poznaniu.

LURC Kazimierz w dniu 28.06.56r. prowadził grupę ludzi demonstrujących. W okolicy mostu dworcowego nawoływał ludzi stojących na chodnikach do czynnego udziału w manifestacji. Kiedy zauważył kilku pasażerów w tramwaju i konduktora wszedł do wozu, pasażerów wyrzucił oraz konduktora uderzając go w twarz. Następnie udał się do Urzędu Poczтового Zachodniego wypędzając z poczty pracowników, zmuszając ich do przyłączenia się do manifestujących krzyżąc „Nie bójcie się to nie rok 1939 śmiało środkiem ulicy naprzód”. Wymieniona grupa z Lurcem dała się w kierunku gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, następnie wyżej wymieniona grupa zatrzymała samochód ciężarowy z wycieczką Komitetu Powiatowego PZPR z Kościana i kazał pasażerom wyjść z samochodu.

PYTLAK Zenon w dniu 28.06.56r. w Poznaniu był widziany na samochodzie z automatem w ręku, z grupą około 30 osób. Powyższe dane zostały potwierdzone świadkami. Poza tym wyżej wymieniony

brał udział w rozbrajaniu Posterunków MO i został ujęty na tutejszym terenie.

KRAWCZYK Józef został ranny w czasie zajść w Poznaniu, bądź też w terenie i przebywał w szpitalu w Kościanie. W dniu 21. VII.56r. pobrano od wyżej wymienionego oświadczenie, które przesłano do Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu.

SIKORA Stefan w dniu 28.06.56r. w Poznaniu na ul. Kochanowskiego wraz z innymi zatrzymał czołg, wyrzucili żołnierzy z czołgu i pojechali pod gmach Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Jednak – mimo świadków – nie zdołano tych zarzyców potwierdzić i podejrzenia odpadły.

ZIEBEL Henryk w dniu 28.06.56r. brał udział w wypadkach poznańskich z bronią w ręku, następnie wraz z grupą bandytów brał również udział w rozbrajaniu Posterunków MO i w dniu 29.06.56r. został zatrzymany na tutejszym terenie.

PRZYBYLSKI Leon w dniu 28.06.56r. wraz z grupą atakował więzienie na Młyńskiej w Poznaniu, a następnie gmach Wojewódzkiego Urzędu d/s Bezpieczeństwa Publicznego. W dniu tym został ranny i przebywał w szpitalu przy ul. Łąkowej w Poznaniu...

ŁUKASZYK Józef w dniu 28.06.56r. był widziany na samochodzie w czołówce wykrzykując: „Precz z komunistami”. Świadkiem powyższego był R. Józef zam. Poznań ul. Matejki.

## WNIOSKI.

1. Jak wynika z posiadanych danych wymienione osoby w dniu 28.06.56r. brały udział w wypadkach poznańskich i były zaangażowane w większym lub mniejszym stopniu w atakowaniu na więzienie, gmach W.U.d/s B.P. z bronią w ręku i na inne obiekty państwowe.

2. Mając na uwadze powyższe należy stwierdzić, że jest to element podatny na wszelkiego rodzaju wystąpienia przeciwko władzy ludowej, z chwilą kiedy nadarzy się do tego odpowiednia okazja, w oparciu o elementy wrogie, chuligańskie, którym nie odpowiada nasz ustrój.

3. Dlatego też, w związku ze zbliżającymi się Międzynarodowymi Targami Poznańskimi należy się tymi elementem zainteresować, z uwagi na to, że w okresie trwania targów mogą być inspirowani i wykorzystani przez obce agencje do podobnych wystąpień na terenie Poznania, w celu skompromitowania naszego ustroju w obliczu wystawców oraz gości zagranicznych.



## W ZWIĄZKU Z TYM PLANUJE SIĘ.

1. Odnośnie wymienionych osób, w okresie trwania międzynarodowych targów poznańskich zastosować obserwację agenturalną, spośród sieci będącej na łączności tutejszej jednostki i to:

I. W stosunku do Wojtkowiaka Edmunda planuje się wykorzystać informatora ps. „Syn”, który wywodzi się ze środowiska młodzieżowego i na najbliższym spotkaniu polecić mu:

a/ nawiązać z figurantem stosunki towarzyskie, bądź to w czasie podróży do pracy w pociągu lub po pracy w miejscu zamieszkania,

b/ w prowadzonych rozmowach z wyżej wymienionym na różne tematy, między innymi ustalić jaki jest jego obecnie stosunek do władzy ludowej, czy przemiany jakie zaszły w naszym kraju wpłynęły na figuranta dodatnio, lub też nie wyzbył się wrogości do naszego ustroju,

c/ w rozmowach na ogólne tematy, między innymi poruszyć temat mających się odbyć targów, w powiązaniu z przebiegiem ubiegłorocznych targów i ustalić:

- jego wypowiedzi na temat targów ubiegłego roku,

- jak się wypowiada, oraz stosunek do wypadków poznańskich,

- czy zamierza zwiedzić tegoroczne targi, jeśli tak to w jakim towarzystwie – zaproponować mu wspólne zwiedzenie targów.

d/ jeśli wyrazi zgodę na wspólne zwiedzenie targów, w czasie pobytu na targach zwrócić uwagę na jego kontakty, oraz zainteresowanie eksponatami państw kapitalistycznych i ustalić:

- jakich państw stoiska i pawilony chwala, orz należy zwrócić uwagę na ujemne wypowiedzi dotyczące państw socjalistycznych,

- z kim będzie prowadził rozmowy na terenie targów i na jakie tematy.

e/ ustalić czy ma kontakty z obcokrajowcami na terenie targów lub w miejscu zamieszkania – jeśli tak, to z których państw oraz charakter tych kontaktów,

- zwrócić uwagę czy w czasie zwiedzania targów otrzyma jakieś podarki od wystawców zagranicznych – jeśli tak to od kogo i jakiego tytułu.

f/ w prowadzonych rozmowach na temat tegorocznych targów na tematy ogólne, między innymi ustalić:

- czy w związku z przypadającą rocznicą wypadków poznańskich środowisko w jakim przebywa w miejscu pracy lub zamieszkania zamierza spowodować demonstracje lub inne wystąpienia przeciwko naszemu ustrojowi.

- jeśli tak to kto ma brać w nich udział, kto je przygotowuje, kiedy mają nastąpić oraz bliższe dane o organizatorach manifestacji lub innych wystąpieniach.

- czy wystąpienia te mają być z bronią w ręku, w jakim celu, przez kogo inspirowane oraz przeciwko komu skierowane.

- czy dane środowisko jest w posiadaniu broni, jeśli tak to w jakiej ilości, gdzie ona się znajduje, lub kto ja posiada.

- natomiast jeśli broń zamierzają zdobyć to na kim, gdzie i w jakim celu, oraz w jakim czasie.

g/ w okresie trwania M.T.P, w celu zapewnienia stałego dopływu informacji o zamierzeniach i nastrojach wśród figurantów, polecić informatorowi ps. „Syn” aby był w stałym kontakcie z figurantem i wszelkie uzyskane dane przekazywał na spotkaniach, natomiast ważniejsze informacje przekazywał natychmiast w myśl umówionego hasła pracownikowi operacyjnemu u którego jest na kontakcie.

II. Odnośnie pozostałych figurantów przed agenturą która ma być wykorzystana do zabezpieczenia wyżej wymienionych postawić te same zadania do wykonania i tak:

Pod figuranta Lurca Kazimierza w miarę możliwości na tym terenie wykorzystać informatora ps. „Waldemar”, lecz niezależnie od tego wskazane by było pod wyżej wymienionego jako szczególnie aktywnego w wypadkach poznańskich podstawić agenturę w miejscu pracy w Poznaniu, lecz w jakiej instytucji jest zatrudniony w chwili obecnej nie wiemy, gdyż bardzo często figurant zmienia miejsce pracy.

Pod Pytlaka Zenona wykorzystać informatora ps. „AF” który to zna figuranta. Jedną w wypadku nie możliwości wykorzystania wyżej wymienionego informatora z powodu braku kontaktu z figurantem i nie możliwości nawiązania bliższej znajomości, zastosować kombinację operacyjną zmierzającą do podstawienia informatora ps. „Syn”.

Pod Krawczyka Józefa wykorzystać informatora ps. „Jotes”, który zna figuranta i często z nim rozmawia na temat sportu, z racji interesowania się tym zagadnieniem.

W stosunku do Sikory Stefana zam. w Czempiniu, pracownik któremu podlega ten rejon, po zorientowaniu się o możliwościach sieci jaką posiada, po doborze od odpowiedniej jednostki zabezpieczy figuranta.

Odnośnie Ziebel Henryka zam. w Jasieniu pow. Kościan, pracownik operacyjny któremu podlega ten rejon zabezpieczy figuranta przez informatora ps. „Jaskowski” który również zam. w Jasieniu i ma możliwości go obserwować.

W stosunku do Przybylskiego Leona zam. w Czempiniu pow. Kościan, pracownik operacyjny któremu podlega ten teren, po zorientowaniu się o możliwościach posiadanej sieci zabezpieczy figuranta.

Odnośnie Łukaszyka Józefa zam. w Borowie pow. Kościan, pracownik operacyjny w myśl zadań stawianych przed agenturą, zabezpieczy wymienionego przez byłego informatora ps. „Jurek” zam. również w tej gromadzie oraz przez kontakty poufne.

III. Niezależnie od powyższego planu agenturalnego zabezpieczenia figurantów, którzy brali aktywny udział z bronią lub bez broni w wypadkach poznańskich w czasie trwania targów ubiegłorocznych, figuranci z racji zatrudnienia na obiektach przemysłowych i innych instytucjach w Poznaniu winni być poddani agenturalnej obserwacji również w miejscach pracy przez terytorialne jednostki operacyjne.

IV. Ponadto pracownicy operacyjni posiadający sieć, którą planuje wykorzystać się do realizacji powyższych zadań i obserwacji wyżej wymienionych figurantów w zależności od możliwości, indywidualności i warunków poszczególnych jednostek, opracują do powyższych zadań linie postępowania dla każdej jednostki sieci oddzielnie.

V. W miarę napływu materiałów odnośnie figurantów na tutejszym terenie w zależności od wartości operacyjnej, treści materiałów, oraz planowanych zamierzeń wrogich przez figurantów, tutejsza jednostka będzie takowe niezwłocznie przesyłała do tamtejszego Wydziału, w celu wykorzystania operacyjnego oraz zlikwidowania w porę ewentualnych wrogich zamierzeń ze strony wyżej wymienionych figurantów, w związku z międzynarodowymi targami poznańskimi.

oprac. JERZY ZIELONKA





28 czerwca 1956 r. w Poznaniu.

Fot. z zasobu poznańskiego Oddziału IPN



tematy, między innymi ustalić jaki jest jego obecnie stosunek do władzy ludowej, czy przemiany jakie zaszły w naszym kraju wpłynęły na figuranta dodatnio, lub też nie wyzbył się wrogości do naszego ustroju,

c/ w rozmowach na ogólne tematy, między innymi poruszyć temat mających się odbyć targów, w powiązaniu z przebiegiem ubiegłorocznych targów i ustalić:

- jego wypowiedzi na temat targów ubiegłego roku,

- jak się wypowiada, oraz stosunek do wypadków poznańskich,

- czy zamierza zwiedzić tegoroczne targi, jeśli tak to w jakim towarzystwie – zaproponować mu wspólne zwiedzenie targów.

d/ jeśli wyrazi zgodę na wspólne zwiedzenie targów, w czasie pobytu na targach zwrócić uwagę na jego kontakty, oraz zainteresowanie eksponatami państw kapitalistycznych i ustalić:

- jakich państw stoiska i pawilony chwala, orz należy zwrócić uwagę na ujemne wypowiedzi dotyczące państw socjalistycznych,

- z kim będzie prowadził rozmowy na terenie targów i na jakie tematy.

e/ ustalić czy ma kontakty z obcokrajowcami na terenie targów lub w miejscu zamieszkania – jeśli tak, to z których państw oraz charakter tych kontaktów,

- zwrócić uwagę czy w czasie zwiedzania targów otrzyma jakieś podarki od wystawców zagranicznych – jeśli tak to od kogo i jakiego tytułu.

f/ w prowadzonych rozmowach na temat tegorocznych targów na tematy ogólne, między innymi ustalić:

- czy w związku z przypadającą rocznicą wypadków poznańskich środowisko w jakim przebywa w miejscu pracy lub zamieszkania zamierza sprowokować demonstracje lub inne wystąpienia przeciwko naszemu ustrojowi.

- jeśli tak to kto ma brać w nich udział, kto je przygotowuje, kiedy mają nastąpić oraz bliższe dane o organizatorach manifestacji lub innych wystąpieniach.

- czy wystąpienia te mają być z bronią w ręku, w jakim celu, przez kogo inspirowane oraz przeciwko komu skierowane.

- czy dane środowisko jest w posiadaniu broni, jeśli tak to w jakiej ilości, gdzie ona się znajduje, lub kto ją posiada.

- natomiast jeśli broń zamierzają zdobyć to na kim, gdzie i w jakim celu, oraz w jakim czasie.

g/ w okresie trwania M.T.P, w celu zapewnienia stałego dopływu informacji o zamierzeniach i nastrojach wśród figurantów, polecić informatorowi ps. „Syn” aby był w stałym kontakcie z figurantem i wszelkie uzyskane dane przekazywał na spotkaniach, natomiast ważniejsze informacje przekazywał natychmiast w myśl umówionego hasła pracownikowi operacyjnemu u którego jest na kontakcie.

II. Odnośnie pozostałych figurantów przed agenturą która ma być wykorzystana do zabezpieczenia wyżej wymienionych postawić te same zadania do wykonania i tak:

Pod figuranta Lurca Kazimierza w miarę możliwości na tym terenie wykorzystać informatora ps. „Waldemar”, lecz niezależnie od tego wskazane by było pod wyżej wymienionego jako szczególnie aktywnego w wypadkach poznańskich podstawić agenturę w miejscu pracy w Poznaniu, lecz w jakiej instytucji jest zatrudniony w chwili obecnej nie wiemy, gdyż bardzo często figurant zmienia miejsce pracy.

Pod Pytlaka Zenona wykorzystać informatora ps. „AF” który to zna figuranta. Jedną w wypadku nie możliwości wykorzystania wyżej wymienionego informatora z powodu braku kontaktu z figurantem i nie możliwości nawiązania bliższej znajomości, zastosować kombinację operacyjną zmierzającą do podstawienia informatora ps. „Syn”.

Pod Krawczyka Józefa wykorzystać informatora ps. „Jotes”, który zna figuranta i często z nim rozmawia na temat sportu, z racji interesowania się tym zagadnieniem.

W stosunku do Sikory Stefana zam. w Czempiniu, pracownik któremu podlega ten rejon, po zorientowaniu się o możliwościach sieci jaką posiada, po doborze od odpowiedniej jednostki zabezpieczy figuranta.

Odnośnie Ziebel Henryka zam. w Jasieniu pow. Kościan, pracownik operacyjny któremu podlega ten rejon zabezpieczy figuranta przez informatora ps. „Jaskowski” który również zam.

w Jasieniu i ma możliwości go obserwować.

W stosunku do Przybylskiego Leona zam. w Czempiniu pow. Kościan, pracownik operacyjny któremu podlega ten teren, po zorientowaniu się o możliwościach posiadanej sieci zabezpieczy figuranta.

Odnośnie Łukaszyka Józefa zam. w Borowie pow. Kościan, pracownik operacyjny w myśl zadań stawianych przed agenturą, zabezpieczy wymienionego przez byłego informatora ps. „Jurek” zam. również w tej gromadzie oraz przez kontakty poufne.

III. Niezależnie od powyższego planu agenturalnego zabezpieczenia figurantów, którzy brali aktywny udział z bronią lub bez broni w wypadkach poznańskich w czasie trwania targów ubiegłorocznych, figuranci z racji zatrudnienia na obiektach przemysłowych i innych instytucjach w Poznaniu winni być poddani agenturalnej obserwacji również w miejscach pracy przez terytorialne jednostki operacyjne.

IV. Ponadto pracownicy operacyjni posiadający sieć, którą planuje wykorzystać się do realizacji powyższych zadań i obserwacji wyżej wymienionych figurantów w zależności od możliwości, indywidualności i warunków poszczególnych jednostek, opracują do powyższych zadań linie postępowania dla każdej jednostki sieci oddzielnie.

V. W miarę napływu materiałów odnośnie figurantów na tutejszym terenie w zależności od wartości operacyjnej, treści materiałów, oraz planowanych zamierzeń wrogich przez figurantów, tutejsza jednostka będzie takowe niezwłocznie przysyłała do tamtejszego Wydziału, w celu wykorzystania operacyjnego oraz zlikwidowania w porę ewentualnych wrogich zamierzeń ze strony wyżej wymienionych figurantów, w związku z międzynarodowymi targami poznańskimi.

oprac. **JERZY ZIELONKA**



# O kościańskim sporcie

z Piotrem Ruszkiewiczem rozmawia Katarzyna Żurek



Piotr Ruszkiewicz ( z lewej) z sekretarzem generalnym Polskiego Związku Tenisa – kościaniakiem Wojciechem Radomskim.

Fot. Alicja Muenzberg



18 maja 1912 roku w Kościanie w mieszkaniu Tomaszewskiego na ul. Poznańskiej się konspiracyjne zebranie kościańskiej młodzieży. Na spotkaniu tym zdecydowano o utworzeniu klubu piłkarskiego „Fervor”. Inicjatorami byli m.in. Zygmunt Grątkowski i Janusz Czaplicki. Wydarzenie to uznaje się za początek zorganizowanej działalności sportowej w Kościanie. W tym roku mija sto lat od tamtych wydarzeń. Z tej okazji o kościańskim sporcie, jego tradycjach, spuściźnie i przyszłości rozmawiamy z przewodniczącym Rady Miejskiej w Kościanie, głównym organizatorem w ubiegłym roku obchodów 100-lecia kościańskiego sportu - Piotrem Ruszkiewiczem.

Dzieje sportu kościańskiego są bogate. Początki i tradycje sięgają końca XIX w. wówczas to powstało w Kościanie gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. A jednak to datę powstania klubu piłkarskiego „Fervor” uznaje się za początek sformalizowanej działalności sportowej na terenie miasta.

- To kwestia stale dyskusyjna, wokół której od dawna pojawia się wiele pytań. Rozstrzygnięcia zostawmy historykom. Osobiście myślę, że rok 1912 to dla sportu kościańskiego data bardzo ważna i należy ją honorować, tak jak robimy to od wielu lat. „Fervor” był pierwszym polskim klubem sportowym w znajdującym się wówczas pod zaborem pruskim Kościanie. Z tego, co wiem nie działał w konspiracji. Był organizacją jawną, zarejestrowaną. Jak na ówczesne warunki był to wielki sukces jego założycieli?

**Dobrze, zostawmy historię historykom. Pasjonuje się pan sportem już od wielu lat. Czy to przypadek, czy świadomy wybór?**

- Niektórzy mówią, że w życiu nie ma przypadków - są tylko konsekwencje wcześniejszych wyborów. Tak właśnie było ze mną. Do sportu trafiłem jako młody chłopak. Miałem 12 lat, kiedy kolega zaprowadził mnie na salę sportową w Kościanie na Łazienkach, na trening szkoły „kosza”. Początkowo była to zabawa, ale czułem ducha rywalizacji, więc związałem się z koszykówką na dobre. A więc był to

wyбір.

**A fascynacja? Nie poczuł jej pan na pierwszym treningu?**

- Początkowo sport po prostu lubiłem, fascynacja przyszła później. Z biegiem lat i kolejnych doświadczeń. Kilkanaście sezonów występowałem w barwach „Obry”. Po kolei przechodziłem poszczególne szczeble - młodzik, junior, junior starszy. Następnie przyszedł czas na grę w zespole seniorskim w III lidze. Tam grałem przez pięć sezonów. Dzisiaj częściej grywam w tenisa, siatkówkę, ale koszykówki nie odpuszczam.

**Bo koszykówka to też tradycja rodzinna. Rościsław Ruszkiewicz to postać bardzo dobrze znana kościańskim miłośnikom sportu. To pański teść...**

- Prawda. Mój teść był wybitnym sportowcem. W wielu dziedzinach i konkurencjach odnosił wielkie sukcesy. Gdzie nam się teraz z nim mierzyć. To był talent na skalę ogólnopolską i takie też miał wyniki - jako zawodnik i jako trener. Najbardziej fascynowała Go koszykówka, był reprezentantem Polski. Nie pochodził z Kościana. Tutaj osiadł po wojnie i zaczął organizować życie sportowe w mieście. To dzięki niemu w 1953 r. powstała pierwsza z prawdziwego zdarzenia sekcja koszykówki, która działała przy klubie sportowym „Kolejarz” Kościan.

**No tak, lata 1953 - 1956 to złoty okres dla kościańskiej koszykówki.**

- Wie pani, wtedy drużyny miały wielu wiernych sympatyków. Mecze rozgrywano na boisku koszykówki na stadionie miejskim w Kościanie; także w salach "Sokolni" (dzisiejszy KOK) i liceum. Cieszyły się one ogromną popularnością i gromadziły dosłownie tłumy kibiców.

**Złoty czas koszykówki był gorszym okresem dla piłkarzy...**

- Różnie to bywało, w różnych dyscyplinach, jakiejś prawidłowości w tym zjawisku nie można się dopatrzeć. Wszystko zależy od ludzi, od zawodników i trenera. Piłka ręczna - na przykład - odnosiła sukcesy, kiedy w barwach Tęczy Kościan występowali bracia Jureccy. Z nimi klub awansował do I ligi. Dobry czas generalnie dla sportu kościańskiego to także lata 70-te i 80-te. Piłkarze nożni byli w III lidze i

ich mecze cieszyły się ogromną popularnością. Również koszykówka odnosiła sukcesy - „Obra” awansowała do Ligi Międzywojewódzkiej.

**Działało wówczas w Kościanie wiele zakładów, które pomagały w finansowaniu działalności sportowej. Jak sport lokalny funkcjonuje dzisiaj?**

- Z pewnością wówczas system finansowania klubów był łatwiejszy. Ciężar ich utrzymania spoczywał na przedsiębiorstwach państwowych i spółdzielniach. Stamtąd płynęły największe środki. Dzisiaj oprócz wcale niemałych środków z budżetu miasta, kluby zmuszone są szukać środków zewnętrznych. A wiadomo każdy liczy pieniądze i nie jest łatwo znaleźć sponsora. Również nasz styl życia jest inny niż kiedyś. Jesteśmy nastawieni konsumpcyjnie. Bardziej interesuje nas sam cel, aniżeli praca zmierzająca do jego realizacji. Im szybciej i łatwiej możemy go osiągnąć - tym lepiej. Jeśli droga jest żmudna, męcząca i wymaga wiele poświęceń przestaje nas to interesować. Wokół tyle ciekawych rozrywek, które nie wymagają wysiłku. Poważnym problemem dla wielu kościańskich klubów jest nabór młodzieży. Kiedyś ludzie młodzi masowo interesowali się sportem. Nie tylko tym w telewizji. Do tego dochodzi komercjalizacja sportu. O tym, kto jest najlepszy decydują pieniądze - kluby wykupują licencje, zawodników i mogą awansować. Wie pani, kiedyś pracowało się od podstaw - wychowywało się rodzimych zawodników, teraz ich się kupuje. To samo dzieje się w innych dziedzinach ogólnie pojętej kultury. Na przykład: problem z naborem młodzieży mają chóry kościańskie...

**Jednym zdaniem żyjemy w innych czasach niż 100 czy 50 lat temu...**

- Tak. Twórcy „Fervoru” byli ludźmi średnio zamożnymi. Wspierał ich jedynie polski Bank Ludowy w Kościanie (obecna nazwa Bank Spółdzielczy), bo ich rodzice byli udziałowcami tego banku. Na sporcie nie zarabiali ani zawodnicy, ani trenerzy. Oni wszyscy do klubu dokładali. Ale nie jestem przekonany, czy na lokalnym poziomie skończyły się czasy, kiedy w II Rzeczpospolitej i zaraz po wojnie



kościkańscy sportowcy sami kupowali sobie koszulki, piłki, sprzęt itp., ciesząc się z tego, że w ogóle mogą grać i reprezentować barwy miasta.

**A jednak wyrastają w Kościanie talenty sportowe np. w strzelectwie...**

- Ma pani na myśli Andrzeja Głydę w strzelectwie (skeet), który odniósł wiele sukcesów w kraju i za granicą. Wicemistrz Europy, mistrz świata oraz dwukrotny olimpijczyk (Sydney, Ateny). Ale to jest dyscyplina indywidualna. Jego ojciec śp. dr Michał Głyda był bardzo dobrym strzelcem i to on jest pierwszym mistrzem i autorem sukcesów syna. Andrzej zdobywał pierwsze szlify pod jego okiem na wszystkich możliwych strzelnicach w powiecie kościańskim. W indywidualnych sportach możemy wymieniać wielu mistrzów, wywodzących się z Ziemi Kościańskiej. Na przykład w karate Łukasz Borowski. W ostatnich latach triumfy święcą nasi trójboiści siłowi z Klubu Kobra Jass Kościan.

**Ostatnie pytanie, czy jest pan w stanie wymienić pięć postaci, które – pomijając żyjących – wybitnie zasłużyły się polskiemu sportowi?**

- To trudne pytanie. Odpowiem tak: jest wielu kościaniaków i ludzi z naszym miastem związanych, którzy wpisali się w kroniki polskiego sportu. Nie sposób wymienić wszystkich. Najpierw legendarna postać Feliksa Stamma. To wybitny trener bokserski i wychowawca wielu mistrzów olimpijskich. Także: profesor Mieczysław Balcer – reprezentant Polski i nauczyciel wychowania fizycznego w kościańskim Liceum; wspomniany już wcześniej Rościsław Ruszkiewicz, legendarny żużlowiec Alfred Smoczyk i długodystansowiec Zdzisław Krzyszkowiak. Ale proszę mi pozwolić na wymienienie jeszcze dwóch lokalnych postaci, które bardzo sobie cenię. Są to: Bolesław Włodarczak – działacz i inicjator budowy sali gimnastycznej na Łazienkach i dr med. Henryk Tomkiewicz – działacz, pomysłodawca budowy stadionu miejskiego, który zintegrował i połączył działania sportowe w Kościanie. Niewątpliwie bez tych osób kościańska tradycja sportowa byłaby dziś uboższa.

**KATARZYNA ŻUREK**